PRZEGLĄD
MIESIĘCZNY.

ROK I.

Zeszyt II. Miesiąc Listopad 1874.

Nakładca i odpowiedzialny redaktor Dr. Ign. Skrochowski.

W KRAKOWIE
W DRUKARNI LEONA PASZKOWSKIEGO
pod zarządem Józefa Łakocińskiego.
1874.

BEZKARNOŚĆ.

(Dokończenie).

II.

Brakłoby dla naszych czytelników zakończenia poprzedzających uwag, gdybyśmy nie rozważyli, w jaki sposób objawia się obecnie plaga bezkarności w tym kraju, który zamieszkujemy. Najlepiej zbadać można wszelki objaw społeczny na własnym gruncie. Przypatrzmy się więc jak bezkarność wygląda w kółku rodzinném.

Szczególnym zbiegiem okoliczności, który może należy przypisać wyjątkowemu uzdolnieniu Galicyi do gromadzenia w sobie wszelkich niedorzeczności i wszelkich niedołęstw, bezkarność rozkwitająca tutaj, jest potrójnym ekstraktem bezkarności; składa się na niego, dawna bezkarność polska tkwiąca w charakterze narodowym, nowoczesna humanitarno-liberalna, będąca naleciałością z zewnątrz, a którą jak każdą naleciałość mamy niezwykły dar przyswajania sobie i nareszcie, nieco od tej dawniejsza pokrewna jej, a dobrze nam znana bezkarność biurokratyczno-austryjacka, uzbrojona formalnościami i przewlekłościami.

Miłemi będą przyszłości widoki, jeżeli do wszystkich wad i niedorzeczności bujających na ziemi galicyjskiej, przyłączy się ów chwast potrójnej bezkarności i rozpleni się swobodnie; przyjemnych wtedy chwil doczekamy się sami, a przyjemniejsze jeszcze zgotujemy przyszłemu pokoleniu i wtedy historya — jeżeli

w ogóle historya nami trudnić się będzie — powie niewątpliwie, żeśmy niczego nie zaniechali, aby utworzyć tu najnieznośniejszy a zarazem najniedorzeczniejszy stan rzeczy.

Na dobrze uprawnionym gruncie bezkarności staropolskiej podlanym jadem biurokratycznym, namacalnie i najwyraźniej a bardzo dotkliwie dla uczciwych ludzi, rozkwita u nas w tej chwili, bezkarność nowoczesna, ochraniana i pielęgnowana starannie przez wyobrażenia i pojęcia humanitarno-filantropijne. Do czego nas doprowadziła nasza dawna staropolska bezkarność, wiemy i zapewne dziś nie mamy najmniejszej wątpliwości o jej zgubnych skutkach; jaką nam przyszłość zdolna zgotować nowoczesna, o tém nie mamy i mieć nie możemy dokładnego pojęcia, tak, jak nigdy nie ma się jasnego wyobrażenia o unicestwieniu i nicości.

Wielkie, bo też i ważne zachodzą różnice między ową staropolską poczciwą a głupią bezkarnością a nowoczesną bezczelną, sofistyczną, a tak głęboko w swych ostatecznych celach demoniczną, importowaną do nas z zagranicy i przepłaconą przez nas z drugiej ręki, jak zwykle przepłacamy kosztem resztek bytu, wszystko co tylko zagranica raczy nam nadesłać.

Dziwną była ta polska bezkarność, nie było w jej pochodzeniu ani trochę demonizmu, ani trochę złości, było tylko wiele dobroduszności, niedołęstwa, miękkości i anarchii szlacheckiej, nie był to wpływ ani teoryj fałszywych, ani skrzywienia pojęć moralnych, lub zmysłu moralnego; była ona przeciwnie niejako samorodną, pochodziła wprost z charakteru narodowego, a bodaj czy głównem jej źródłem nie był ów brak zdania, którym zawsze odznaczaliśmy się. Nasza złota wolność i nasza szlachecka równość, jak w polityce doprowadziły nas do niesłychanych niedorzeczności, tak samo w dziedzinie sprawiedliwości doprowadzić musiały do najwyższej — bezkarności; nasza też bezkarność była wyłącznie szlachecką, a jak tyle innych fatalnych obyczajów i zwyczajów, była powolnem a bezwiednem samobójstwem szlacheckiego organizmu, lecz nie miała znamion ani charakteru morderstwa względem innych, wyrządzaliśmy nią sami sobie, nie innym krzywdę. Nigdy i nigdzie nie usiłowaliśmy i nie staraliśmy się dogmatyzować jej, wznosić do wysokości zasady lub wzniosłe teoryi, stała się ona u nas zwyczajem, który jak mówi *Figaro* tak często jest nadużyciem, była faktem, nad którym dla miłego

spokoju i świętej zgody nie zastanawialiśmy się, i który nas nie oburzał zbytecznie, lecz w gruncie w zakątku sumienia, wiedzieliśmy dobrze, że była ona niesłusznością i złem, aczkolwiek nie domyślaliśmy się, że była zgubnym błędem. Co najwięcej bezkarność pochodziła w tem społeczeństwie na wskróś chrześciańskiem może z mylnego pojęcia, a raczej z pomięszania wyobrażeń o przebaczeniu i pobłażaniu. — Jeżeli w naszej bezkarności było coś anarchicznego i niedołężnego, to zarazem było coś serdecznego, było bądź co bądź coś nietylko szlacheckiego ale i szlachetnego. Towarzyszyła jej miękkość i słabość w polityce, która także z wielką szkodą sprawy publicznej nigdy nie umiała być ani bezwzględną, ani karcącą; jak w polityce tak i w sprawiedliwości brak było u nas zawsze konkluzyi, nie umieliśmy korzystać ze zwycięztw, ani też wymierzać kary za zbrodnie i przestępstwa. Szkodziliśmy sami sobie i jak powoli niedołęstwo w polityce, tak samo bezkarność w dziedzinie sprawiedliwości doprowadziły nas do upadku, do utraty bytu samoistnego.

Inną, innej natury i pochodzenia jest bezkarność nowoczesna towarzysząca, jak tyle innych potworów, tryumfalnemu pochodowi liberalizmu. Jest ona płodem skrzywienia zmysłu moralnego, ma w sobie coś demonicznego i destrukcyjnego, ma tę siłę rozkładową, która dosięga szpiku kości społeczeństwa, nie pochodzi ona z usposobienia lub charakteru tego lub owego narodu, lecz jest wypływem dzisiejszych ogólnych pojęć, stawia się zuchwale jak teorya, jako zasada, jako dogmat i narzuca się z całą perfidią obłudy, jako nowy niszczący żywioł, pod zasłoną miłości, szlachetności, ludzkości. Właśnie to wyrozumowanie dzisiejsze bezkarności, to stawianie jej jako zasady pełnej szlachetności i wzniosłości, stanowi jej niebezpieczeństwo, jej zgubność, jej nierównie większą szkodliwość od staropolskiej; widocznem tu jest bowiem dążenie demokratyczne, zatarcia wszelkiej różnicy między złem a dobrem, a tém samém wytępienia w korzeniu wszelkiego pojęcia moralnego i religijnego. Kiedy polska bezkarność w miejscu prawa stawiała słabość, to nowoczesna w miejscu prawa stawia siłę, tam była, *słabość przed prawem*, tu jest *siła przed prawem* Bezkarność też nowoczesna nie rozbija już tylko polityczny organizm, lecz ostatnie podstawy społeczne, wszelki ład moralny i chrześciański, zacierając wszelkie pojęcie sprawiedliwości; w gruncie nie tyle w niej jest miłości i litości dla wi-

nowajcy, jak nienawiści i złości do samego społeczeństwa i do istniejącego a raczej dogorywającego porządku rzeczy, tak w dziedzinie moralnej jak społecznej; jak wielce tém samém, niebezpieczną jest dla nas, nie trudno dostrzedz, grozi ona ostatkom naszego bytu, bo tak dobrze organizacyi społecznej, jak podstawie chrześciańskiej, ma w sobie jak wszystkie płody liberalizmu dziwną moc rozsadzania nas, a jeżeli staropolska doprowadziła nas do utraty bytu samoistnego, to niewątpliwie nowoczesna najdzielniej przyczynić się może do zupełnej zguby narodowej. Z wszystkich darów liberalizmu ten jest jednym z najniebezpieczniejszych, najzdradliwszych już dla tego samego, że łącząc się z wrodzoną do bezkarności historyczną skłonnością naszą i z tak długo przeciw nam praktykowaną tu w Galicyi bezkarnością przez system biurokratyczny, stwarza ów potrójny a potworny ekstrakt, którego zatrutą wonią niepodobna nam bezkarnie dla naszego moralnego zdrowia oddychać.

Wpływ nie całkiem jeszcze wygasły systemu biurokratycznego, jest tu także widocznym. Pierwszym niewątpliwie apostołem dzisiejszego liberalizmu u nas, była biurokracya austryjacka, rzecz godna zastanowienia, że tyle doznawszy złego od niej, tyle przecież od niej przejęliśmy. Pionierem wszystkich zgubnych, fałszywych i skrzywionych wyobrażeń była w Galicyi kohorta urzędnicza. Zgłębiając stan obecny umysłów w Galicyi, zastanawiając się nad moralnem usposobieniem tego kraju, wszędzie i zawsze dotrzeć można do fatalnego wpływu biurokracyi; poskrobać Galicyę a doskrobać się można wszędzie idei, wyobrażeń, narowów, nałogów i naleciałości przyniesionych przez biurokracyę austryjacką i jest to może najgłówniejsza przyczyna zjałowienia galicyjskiego gruntu. Biurokracya przysposobiła nas także do nowoczesnej bezkarności, tylko że jej bezkarność była jedną z najgorszych, najochydniejszych, najpotworniejszych, bo była stronniczą i jednostronną, a przecież okrywającą się już płaszczem humanitaryzmu; jak w całem działaniu biurokracyi tak i w bezkarności przez nią zaprowadzonej, tkwiła nienawiść do wszystkiego co wyższe, nietylko do wszystkiego co szlacheckie ale także do wszystkiego co szlachetne, i była ona zemstą, — ulegalizowanym socyalizmem. — Przez długie lata sprawiedliwość w Galicyi była bronią w ręku sekty biurokratycznej, aż nareszcie bezkarność znalazła swój ostatni a srogi wyraz w tych strasznych

a na wieki pamiętnych zbrodniczych wypadkach, osłoniętych przed karą, niestety zbyt wysoką powagą. Im kto wyżej stał społecznie, tem pewniejszym mógł być, iż wyrządzona mu krzywda ujdzie bezkarnie. Karol II widząc stawionego pod pręgież, zapytał za co go karano, a gdy mu powiedziano, że za paszkwil na ministrów, odparł: „Głupiec, czemuż go na mnie nie napisał, byliby go uniewinnili.“ W położeniu króla angielskiego znajdowały się przez długie lata u nas wyższe warstwy, a bodaj czy i dziś jeszcze w wielu wypadkach nie zwycięża ten duch nienawiści i zazdrości, bodaj czy i dziś jeszcze, mianowicie w stosunkach wiejskich nie pojawia się pod formą bezkarności stary duch biurokracyi austryackiej. Widzimy więc, że Galicya nie z jednej ale z różnych stron podkopywaną i nurtowaną jest przez najrozmaitsze prądy bezkarności, a być może, że ztąd pochodzi jej niemoc.

W ogólnym układzie świata i spraw ludzkich, nie należy brać w rachubę, kto karę wymierza, to tylko pewna, że bez niej obejść się nie można. że przyjść musi i spełnić swoje posłannictwo, a zaiste nie trudno, nawet bez mistycznych porywów, dostrzedz ścisłego, ba loicznnge związku, między naszą dawną bezkarnością i srogiemi karami, któremi byliśmy ochłostani.

Kto położy tamę szerzącej się znowu głównie w tej części Polski, wszechstronnej bezkarności, kto przeszkodzi rozplenianiu się tego chwastu, pielęgnowanego z kilku na raz stron? Hart ducha publicznego, lub nikt. Tak jest niewątpliwie, bo prądy czasu są silne a my jesteśmy zbyt słabymi i skrępowanymi, aby się im oprzeć, jeżeli nie zdołamy wydobyć z siebie samych siły moralnei, którаby posłużyła za tamę szerzącemu się złemu. — Niestety daleko jeszcze do tego! A tymczasem następstwa nieuniknione bezkarności co raz to zbliżają się do nas i coraz dotkliwiej czuć się nam dają. Nie ma w tem nic dziwnego, bo jak widzimy, są w naszem społeczeństwie dostateczne powody, aby się ona rozwielmożniła, gdy z drugiej strony nie ma żywiołów do skutecznej z nią walki, wszędzie też i we wszystkich stosunkach działa ona rozkładowo na resztki organizacyi społecznej, na szczątki naszego ducha publicznego.

Po wsiach podobno czuć się ona daje najdotkliwiej i po dziś dzień walczyć z nią wypada zbyt często bezowocnie, na wszystkich punktach życia ziemiańskiego, a uczciwy i sprawiedliwy

kierunek dzisiejszej sprężystej administracyi nie mógł jej jeszcze ostatecznie zwalczyć. Doskonały jej obraz przedstawia Fredro (syn) w owej mowie marszałka powiatowego z *Obcych żywiołów*, a nie pomylimy się twierdząc, że bezkarność stała się jedną z głównych przyczyn wstrzymania rozwoju i najważniejszą przeszkodą wszelkiego postępu w naszych ziemiańskich stosunkach.

Przechodząc ze wsi do miast, dostrzegamy na każdym kroku zbyt widoczne owoce bezkarności. W znacznej części z jej przyczyny mnożą się owe finansowe katastrofy już nietylko w tym kraju, przestępstwa te w skutkach swych nieraz równe zbrodniom, nietylko rujnują kieszenie ale także zmysł moralny, każdemu bankructwu towarzyszy bankructwo sumienia publicznego, a jedno przewyższa drugie niedorzecznością, lekkomyślnością, ohydą tak, że nasz Sedan finansowy dumą napełniać może zwyciężonych z pod Sadowy. W każdej takiej katastrofie, wszyscy tracą, traci majątek ogół, tracą pojedyncze osoby, traci moralność publiczna, tracą jej sprawcy, a jak dotąd, zyskuje jedynie i podnosi tryumfujące czoło bezkarność.

W wielu wypadkach w zdumiewający sposób przychodzi jej w pomoc przewlekłość formalności. — Tam, gdzie nawet pobłażliwa dzisiejsza opinia publiczna oburza się na winowajcę, przeciąganie sprawy, przedłużanie jej staje się *antidotum* dla usposobienia ogółu. Cały kraj zajęty był żywo sprawą owego Banasia, oburzenie było słuszne i nie małe, przerażenie rzeczywiste, przeszedł rok, kara jeszcze nie wymierzona, przykład jeszcze nie dany, — a przecież ten Banaś strzelał do Boga, a co tylko nie zabił księdza; — może właśnie dla tego, że do Boga strzelał, a w księdza mierzył.

W innych wypadkach nierównie mniej ekscentrycznych a pozytywniejszych, niskość kary zdaje się być jej urągowiskiem i cały tok sprawy zamiast potępieniem, staje się poniekąd zachętą dla owych nieszczęśliwych, szukających bądź co bądź ratunku, czy też dla śmiałych, chcących jakąbądź ceną i jakąbądź drogą, choćby przez kryminał dojść do dzisiejszego bożyszcza, do majątku.

Jest rodzaj odrębny zbrodniarzy, dla których dziś zgoła kary nie ma, są to zbrodniarze legalni, trzymający się zręcznie a obłudnie litery prawa i strzelający z poza niej jak z poza płotu do jednostek i do sprawiedliwości. Ohydny ten gatunek, wszę-

dzie i w każdej epoce istniał, lecz nigdy może tak śmiało i bezczelnie nie wznosił w górę czoła, jak u nas obecnie, bo dawniej wisiało nad nim potępienie ze strony uczciwych ludzi, a ono miało swoją przygniatającą wagę. Legalny zbrodniarz nietylko naśmiewa się ze sprawiedliwości, ale nawet imponuje jej. Jest to plaga, przeciw której skutecznie działać może tylko siła moralna społeczeństwa.

U nas niestety obecnie czuć się daje zupełny jej brak. — U nas też bezkarność jest wszechstronną i niczem nie krępowaną, staje się ona zaraźliwą, i z dziedziny sprawiedliwości przenosi się w inne. Używa jej dobrodziejstw w całej pełni, niedołęstwo polityczne, które tak rozczulającą a szczególną opieką ogółu cieszy się. Można u nas bezkarnie przepędzić cały żywot w sprawach publicznych nie zdziaławszy nic, nie zrobiwszy nic, nie odznaczywszy się niczem, prócz śmiesznościami i niedorzecznościami! Mierność, nijakość, bezbarwność są warunkami wzbudzającymi zaufanie. Wybrańcy mogą bezkarnie drzemać lata całe na ławach obrad publicznych a powtórne, ba niewyczerpane zaufanie wyborców zapewnia bezkarkość ich nicości. Mierność i niezdarność odpowiadają widocznie najlepiej uzdolnieniu i usposobieniu ogółu; w bezpośredniem też następstwie owej bezkarności, niedołęstwo i niedorzeczność rozwielmożniły się na niwie galicyjskiej tak, że przed wszelką inną pracą organiczną, trzebaby się zabrać do herkulesowego dzieła dezinfekcyj z nich, naszych publicznych stajni i obór.

Największej bo nieograniczonej bezkarności, używa u nas głupota we wszystkich kierunkach i na wszystkich polach, w polityce, w samorządzie, w interesach, w szkołach, w literaturze a szczególniej w dziennikarstwie; rozsiada się ona swobodnie, nawet tryumfująco wszędzie i zawsze. Karać głupoty u nas nie tylko że nikt nie śmie, ale nikt nawet nie umie, „kto jest bez winy, niech rzuci na nią kamieniem“, zdaje się być godłem dzisiejszego pokolenia. Można u nas popełnić tysiące niedorzeczności, dać sobie świadectwo najpiękniej rozwiniętej głupotę, a przecież być zdolnym do wszystkiego i do wszystkiego powołanym. Niesłychaną też jest w skutku zasłaniającej ją bezkarności, siła głupoty u nas i zaprawdę wobec jej powodzeń sprawiedliwość zakryć musi zasmucone swe oblicze. W rozbujaniu swem głupota u nas staje się figlarną i zmyślną, i rzec można, że obda-

rzoną jest pewnym sprytem, tym przynajmniej, który zapewnia powodzenie. Szczęście daje rozum!

Nigdzie jednak głupota nie stwierdza się tak zuchwale i nie grasuje tak bezkarnie jak w naszem dziennikarstwie; prawdziwe to pole jej zwycięzkich popisów. I przyznać trzeba, że ta bezkarność wcale nie jest stronniczą, bez różnicy opinii i przekonań stronnictw i obozów, zasłania ona nieuctwo, niedołęstwo, niedorzeczność, głupotę i nudę w dziedzinie publicystyki i dziennikarstwa. Na wszystkie te zbrodnie nie ma u nas kary! Czy w publiczności brak jest zastanowienia, czy sądu, czy odwagi, czy rozumu? Nie wiemy doprawdy, ale to pewna, że nie ma kraju, w whichymby ludzie dali się truć drukowanemi niedorzecznościami i pozwalali zabijać się drukowanemi nudziarstwami, z taką cierpliwością i dobrodusznością. Jestże to i tu owa przypisywana nam potrzeba i żądza męczeństwa!? W zadawaniu tych mąk rozumowi i rozsądkowi celuje całe nasze dziennikarstwo postępowo-liberalne. Sadzi się ono na okazy niedorzeczności i głupoty i pod tym względem doszło ono tego stopnia doskonałości, który już w swoim rodzaju jest znakomitością. Nie ma ono już głupstwa do wydrukowania, każde jest tylko przedrukiem.

Gdyby nie inne to estetyczny wzgląd, że u nas w obozie zachowawczym nierównie jest przecież mniej głupców, nierównie mniej idiotyzmu i drukowanych niedorzeczności, skłonić musi inteligentnego człowieka do sprzyjania mu lub należenia do niego. Być może jednak, że obóz ten mniej obfituje w te okazy jedynie dlatego, że jest mniej licznym, bo to pewna, że jeżeli w liberalno-postępowym jest ich nierównie więcej, to w zachowawczym są one doskonalsze.

Wszędzie papier nie jest niecierpliwym, ale nigdzie doprawdy do tego stopnia jak u nas. I jakżeż nie ma być cierpliwym, skoro cierpliwość publiczności jest bez granic, skoro bezkarność dla drukowanych niedorzeczności jest bezmierną.

Jak nie ma u nas ducha publicznego, któryby karał niegodziwości i nikczemności, tak też nie ma rozumu publicznego, któryby karcił głupstwa i niedorzeczności. Bezkarność jest u nas następstwem braku tych dwóch najwyższych sędziów.

Gdyby bezkarność ograniczała się do niedorzeczności nudów i głupstw drukowanych, byłoby to ostatecznie rzeczą maku i przeszlibyśmy do porządku dziennego nad dobrym sma-

kiem galicyjskim; lecz tak nie jest, pod temi kwiatami tak wonnemi dla Galicyan ukrywa się wąż, żmija i jadowita ropucha, a wielką, niesłychaną i niepojętą jest bezkarność dla tych potworów, dla drukowanych niegodziwości, łotrostw i nikczemności, staje się ona powszechną, ogólną, gorszącą a w wysokim stopniu demoralizującą; nie ma w naszem społeczeństwie kary na drukowane zbrodnie i przestępstwa, nie ma jej dostatecznej w prawodawstwie, nie ma w wyrokach sądów przysięgłych. Powiedziano to już i lepiej jak my zdołalibyśmy, w owym artykule *Królowa Opinija*, który, jak ktoś rzekł, był czynem, wyjątkowym czynem odwagi. Wykazano tam opłakaną naszą bezsilność wobec drukowanych potworności i dziennikarskich nikczemności. Zakończenie głośnej a gorszącej sprawy, która natchnęła po części autora stało się przykładem najzuchwalszej a wszechstronnej bezkarności. Krzywdzący się wzajemnie, sami sobie darowali wzajemnie winy, sądy nie dociekały ich, królowa opinija, jak to przepowiedziano, przebaczyła je i rozgrzeszyła z nich, ludzie zacni zamilkli i nic się nie zmieniło w Galicyi, przybyła tylko jedna galicyjska nikczemność więcej. I cóż dziwnego że społeczeństwo, które do tego stopnia samo szanować się nie umie, ściąga na siebie coraz większe zniewagi i obelgi i że nie umiejąc karać niegodnej i haniebnej publicystyki dostaje w twarz bezkarnie policzki w formie zaproszeń na przedpłatę pism wywieszających cynicznie firmy, za które wypadałoby się rumienić. Zamiast oburzać się na nią, ogół zdaje się być rozmiłowanym w owych zapasach i igrzyskach, a jak Cezary dla zabawy wychowywali i kształcili gladyatorów i dzikie zwierzęta, tak cezar nasz, publiczność galicyjska, wychowuje i kształci dla swej rozrywki szermierzy pióra władających potwarzą, obelgą i walczących z sobą każdą inną prócz szlachetną bronią.

Fatalne a równie ohydne jak gorszące stosunki dziennikarstwa galicyjskiego oddziaływują najzgubniej na opinię publiczną i czynią ją niezdolną do karcenia; to ciągłe obcowanie z nikczemnością i głupotą denerwuje ogół tem więcej, że u nas pomimo tylu niezręcznych a dowiedzionych nadużyć dziennikarstwa wierzą jeszcze ślepo w to, co drukowane, a chociaż tak mało czytają, czytają przecież to, co niegodziwe, a to co niegodziwe byle drukowane, ma wiele u nas powabu i uroku. Naiwność do tego stopnia jest posuniętą, że publicznie wyrażono zdanie, iż

praca dla narodu na tem polu winna zmazać „mimowolne zboczenia młodości.“

Bezkarność więc w dziedzinie sprawiedliwości tem niebezpieczniejszą jest dla nas, że nie ma u nas poważnej opinii publicznej. Dawniej niezaprzeczenie karcenie ze strony tej opinii wynagradzało poniekąd bezkarność urzędową. Dziś i tej siły zabrakło sprawiedliwości.

Mało mając do stracenia, nie powinnibyśmy się narażać na stratę resztek mienia. Dozwalając bezkarności rozszerzać się w naszem społeczeństwie, grubą i niebezpieczną rozpoczynamy grę, w której nas łotry i szulery ograją. Nauki, srogie nauki przeszłości nakazują nam wystrzegać się bezkarności, tem więcej, gdy nowoczesna grozi rozsadzeniem i zniszczeniem wszystkiego, co stanowi treść naszego bytu; nie zdołamy w dzisiejszych czasach stawić jej zapory, jeżeli nie wytworzymy sami w sobie silnej, pełnej hartu i męzkości uczciwej i poważnej opinii publicznej umiejącej karać. To jedno jest w naszej mocy naprzeciw tej zarazy. Czy podołamy zadaniu? Nie mamy odwagi zwątpić.

Cokolwiek u nas się stanie, to pewna, że jak wszystkie niedorzeczności i niegodziwości dzisiejsze, tak i bezkarność wywoła wcześniej czy później w świecie reakcyę, reakcyę tem straszniejszą, im złe dłużej szaleć będzie; a niech nikt się nie dziwi, że uczciwi ludzie tak tej jak i innym ochoczo podadzą rękę, choćby ona miała być krwawą i okrutną, złe bowiem przebierać zaczyna miarę we wszystkich kierunkach tak, że nie widzi się zbawienia i ratunku, jak tylko w reakcyi, tak dobrze w dziedzinie społecznej i politycznej, jak w dziedzinie sprawiedliwości; a u nas przed innemi w reakcyi rozumu przeciw głupocie, która oby czemprędzej nastała.

St. Koźmian.

KILKA SŁÓW

O CHOPINIE*).

Kiedy się przestaje wiele pomiędzy naszymi poetami XIXgo wieku, kiedy się rozmyśla o jedynem, niepowtórzonem w historyi znaczeniu i wpływie tej poezyi, kiedy się przegląda tych myśli przędzę i tych uczuć kwiaty, jakie w tę arkę złożył Mickiewicz, kiedy się słucha poważnych, smutnych tonów Dawidowej arfy Krasińskiego, i przejmujących, rzewnych, uroczych, a nieraz tak kapryśnych i urywanych dźwięków, jakie wydawała za lada dotknięciem, lada dmuchnięciem wiatru arfa eolska zamknięta w piersi Słowackiego, mimowolnie myśl szuka jednego jeszcze, którego nazwano czwartym wielkim poetą Polski, Chopina, i pyta, jaki on był, czy do tamtych podobny, czy ich blizki, w czem od nich różny, czy godzien doprawdy być liczonym jako czwarty do tej wielkiej poetycznej trójcy, czy jego imię może bez wstydu wymawiać się po tamtych? Mimowolnie mając do czynienia z naszą poezyą XIXgo wieku, myśli się o Chopinie; słyszy się w duszy jego polonez, jak żeby akompaniament do końcowego obrazu Pana Tadeusza, czytając tęskne i rzewne skargi Słowackiego, któremu tak trudno do tego życia jakie miał przywyknąć i „zapomnieć wdzięku, co młodość odludną wodził na starych opłotki cmentarzy,“

---

*) Z odczytu publicznego w roku 1871.

przypominają się jakieś oderwane, żałosne, tęskne dźwięki preludiów lub mazurków, jak żeby ta muzyka była tylko innym wyrazem tej samej myśli, tego samego uczucia; a kiedy Krasiński głębszym, rozpaczliwszym może od innych głosem opowiada „czyściec dni teraźniejszych“ i jak Dant za życia przechodzi przez piekło, wtedy zda się, jak żeby do tego straszliwego pochodu grały mu głuche, ponure, przerażające pierwsze akordy Marszu Żałobnego. A kiedy tamci trzej z archanielskiemi skrzydłami i głosem strzegli „narodowego pamiątek kościoła“, ten czwarty był jak ów słowik Wajdeloty, co

„brzmiącą piersią nad zgliszcza i groby
nuci podróżnym piosenkę żałoby,“

a ta pieśń jego, szczęśliwsza od tamtych, jedna na prawdę, „tłum ludzi obiegła“. Bo kiedy słowo, choćby najpiękniejsze i najwyższe, jest dla wszystkich, prócz swoich, martwą literą, to nieujęty, nieokreślony język tonów ma ten przywilej, że „może duszę prosto w duszę przelać,“ i pieśń żałoby, w poezyi nam tylko zrozumiała i przystępna, rozeszła się po całym świecie w uniwersalnym języku muzyki, i znalazła wszędzie takich, którzy ją pojmują i wielbią. Istotnie Chopin może tylko cudzoziemcom dać wyobrażenie o tem natchnieniu oryginalnem, smętnem, a tak wybitnie rodzimem i własnem, które jest cechą poezyi polskiej, bo tem samem natchnieniem ożywiona i przejęta jest jego muzyka, i jest ona przez to jakoby uzupełnieniem i tłumaczeniem tej poezyi. To też w historyi naszego życia ma ona swoje wielkie znaczenie i wielką zasługę, reprezentuje na zewnątrz górujący ton naszego usposobienia, a reprezentuje go tak chlubnie, że sobie i nam zjednała sławę i prawo obywatelstwa w państwie muzyki, któregośmy przed nią nie mieli: jest w swoich warunkach odbiciem i wyrazem tego samego ducha, który wydał naszą poezyę. Jest zbliżenie pomiędzy Chopinem a współczesnymi jego wielkimi poetami, jest wspólność uczuć i natchnienia, są nawet niektóre podobieństwa natur; i jako pierwszy prawdziwy muzyk polski, dotąd jedyny prawdziwie wielki i jedyny prawdziwie oryginalnie polski, jako ten, który nam zdobył zaszczytne stanowisko w świecie sztuki, miałby prawo do naszej pamięci i wdzięczności. A kiedy do tego przyjdzie jeszcze urok natury dziwnie

szlachetnej i wykwintnej, z uczuciami pięknemi i wzniosłemi, z wyobraźnią bujną i żywą, z inteligencyą niepospolitą i z tą czułością smętną, tęskną do zbytku prawie, do chorobliwości, która tak umie zdobywać sobie wspólczucie kiedy jest prawdziwą, złoży się z tych pierwiastków jedna z najwdzięczniejszych i najbardziej zajmujących postaci współczesnej Polski. Są ludzie, którym ta natura i ta muzyka jest przeciwną, nie ma podobno takich, którymby była obojętną, a liczba niechętnych jest tak małą, że niknie w ogromnej większości tych, którym Chopin trafia do serca. I ta powszechna, serdeczna sympatya, która go otacza, która sprawia, że nic nie jest obojętnem, co się do niego odnosi, może ośmielić i niepowołanych, niemających prawa sądzić o jego sztuce i stanowisku muzykalnem, do powiedzenia o nim słowa, jeżeli szczęśliwy przypadek dał im w rękę kilka szczegółów o nim, które nie są powszechnie wiadome, kilka z pierwszej ręki śladów jego uczuć i wrażeń przechowanych w listach lub zapisach rzuconych od niechcenia na kartki albumu: nie będzie to ocenieniem wielkiego muzyka, ani najlżejszym nawet szkicem życia i postaci człowieka, ale może być dorzuceniem kilku rysów, kilku szczegółów godnych pamięci, do tego zasobu wiadomości o Chopinie, z którego kiedyś złoży się przecie całkowity obraz jego życia i dzieła, obraz, na który może już zadługo czeka i jego chwała, i nasza dobra sława.

„Kiedy wojna była skończona, a Cezar wygnany, kiedy „wszystkie ściany zawieszone były portretami Wellingtona i Blü„chera z podpisem *„Salvatoribus mundi“*, mówi Musset w swojej poetycznie tak pięknej, a psychologicznie tak bystrej diagnozie choroby wieku (*Confessions d'un enfant du siècle*, Chap. II.), „wtedy na tych wszystkich gruzach zasiadło młode „pokolenie posępne i zamyślone. Każde z tych dzieci miało „w sobie tę krew gorącą, która się lała strugami po całym „świecie, każde marzyło o śniegach Moskwy i piaskach Egi„ptu, każde miało w głowie cały świat marzeń myśli i pra„gnień, a teraz gdzie spojrzeli, w niebo czy na ziemię, wszy„stwo było puste, ludzie dojrzali wątpili o wszystkiem, ludzie „młodzi zaprzeczali wszystko, poeci opiewali rozpacz. Stra„szna beznadziejność, jak morowa zaraza zaczęła grasować po „świecie.“

Tak tłumaczy poeta francuski współczesną sobie chorobliwą generacyę w swoim kraju, i samego siebie: a jeżeli tam stosunki umysłowe i polityczne, o tyle przecież lepsze, wydały takie pokolenie posępne i chorobliwe, o ileż więcej usprawiedliwieni byli ci z Polaków, u których smutek przechodził w chorobliwą melancholię, a nadzieja w mistycyzm: sama natura czulsza i miększa usposabiała ich łatwo do tego, a wszystko dopomagało wrodzonej skłonności i rozwijało organizmy do zbytku czułe i drażliwe, piękne, szlachetne, ujmujące, ale skazane na to, żeby nigdy nie były w stałej i zupełnej równowadze. Owszem, możnaby raczej dziwić się, że ich nie było więcej, i że nie doszły do większej goryczy i zwątpienia, bo u nas pomiędzy ludźmi tego pokolenia i usposobienia, smutku i cierpienia jest wiele; ale rzecz godna uwagi i pocieszająca, rozpaczy zupełnej, na którą nie ma rady, zwątpienia we wszystko, w Boga, w ludzkość, w godność natury ludzkiej i naostatku lub najpierwej w siebie samego, tych nie ma; dusza jak gwardya pod Waterloo, nie poddaje się nigdy: w bluźnierstwach i buntach Konrada, w Słowackiego goryczy i wzgardzie, w Krasińskiego tak czarnych obrazach dzisiejszej ludzkości, wszędzie na dnie obok cierpienia bez granic, jest i bez granic także miłość dobrego i stała wiara w dobre.

A pośród tych ludzi zdolnych znieść największą miarę miłości i cierpienia, których dusza wydaje się lub jest chorą, bo jest smutną aż do śmierci, pośród tych natur, które chwytają serca za dwie strony najsilniejsze, za uwielbienie, za współczucie i za pożałowanie, stoi Chopin jako jeden z organizmów najwykwintniejszych, najdelikatniejszych, najbardziej pociągających przez swoją wrodzoną piękność i godność, i przez ten rys tęsknoty i smutku, który jest głównem znamieniem jego duszy i jego muzyki.

Natura zawiła jak rzadko, nawet w tym wieku natur zawiłych. Z jego muzyki wnosi się, że tłem tej duszy był jakiś stały smutek, melancholia, która niekiedy przechodziła w paroksyzmy rozpaczy, i tak było istotnie. Ale obok rzewności i tęsknoty, obok kobiecej delikatności nerwów, była tam i dziecinna swobodna wesołość, i chwile takiego humoru, takiej fantazyi i rezonu, że ten brat Słowackiego i Musseta wyglądał niekiedy jak rówiennik i towarzysz pana Paska, fara

eolska odzywała się tonem wiejskiej basetli; prawda, że te chwile humoru i zapomnienia nie trwają nigdy długo, tak jak w niektórych mazurkach, gdzie ochota szczera, prawie rubaszna, kończy się tem cięższym smutkiem. Jakby się ta natura była wyrobiła w innym kraju, w innych czasach i okolicznościach? Któż może wiedzieć, dochodzić próżno; ale musiał tam na dnie być wielki zasób swobody i pogodnego usposobienia, kiedy nawet takie koleje życia nigdy go zupełnie przygłuszyć nie zdołały. Świadczy o tem nie jeden jego pomysł muzyczny, a ci, co go znają, wspominają dotąd szczególny i jemu tylko właściwy wdzięk jego wesołości i dowcipu. — Osoba, która długie lata przeżyła w ścisłej z nim zażyłości, zapisuje między innemi swemi wspomnieniami o Chopinie, że był to „mimik najdoskonalszy i najzabawniejszy. Bez prze„brania, bez wszystkich sposobów, jakich używa aktor na sce„nie, w jednej chwili zmieniał twarz, ruchy, postawę, tak, „że najlepsi znajomi poznać go nie mogli, a zawołani artyści, „jak Boccage i pani Dorval, zapewniali, że nie widzieli nigdy „takiego daru udawania i takiego wrodzonego komicznego „talentu.“

„Umysł miał wesoły, a serce tęskne“, mówi ktoś inny z jego przyjaciół, a słowa te znaczą, że w stosunkach z ludźmi, w rozmowie, chciał i umiał ujmować wesołością: w uczuciach miał tę rzewność, tę miękkość, która pociąga i przywiązuje. Jaki musiał być wdzięk natury tak złożonej, jeżeli do tego dodamy jeszcze usposobienie artystyczne najwykwintniejsze, objawiające się w każdej myśli i w każdem słowie, i milszą lepszą od tego wszystkiego wzniosłość serca. W uczuciach swoich dziwnie zamknięty, bojący się żeby ich nie poniewierać pokazując, nieśmiały i odludny, ludziom udzielać się nie lubił, a naodwrót tego, co się zwykle widzi u artystów, nic nie było mu tak wstrętnem, jak popis i oklaski: dać koncert, to było nieszczęście, któremu się poddawał z największym przymusem i niechęcią. Dumy miał tyle tylko, ile trzeba koniecznie, żeby być godnym; swoją wartość artystyczną znał, ale jej nie przeceniał, a cudzą rad uznawał i wielbił. Podobny do Słowackiego usposobieniem smutnem, nerwowem, chorobliwem, był od niego lepszy, bo był wolny od zarozumiałości i miłości własnej, a tego uczucia, które paliło tamtego na widok wyż-

szych od siebie, u Chopina nie było śladu. Z ludźmi był tak uprzejmy i miły, tak dobrze wychowany, że nawet rozdrażnione nerwy, nawet cierpienie fizyczne, nawet gwałtowne antypatye, które, jak wszyscy ludzie nerwowi, miewał często i od pierwszego razu, nie brały góry nad wykwintną przyjemnością w obejściu. Jeżeli kto zdołał ją czasem pokonać, to chyba ludzie głupi, którzy go nie cierpliwili nad miarę, a zwłaszcza uczniowie tępego i ciasnego pojęcia; wtedy „zdarzało się czasem, że latały po powietrzu kartki z muzycznych kajetów, a nawet nieprzyjemne słowa, wtedy ta ręka „wątła, delikatna, kobieca, łamała ołówki, a nawet krzesła „jak trzcinki; ale gdy ujrzał łzy w oczach takiej nieszczęśliwej uczennicy, gniew jego uśmierzał się natychmiast, a dobroć szukała sposobu, jakby wynagrodzić przykrość, którą wyrządził.“

Do charakterystyki jego usposobienia do zbytku wrażliwego należy jeszcze to, że był w najwyższym stopniu przesądny: siódemki, trzynastki, piątki, poniedziałki, wszystkie te małe trwogi wyobraźni chorobliwych miały u niego wielkie znaczenie. Do charakterystyki usposobienia artystycznego, zamiłowania piękności nawet w drobiazgach, należy tu ubiór staranny aż do przesady prawie. (Nigdy żadne ubranie nie było dość dobrze zrobione); przed każdym koncertem było zawsze zamówionych fraków kilka u kilku różnych krawców. Przymierzały się wszystkie jeden po drugim, ale żaden nie leżał nigdy dość dobrze. W ostatniej chwili, kiedy już trzeba było wychodzić na estradę, mistrz w rozpaczy brał czemprędzej frak swego przyjaciela i ucznia, Guttmanna, dwa razy za długi i za obszerny na siebie, i w tym wychodził. Zamiłowanie wykwintnego ułożenia i obejścia posunięte może było do zbytku, ale to skutkiem tego, że go mierził i korcił ówczesny obyczaj artystów, którzy zasadzali geniusz na złem wychowaniu, ubraniu zaniedbanem, na nieładzie bród i włosów. Kiedy komponował, nie mógł nigdy zdecydować się na ostateczną formę, jaką miał dać swojej myśli. Było ich zawsze wiele do wyboru, a sam wahał się i nie mógł tego wyboru zrobić. Wtedy wołał którego z przyjaciół, a co jeszcze wołał, jakie dziecko, przegrywał mu wszystkie frazy, z których jedna miała być wybraną, zdawał się na jego instynkt, i podawał do druku

tę, którą wezwane dziecko uznało za najładniejszą. Do charakterystyki dobrego serca wreszcie należy to, że wszystko, co miał, rozchodziło się zawsze w dobrych uczynkach, lub w uczynkach, które nie będąc koniecznie dobremi, miały drugim zrobić przyjemność. W chorobie i cierpieniu przykry chwilami, ale pełen odwagi i rezygnacyi: dowcip zabawny, miły, czasem uszczypliwy, dusza gorąca, czuła, namiętna, a pełna jakichś delikatnych instynktów w czułości, w poświęceniu, dusza kobieca, serce potrzebujące kochać jeszcze więcej jak być kochanym; taki był ten człowiek, którego Bóg stworzył uczuciowym i wrażliwym, któremu natura dała nerwy do zbytku delikatne i czułe, któremu wiek i kraj, w którym się narodził, jako podarunek chrzestny dały tęsknotę i smutek. I taki człowiek do tych wszystkich darów, szczęśliwych dla nas, ale zgubnych dla jego szczęścia, łączył jeden jeszcze: był artystą, był muzykiem.

Od dzieciństwa dzień schodził mu pośród tonów i dźwięków, kiedy ich nie słyszał, to myślał o nich, przywoływał je na pamięć, tworzył nowe w wyobraźni, śnił o nich w nocy. Łatwo pojąć, jak to życie w ustawicznej muzyce musiało wyostrzyć nerwy z natury wrażliwe, jak uczucia, wyobraźnia, cały świat moralny i umysłowy człowieka musiał się stawać subtelnym, eterycznym, jak bolesną dysharmonią musiało się odbijać w jego sercu każde zderzenie z mniej piękną rzeczywistością ludzkich uczuć, charakterów i stosunków: jaki wpływ wywierać musiała zwłaszcza własna jego muzyka, skutek tego usposobienia i jego odbicie, a zarazem przyczyna coraz dalszego postępu po tej samej drodze, wzrostu tej czułości rzewnej do zbytku, tej tęsknoty przechodzącej w melancholię, do potęgi coraz wyższej? Jak ten biedny instrument musiał się nastrajać wysoko i coraz wyżej, na ton smuny i coraz smutniejszy, a i jak musiał rozstrajać się boleśnie i przykro, jak struny musiały się zrywać i pękać, kiedy go życie pochwyciło w swoje ręce grube i twarde? jak uderzyło w te struny delikatne i wytężone coraz to nowem cierpieniem, coraz nowem rozczarowaniem, odosobnieniem, tęsknotą, rozdziałem ze wszystkimi, których kochał, i ich stratą, wreszcie burzą miłości zgubnej, zabójczej, fatalnej — dźwięczały struny coraz żałośniej pod dotknięciem tych wszystkich smutków, aż wreszcie biedny

instrument rzucany i kołatany bez litości po wszystkich kamienistych drogach żywota, wątły z natury, zwątlony do reszty chorobą, rozbił się i umilkł na zawsze.

Jakim był Chopin w swojej pierwszej młodości, jeszcze w Warszawie? Skłonnym do marzenia, do tęsknoty, do melancholii, ustrojonym z natury do minor, niezawodnie, ale nie rozstrojonym jeszcze, jak bywał w latach późniejszych. Była to tęsknota łagodna, jaką daje marzenie, nie ta ciężka i gorzka, jaką zostawia w duszy rzeczywistość i doświadczenie życia. Jedno z dzieł jego dawniejszych, dziesiąte z rzędu, nokturn (nr. 1) jest odbiciem dość wiernem i charakterystycznem tego usposobienia, i zarazem rodzajem jego talentu. — W ogóle uzdolnienie muzyczne w tej pierwszej epoce było już prawie do pełni rozwinięte. Wyrabiał się ten talent pod wpływem Fielda, który mu dostarczał form tak dla niego odpowiednich, jak nokturn. Umiejętne wykształcenie w sztuce, znajomość praw kompozycyi czerpał głównie z nauki Humla, „uczył się „od najlepszych, mówi o nim Schumann, od Bethowena wziął „śmiałość i polot, od Schuberta rzewność uczucia, od Fiedla „biegłość ręki;“ a oryginalne piętno swojej muzyki, które ją od wszystkich innych odróżnia, wyciskał już na najpierwszych swoich utworach. Że one musiały odrazu być bardzo uderzające i oryginalne, za dowód może służyć sposób, w jaki były przyjęte w jednem z najznakomitszych kół muzycznych w Niemczech:

Robert Schumann opowiada w swoich pismach o muzyce i muzykach *(Gesammelte Schriften über Musik und Musiker)*, że na jednem ze zwykłych zebrań pewnego grona młodych entuzyastów muzyki w Lipsku, przybiegł raz jeden z jego kolegów, blady, bez tchu, rzucił na stół jakieś nuty, i zawołał: „czapki z głowy Panowie, nowy geniusz“ — i zaczął grać. Były to waryacye na temat z Don Juana, a gdy się skończyły, nie wiedzieli wszyscy ci znawcy, czyje one być mogą: „Beethovena ani Schuberta nie są, a kiedy nie ich, więc któż może tak komponować? Wtedy spojrzeli na tytuł, a na tytule stało: „*La ci darem la mano, varié pour le Piano par Fréderic Chopin*“, op. 2. Drugie dzieło! Podziwienie było bez granic. „Przecie coś dobrego! Chopin? — „Kto o nim słyszał? co to za jeden? geniusz!“ — a potem

opisuje Schumann wrażenie, mówi, że mniemał słyszeć gruby śmiech Leporella i szklanny głos Zerliny, widzieć biały płaszcz z Don Juana i nadąsaną figurę Masetta, i kończy temi słowy, „że schyla głowę przed taką sztuką, przed takim geniuszem, „przed takim mistrzem.“ Nie wszyscy wprawdzie przyjęli go z takim zapałem: poważna krytyka marszczyła brwi na jego Koncerta, pisała po muzycznych gazetach, że jego kompozycye warte są tylko, żeby je podrzeć i w piec rzucić. Schumann odpowiadał na to, że książę Modeński nie uznał Ludwika Filipa, a jeden takt Chopina wart więcej, jak całe roczniki pism muzycznych. Pisze on to z powodu dwóch Koncertów (op. 11 i 21), które były napisane jeszcze w Warszawie, jak niektóre mazurki, jak Polonez na fortepian i violencellę (op. 3), a jakkolwiek i dziś podobno muzycy nie podzielają zapału Schumanna i Koncertów nie liczą do najpiękniejszych natchnień i najdoskonalszych dzieł Chopina, przecież nie przeczą, że talent, który je wydał, był już skończony i gotowy, „nie stał na czele wielkiej armii orkiestrowej, miał tylko mały „pułk pod sobą, ale w tym pułku wszystko go słucha i robi, co on każe, aż do ostatniego żołnierza. (Schumann. Gesammelte Schriften I. B. s. 161).

I tak, z talentem wyrobionym, ze sławą zrobioną w Warszawie, z ufnością w siebie, czerpaną więcej zapewne w własnem poczuciu aniżeli w zaświadczeniach cudzych, i z jakąś niedokładnie znaną pierwszą miłością w sercu, a w organizmie z zarodem tej choroby piersiowej, której się dla niego obawiano już w dzieciństwie, a która z latami stawała się groźniejszą, tak, że pokazała się potrzeba klimatu mniej ostrego, po pierwszym wielkim świetnie przyjętym koncercie w Warszawie, wybrał się młody Chopin za granicę po sankcyę tamtejszych znawców dla swego talentu, po wydoskonalenie w sztuce, i po zdrowie, nie przeczuwając, że do tej Warszawy nie miał już nigdy powrócić *). Wyjechał z lekkiem sercem, z głową pełną tonów i pomysłów, pełną może marzeń o sławie

---

*) Rodziców widział Chopin od tego czasu raz tylko w Karlsbadzie. Po śmierci ojca, matka wybierała się do niego do Paryża; ale dowiedziawszy się, że nie był sam, musiała odstąpić od tego zamiaru.

i szczęściu: mam dziś tylko jednego cwancygiera w kieszeni," zapisuje w Wiedniu w swoim pugilaresie, „a zdaje mi się, żem „bogatszy od Artura Potockiego, którego przed chwilą spot-„kałem." Obok tego koncepta, figle, dowodzące spokojnego, wesołego umysłu, naprzykład: „Niech mi wolno będzie zapi-„sać się w grono przyjaciół pańskich — F. Chopin" — albo: „Pożądana chwila, w której mogę oświadczyć mu moją przy-„jaźń — F. Chopin, biurzysta" — albo znowu: „A mój mości „dobrodzieju, nie pojmuję sam siebie z uciechy, jakiej doznaję, „wstępując w grono jego prawdziwych przyjaciół — F. Chopin, „golec."

Niestety ten błogi spokój nie miał trwać długo, a ten wyjazd miał się stać hasłem i początkiem wszystkich udręczeń jego życia, i w jego muzyce miał oznaczać zwrot od tego charakteru łagodnie smętnego, jaki noszą na sobie jego utwory pierwsze, do tego smutku burzliwego i niepocieszonego, który tak często stanowi charakter późniejszych.

W tej podróży tak stanowczej miał Chopin przy sobie mały pulares, rodzaj albumu, w którym zapisywał niekiedy i od niechcenia różne zdarzenia, jakie mu się przytrafiły, i różne myśli, jakie mu przechodziły przez głowę, i który, rzeczy zwykle lubią przetrwać ludzi, dochował się do naszych czasów. Na pierwszej kartce jest tam rysunek, widok warszawski, kolumna Zygmunta oświecona księżycem, i perspektywa otwarta na Krakowskie Przedmieście. Dalej wklejony kawałek papieru zżółkły, pomięty, na którym napisano śmiałą zamaszystą ręką: „*on vous adore*" i podpis „*George*". Te dwie kartki albumu to jak żeby w dwóch symbolach historya jego życia i świadectwo dwóch wielkich uczuć jego duszy. Warszawa, to początek, to życie swobodne, spokojne i szczęśliwe; tamto, to późniejsze burze i zgryzoty; Warszawa, to wspomnienie i miłość kraju; tamto, to pamiątka innej miłości, która w jego życie tyle wlała goryczy; jedno i drugie, to dwie struny najgłośniej i najstalej dźwięczące w akkordzie jego cierpienia. Raz jedna, drugi raz druga odzywa się głośniej, ale słychać je odtąd ciągle, we wszystkiem co myśli, we wszystkiem co pisze, we wszystkiem co tworzy, od chwili wyjazdu z kraju, aż do śmierci. I te dwie rzeczy padłszy na naturę z gruntu tęskną, nerwową, melancholiczną, dręcząc ją przez całe lata,

wyrobiły w niej ten smutek nieuleczony, tę melancholię chorobliwą, ten stan nieraz tak blizki rozpaczy, widoczny w jego kompozycyach. Natura taka z góry była może skazaną na to, żeby równowagi nie znaleźć nigdy, jednak w innych stosunkach, gdyby był Chopin został w kraju i w zwyczajnych kolejach życia, organizm jego byłby z postępem lat stawał się zdrowszym, jego talent byłby się wyrabiał spokojniej, klasyczniej, bardziej po męzku: ale wyrzucony z tej kolei gwałtownie nietylko równowagi znaleźć już nie mógł, ale tracił ją coraz bardziej, a talent jego rozwijał się w kierunku tej zbytecznej, nerwowej, kobiecej rzewności i drażliwości.

Usposobienie to objawia się rychło po wyjeździe z Warszawy. „Dziś było ślicznie w Praterze. (pisze Chopin ołówkiem w swoim albumie w Wiedniu. „Mnóstwo osób nie obchodzą-„cych mnie wcale. Zieloność uwielbiałem; zapach wiosenny „i ta niewinność w naturze przypominały mi dziecinne uczu-„cia moje. Na burzę się zebrało, wróciłem. Burzy nie było, „tylko mnie smutek ogarnął. Dla czego? Ani muzyka mnie „dzisiaj nie cieszy; już późno, a spać mi się nie chce; nie „wiem czego mi brak. A już trzeci krzyżyk zacząłem!“

Czegóż mu brak? czemu go smutek ogarnia? w Wiedniu owszem wiedzie mu się pomyślnie. Znajomości w świecie artystycznym porobione, sława go czeka. Jemu niczego nie brak, tylko tęskni jak człowiek bardzo czuły, a jak człowiek, który siebie samego w mocy nie ma, chciałby mieć teraz to, co zostawił w kraju, jak w kraju marzył o pięknościach zagranicznego świata i o tej sankcyi artystycznej, której się od niego spodziewał. „Już dzienniki i afisze głosiły mój koncert „za dwa dni dać się mający, a jak gdyby nigdy być nie miał, „tak mnie to mało obchodzi. Nie słucham komplementów, „które mi się coraz głupszemi wydają. Chce mi się śmierci, „i znów chciałbym rodziców widzieć. Jej obraz stoi mi przed „oczyma: zdaje mi się, że już jej nie kocham, a przecież „z głowy mi nie wychodzi. Wszystko, co dotąd za granicą „widziałem, zdaje mi się stare, nieznośne, i tylko mi wzdy-„chać każe do domu, do tych chwil błogich, których cenić „nie umiałem. To co dawniej wielkiem się zdawało, dziś zwy-„czajnem, to co dawniej zwyczajnem, dziś niepodobnem, za „wielkiem, za wysokiem. Tu ludzie nie moi; dobrzy, ale do-

„brzy ze zwyczaju, czynią wszystko zbyt porządnie, płasko, „mierne, co mnie dobija. Mierności czućbym nawet nie chciał. „Dziwno mi, smutno mi, rady sobie dać nie mogę; czemuż „ja sam!“

Rady sobie dać nie mogę! to prawda. Jak znać w tych słowach jakiś stan zamętu i rozstroju, dążeń nieokreślonych, pragnień nieujętych, tęsknot bez przedmiotu. I w co się stan taki obróci jak na niego spadnie prawdziwy powód cierpienia, jaki chaos smutku i rozpaczy, jaką plątaninę cierpień wyda ten zamęt i rozstrój, kiedy go wzburzy prawdziwe, rzeczywiste, wielkie nieszczęście. A przyszło, nie kazało na siebie czekać. A co się w nim wtedy działo, na to są świadectwa w tem samem małem albumie. Żal, rozpacz, wściekłość, przekleństwo, bluźnierstwo, łzy, wszystko to dobywa się razem jedno przez drugie, a przez wszystko przebija uczucie najstraszniejsze ze wszystkich, niespokojność, niepewność, męczarnia sroga dla natur najtwardszych, dla czułych i nerwowych rzecz doprowadzająca do szaleństwa. Pomiędzy wszystkie łzy i żale pomiędzy wszystkie skargi do Boga i na Boga, miesza się i wraca jak zwrotka ta myśl dręcząca, to torturowe pytanie, co się dzieje z ojcem, z matką, z siostrami.... W tej rozpaczy „wyrywają mu się słowa: przypominające Mickiewicza: Tyś nie Ojcem świata!“ dziwne spotkanie uczucia, myśli, słów nawet, a spotkanie bezwiedne, bo improwizacyi nie było jeszcze na świecie, kiedy Chopin zapisywał te słowa w Stuttgardzie, a kiedy Mickiewicz pisał trzecią część Dziadów, już te słowa Chopina przez nikogo nie słyszane i nie widziane, zamknięte były w jego albumie, z którego dziś po raz pierwszy na świat wychodzą.

A potem zwrot do swoich: „Mój biedny ojcze! Mój po„czciwiec może głodny? może matce nie ma za co chleba „kupić? Może siostry moje.... O ojcze, takaż to pociecha na „twoje stare lata! Matko, biedna cierpiąca matko, na to prze„żyłaś córkę“.... Ta skłonność ludzi czułych i nerwowych, żeby się dręczyć wyobraźnią, żeby w złem przypuścić zaraz co najgorsze, najokropniejsze, żeby przeczuciem wypić wszystkie gorycze kielicha, nawet te, które nam były darowane. A potem, pierwsza myśl, która mu do głowy przychodzi, jest tak rzewna, tak czuła, jak żeby z serca kobiety: myśl o tych,

których kochał i stracił, o zmarłej siostrze, czy jej grób ocalał w powszechnem zniszczeniu: „ach! czy jej grób ocalał? „zdeptany, tysiąc innych trupów przywaliło mogiłę“.... że matka pomyślałaby tak zaraz o grobie straconego dziecka, to pewna, i to nie byłoby dziwne; ale mężczyzna z taką myślą powstającą zaraz, z taką uczuciowością żalu, to rzadki i dziwnie piękny fenomen.

Innego dnia znowu, zawsze jeszcze w Stuttgardzie, kiedy po tem pierwszem strasznem wrażeniu przyszła jeszcze smutniejsza refleksya: kiedy nad każdym z swoich żalów, nad każdą ze swoich obaw, miał czas rozwodzić się w myśli i każdą z osobna się dręczyć, wiercić nią w sercu aż do dna, wtedy uczucie do najwyższego stopnia zbolałe dochodzi niemal do obłędu, a wyobraźnia do najwyższego stopnia wytężona, prawie do hallucynacyi, mniema widzieć to wszystko, o czem myśli, rodziców, siostry, kochankę, pomordowane, znieważone: „Co się z nią dzieje?... gdzie jest?... biedna może „ją kto dusi, morduje, zabija! ah życie moje, ja tu sam, chodź „do mnie, otrę łzy twoje, zagoję rany teraźniejszości przypo„minając przeszłość... wtenczas, kiedy jeszcze nic złego nie „było, wtenczas, kiedy tylko kilku obcych tobie najgoręcej „podobać się chciało, a tyś z nich drwiła, bom ja tam był.... „Masz matkę?.... i taką złą... a ja mam taką dobrą.... „a może już wcale matki nie mam? może zabita, zamordo„wana.... siostry bez zmysłów nie dają się, ojciec w rozpa„czy nie wie sobie dać rady“.... To już człowiek blizki szaleństwa, człowiek, któremu z rozpaczy zaczyna się mięszać w głowie! Hamlet kiedy znienacka pyta Ofelii „czyś piękna, „czyś cnotliwa,“ nie jest podobniejszy do waryata, jak on niewiedzieć zkąd zapytuje; „masz ty matkę,“ a potem przez ten ukryty związek myśli właściwy obłąkanym przychodzi do własnej matki, której może już nie ma. A jak żeby na to, żeby w tym stanie jego duszy nie brakło, ani jednego z uczuć strasznych i rozdzierających, zamyka ten zapisek zgryzota, pogarda siebie i przekleństwo: „a ja tu bezczynny! a ja tu „z gołemi rękami! czasem tylko stękam, boleję i na forte„pianie rozpaczam! Boże wzrusz ziemię, niech pochłonie ludzi „tego wieku.“

A te wszystkie uczucia, ten cały splątany kląb rozpaczy, wściekłości, dzikiej energii, płaczu, jęku, czułości, pogardy, przekleństwa, ten cały stan człowieka, który tego nawału uczuć znieść nie może, który jeszcze obłąkanym nie jest, ale jeszcze chwila, a zerwą się i pękną z ostatnim jękiem wszystkie struny rozumu i uczucia, odbija się w jednem z jego dzieł muzycznych, małem i nieznaczącem na pozór, a jednem z najrozpaczliwszych i najbardziej charakterystycznych, w Preludium nr. 24.

Ale jest stopień rozpaczy głębszy jeszcze niż rozpacz To ten, kiedy uczucie zbyt wysilone cierpieniem przechodzi niby w stan bezczucia, a myśl zmęczona zaczyna się plątać i rwać i tracić świadomość siebie. Wtedy człowiek jak ogłupiały traci władzę nad swemi myślami; myśli te powstają jak chcą, refleksya przyzwyczajona do ustawicznej czynności, pełni swoją funkcyę, zbliża te myśli i wiąże je w jakieś stosunki, ale robi to machinalnie, bez kontroli rozsądku, a związki myśli jakie potworzyła wychodzą jakieś dziwaczne, sprzeczne z rozumem i prawdą, straszne. Człowiek może mniej w takim stanie cierpi, aniżeli w poprzednich paroxyzmach rozpaczy, ale przez jakie męki, przez jakie konwulsyjne uczucia musiał przejść zanim, popadł w ten stan moralnego odrętwienia, dowód najlepszy, że w tem rozprzężeniu myśli, kiedy ani wola, ani rozum nie działają jak powinny, kiedy wyobraźnia usnęła jak furya zmęczona ściganiem Oresta, kiedy cierpienie samo wydaje się uśmierzonem, wtedy przez cały ten bezład niesfornych myśli i przez każdą z nich z osobna, przebija zawsze ten sam ton rozpaczy, jednostajny, głuchy, przytłumiony, nie tak gwałtowny jak w chwili pierwszego wrażenia, nie tak bolesny dla cierpiącego, bo on niezupełnie i niedokładnie wie, co czuje, ale przykrzejszy i straszniejszy dla drugich, bo podobny do monomanii, która jak motyw w waryacyach muzycznych przez najrozmaitsze zmiany tonów i kombinacyi, przebija przez wszytkie myśli i słowa i wraca do swego z tym uporem obłąkania na który nie ma rady. W takim stanie blizkim szaleństwa, z takim uporczywym powrotem do jednej myśli, w takim stanie prawie zatraconej świadomości siebie, a powstających, jak przez sen, bez działania rozumu i woli, jakichś mar i kształtów, dostarczanych przez pamięć dawnych wrażeń,

uczuć lub wypadków, zastajemy biednego Chopina, zawsze jeszcze w Stuttgardzie, w jesieni tego samego roku. Jednej nocy naprzykład, kładąc się spać, zastanawia się głęboko, dla czego on bez wstrętu idzie do łóżka, w którem nie jeden może człowiek umierał i leżał umarły:

„To łóżko do którego idę... może już nie jeden trup na „niem leżał, i długo leżał, a mnie to dziś nie robi wstrętu... „A cóż trup gorszego odemnie? Trup także nic nie wie o ojcu „o matce, o siostrach, o Tytusie [1], trup także nie ma ko„chanki, nie może rozmówić się z otaczającemi swoim języ„kiem... trup taki blady jak ja, trup taki zimny jak ja teraz „na wszystko zimnym się czuje"... ta lubieżność z jaką porównywa siebie z trupem, to uporczywe wyszukiwanie podobieństw i doprowadzenie porównania do najdalszych konsekwencyi, jest ciekawym fenomenem tego stanu w którym rozpacz doszedłszy już do swego kresu i nie mogąc iść dalej przechodzi przez pół w bezmyślność, w przez pół w hallucynacyę. I znowu dziwne zbliżenie: Mickiewicz po smutkach i zawodach swojej pierwszej miłości, pod wpływem rozpaczy, ma się za umarłego moralnie, identyfikuje się z upiorem... ten, pod wpływem rozpaczy ciekawie i chłodno wyszukuje podobieństwa między sobą a materyalną powłoką upioru, identyfikuje się prawie z trupem. Ale Szekspir mówi, że jest metoda w szaleństwie, a tą metodą, tą jego logiką jest ustawiczny powrót do tego uczucia które je sprowadziło, ono jest tą nicią Arjadny, po której można wyśledzić wszystkie kręte drogi labirentu obłąkania. Chopin filozofuje dalej na tym samym temacie z taką logiką, z taką matematyczną scisłością jak Hamlet kiedy szalonego udaje: „Zegary z wież Stuttgardu biją nocną godziną. Ileż w tej chwili „trupów się na świecie narobiło? Matki dzieciom, dzieci mat„kom poginęły.. ile smutku z trupów w tym momencie i ile „pociechy!" „Zły i dobry trup.. cnota i zbrodnia jedno, sio„strami kiedy trupy. Widać więc, że śmierć jest najlepszym „uczynkiem człowieka.... A cóż będzie najgorszym? narodzenie „jako wbrew przeciwne najlepszemu uczynkowi. Mam więc ra„cyę gniewać się żem przyszedł na świat." To to chłodne jak

[1]) Wojciechowski, przyjaciel najdroższy Chopina.

rozumowanie Hamleta, ale obok tego jest wykrzyk rozdzierający: „Czemuż żyjemy takiem nędznem życiem, które nas pożera i na to tylko jest, żeby trupów robiło?“ to, to jak owo rozpaczliwe życzenie Joba: obym się był nie narodził, ja co z żywota matki mam iść prosto do grobu.“ A potem wraca znowu do swojej myśli, do swojej manii, do tego trupa, i to w sposób coraz chłodniejszy, i coraz bardziej ogłupiały:

„Co komu przyjdzie z mojego bytu? nie zdam się do ludzi „bo nie mam pysków ni łydek?... a trup ma łydki? trup „także nie ma łydek, więc mi niczego nie brak do matema„tycznego pobratania się ze śmiercią.“ I znowu pamięć podsuwa inny przedmiot z przeszłości: „Czy ona mnie kochała, „czy tylko udawała? to sęk do odgadnienia.... tak, nie tak, „tak, nie tak, nie tak, tak... palec w palec, „Kocha mnie? „kocha mnie pewno, niech robi co chce.“

A jak w każdem szaleństwie przez szaleństwo odzywa się powód który je sprowadził, tak i w tym stanie szaleństwa blizkim odzywa się właściwe cierpienie: „Ojcze! matko! gdzieżeście wy? „może trupy?... może kto zrobił mi figla... o zaczekaj... „czekaj“... podobnym tonem mówi Hamlet kiedy szuka szczura. Aż wreszcie przychodzi przesilenie, kurcz serca puścił, przyszedł płacz: „alež łzy? Tak dawno nie płynęły?... oh długo „długo płakać nie mogłem... jakże mi dobrze... jak tęskno!“ Ta tęsknota która po wytężonej rozpaczy zdaje mu się ulgą, stanem błogim, jemu zwłaszcza, który wracając do tęsknoty wraca do swego stanu moralnego, znajduje się w swoim żywiole, wita ją jak przyjaciela, to rys godzien być poleconym rozwadze psychologów, znawców, serca ludzkiego, i poetów. On sam zastanawia się nad tą sprzecznością, i zdaje sobie sprawę ze stanu, w którym był przed chwilą z dziwną jasnością, świadomość siebie wraca, nie odrazu, nie zupełnie, jeszcze jest zaćmiona, jeszcze w myśli plączą się resztki hallucynacyi, ale widocznie skoro uczucie wróciło do swego normalnego stanu, wraca do niego i umysł: „Dobrze i tęskno? kiedy tęskno to „nie dobrze? a jednak miło. Jest to stan dziwny... ale i trup „tak: dobrze i nie dobrze mu razem. Przenosi się w szczęśliw„sze życie i dobrze mu, żałuje przeszłe opuszczać i tęskno mu. „Jemu musi być tak, jak mnie kiedym skończył płakać. Było „to widać jakieś skonanie momentalne uczuć moich, umarłem

„dla serca na moment, albo raczej serce umarło dla mnie na „moment. Oh czemuż nie na zawsze!... możeby mi znośniej „było... Sam! sam!... nie da się moja biedota opisać, ledwie „ją czucie znieść zdoła.“

Jest jeden utwór muzyczny który to usbosobienie oddaje wiernie i dokładnie jak fotografia — w którym słychać ten jednostajny nieprzełamany upór monomanii, ciągły powrót do jednej myśli, i głuchy chłodny ton rozpaczy prawie ogłupiałej i to smutne zwątpienie w siebie, w którem czasem odzywa się i ten lżejszy, znośniejszy ton tęsknoty, płacz, a nad wszystkiem góruje smutek samotności, ten wykrzyknik: sam! sam! to preludium Nr. 2.

Stan taki nie może trwać długo. Albo doprowadzi do zupełnego obłąkania, albo musi się skończyć. Przytoczony tu ślad jego, daje miarę do czego dochodziła chorobliwość tej natury pod wpływem cierpienia. Ale na szczęście trwało to krótko, i po tym okropnym pobycie w Stuttgardzie spotykamy Chopina w Paryżu. Do kraju wracać nie mógł. Paspórt mu wyszedł, o odnowieniu lub otrzymaniu innego nie mogło być mowy w owej chwili, samo przetrzymanie dawnego mogło na niego ściągnąć przykre skutki, i tak ta okoliczność tak drobna zrobiła go emigrantem na resztę życia.

Ale jeżeli życie pełną ręką sypało na niego smutki i cierpienia, to oszczędziło mu przynajmniej jednego, nie poznania przez ludzi, lekceważenia jego talentu, obojętności. Zdaje się, jak żeby ten talent tak niepodobny do innych, tak różny charakterem swoich pomysłów i formą muzyczną swoich kompozycyi, tak niezwykły wreszcie i nowy dla cudzoziemców przez swoje piętno polskie, odmienne zupełnie od cechy kompozytorów i kompozycyi niemieckich lub włoskich, zwrócił był na siebie uwagę samą swoją oryginalnością, i odrazu zdobył sobie uznanie i sympatyę. A kto wie, czy do tego powodzenia Chopina za granicą nie przyczyniło się i to, co było w jego talencie nerwowego, romantycznie-tajemniczego; ta nieokreślona tęsknota, ta melancholia bez przedmiotu, ta rzewność nieco chorobliwa, musiała mieć wdzięk szczególny dla wieku nerwowego jak nasz i ubiegającego się za wrażeniami działającemi na nerwy, zwłaszcza w epoce, która wrażliwość nerwów i upodobanie w romantyczności doprowadziła do naj-

wyższego stopnia (pomiędzy rokiem 1830—1840). Więcej atoli niezawodnie wpływała na to powodzenie prawdziwa wartość dzieł i wyjątkowy talent mistrza. Wkrótce po przybyciu do Paryża Chopin, był już głośnym i sławnym w całej Europie.

U Polaków sława jego i jego muzyka nie budziły zda się wielkiego współczucia i zapału, jakkolwiek wiele miał z nimi stosunków, a w tych stosunkach był tak przyjacielski, dobry i prosty, że nieraz można go było widzieć w domach polskich, wygrywającego po całych wieczorach do tańca mazury i walce. Mistrz Chopin gotów był służyć za zwykłego muzykanta, żeby zrobić przyjemność drugim, zwłaszcza rodakom, których czuł się przyjacielem, kolegą. Z Mickiewiczem zażyłości nie miał: Juliusz Słowacki z pogardą nieco zabawną natrząsa się z nerwowej, denerwującej, chorobliwej muzyki Chopina, (przy czem mimowolnie staje na myśli pewne przysłowie o kotle i garnku), a gniewa się na swoje podobieństwo fizyczne z Chopinem; śmieje się z jakiejś panny o której słyszał, że wzgardzona przez niego miała iść za Chopina „bo do mnie podobny,“ jak żeby mówił, że nieszczęśliwa przystaje na to, żeby mieć gorszego, byle ten gorszy był choć trochę podobnym. Chopina swoją drogą także to podobieństwo korciło, i nie lubił żeby mu o niem mówiono; widać te dwie natury, nietylko fizycznie do siebie podobne, stwierdzały na sobie teoryję o wzajemnym pociągu przeciwieństw i działały na siebie odpychająco. Stanowisko Chopina pomiędzy emigracyą, do której się zawsze liczył, a która jego liczyła do swoich gwiazd i ozdób, było bardzo stałe, dobre i szanowane: a stanowisko jego w świecie francuskim, artystycznym, nawet w eleganckim świecie modnych dam i dających ton salonów, było bardzo świetne. Jest to bowiem właśnie wielka epoka jego muzycznej produkcyi i czynności: kompozycye nacechowane najwybitniejszem znamieniem jego talentu, filary jego sławy, te które krytyka wymienia zawsze jako jego arcydzieła, powstają jedne po drugich z dziwną obfitością i szybkością. Muzyka jego różnie była sądzoną, byli pedanci krytyki, którzy mu nie mogli przebaczyć, że nie był klassykiem, byli romantycy fanatyczni, którzy go wielbili za to, że sobie pozwalał odstępować od uświęconego typu sonaty (lub coś podobnego); Robert Schumann mówi, że to „najśmielszy i najdum-

„niejszy duch poetyczny między współczesnymi muzykami,“ podziwia gienijusz, podziwia samą fakturę muzyczną, unosi się i rozpływa nad charakterem rodzimym, oryginalnym, polskim, tej muzyki, obawia się dla niego tylko jednej rzeczy, to jest, żeby nie został na jednem miejscu, nie ugrązł w kompozycyach fortepianowych, kiedy mógłby wyjść wyżej, Liszt przeciwnie, w swojej książce o Chopinie twierdzi, że „zamykając „się w zakresie tych kompozycyi Chopin dał dowód jednego „z najrzadszych u artystów i pisarzy przymiotów, trafnego „ocenienia formy, w której może celować. Nie przecząc tru„dniejszej do osiągnięcia chwały wielkich poetów epickich, „którzy swoje wspaniałe kreacye rozwijają na planie nierów„nie szerszym,“ tak jak w sztuce malarskiej „obrazek roz„miaru dwudziestu cali kwadratowych, Widzenie Ezechiela „naprzykład, albo krajobraz Ruysdaela, liczy się do arcydzieł „cenionych wyżej aniżeli niejeden wielki obraz chociażby Ru„bensa, jak w poezyi Béranger nie uchodzi za małego poetę „dla tego, że myśl swoją w małych piosnkach zamyka, a Pe„trarca zawdzięcza swoją sławę małym sonetom, tak i w mu„zyce należałoby sądzić i cenić kompozycye podług zdolności „i doskonałości z jaką artysta uczucie swoje wyraził, bez „względu na rozmiary w jakich, ani nawet na sposoby, jakiemi „je wyraził.“

W ogóle jednak przeważa między muzykami zdanie, że talent ten nietylko swobodny ale samowładny w mniejszych i ciaśniejszych formach muzykalnych, nie był w zupełności panem form największych i mistrzem w takich formach, i cenią w przecięciu jego koncerty, jego sonaty niżej, aniżeli mazurki i nokturny, preludia i etudy, ballady i polonezy. To jest, muzycy wyobrażają sobie Chopina tak, jakbyśmy sobie wyobrażali poetę lirycznego z wielkiem uczuciem i natchnieniem, ale którego wyobraźnia i myśl nie byłyby dość potężne i głębokie, żeby równie dobrze począć i wykonać poemat bohaterski albo tragedię, jak powieść poetyczną albo wiersz liryczny. Tłumaczą nam to muzycy na przykładach, i mówią, że jak Byron naprzykład nie byłby potrafił napisać pana Tadeusza, albo Słowacki Wallensteina, tak Chopin nie mógł równie dobrze skomponować sonaty, jak komponował utwory mniejsze rozmiarem i tonem. Zostawiając powołanym i upra-

wnionym znawcom ten spór i jego rozstrzygnięcie, oznaczenie ostateczne stanowiska Chopina w historyi muzyki i pomiędzy wielkimi kompozytorami świata, wystarczy tu stwierdzić tylko to, że wszyscy zgodnie przyznaję mu talent wyjątkowy, rzewność uczucia jakiej żaden może kompozytor w równym stopniu nie posiadał, zupełną oryginalność, właściwość i prawie zawsze ogromne zalety strony technicznej, faktury, a wreszcie wybitny, niezaprzeczony, od włoskiego i niemieckiego zupełnie różny, a bardzo uroczy charakter polski jego muzyki.

Pomiędzy właściwości tego talentu, liczą muzycy i tę, niezmiernie podobno rzadką, że przez wielką intensyę i wybitność uczucia, umiał swój pomysł oddać z taką precyzyą, iż on stawał się niemal plastycznym, uzmysłowionym, że go nie samo tylko uczucie chwytało, ale że czasem wrażenie jego działało nawet na myśl i na wyobraźnię. Ciekawym dowodem tego daru jest to, że Chopin umiał i lubił charakteryzować ludzi na fortepianie. Tak jak była niegdyś dość rozpowszechniona moda opisywania usposobień i charakterów w tak zwanych portretach, moda, która zawołanym dowcipom dawała pole do popisania się ze swoją znajomością ludzi i bystrością spostrzeżeń, tak on bawił się często wygrywaniem takich portretów. Nie mówiąc kogo miał na myśli, illustrował w ten sposób charaktery kilku lub kilkunastu osób zebranych w pokoju, a illustrował tak wyraziście i tak delikatnie, że słuchacze zawsze odgadli jego zamiar, a najczęściej podziwiali trafne i wierne podobieństwo portretu. Opowiadają z tego powodu drobną anegdotę, która rzuca niejakie światło na jego dowcip i szczyptę złośliwości w tym dowcipie. W czasach największej świetności i wziętości Chopina, w roku 1835, wygrywał on raz swoje portrety w pewnym salonie polskim, w którym jak trzy gwiazdy błyszczały trzy córki domu podówczas w całym blasku piękności i potęgi, których wspomnienie do dziś się przechowało. Po zaimprowizowanych kilku portretach jedna z tych pań zażądała swojego: Chopin, za całą odpowiedź, ściągnął nic nie mówiąc szal z jej ramion, rzucił go na klawiaturę, i zaczął grać, dając tym sposobem do zrozumienia dwie rzeczy, naprzód, że charakter świetnej i głośnej królowej mody zna tak dobrze, iż na pamięć, po ciemku, nie patrząc, odmalować go potrafi, powtóre, że ten charakter, i ta dusza przy-

kryta jest przyzwyczajeniami, przyborami, dekoracyami eleganckiej światowej damy, jak jego fortepian szalem, i że tak się objawia tylko przez to życie światowe, jak tony fortepianu przebijały się przez symbol elegancyi i mody ówczesnej, szal.

Nie same zresztą drobne i dla żartu robione improwizacye świadczą o tej władzy, jaką miał Chopin, udzielania wrażeń swojej muzyki nie tylko uczuciu, ale wyobraźni — rzecz nader rzadka w muzyce, która ze swojej natury trzyma się w zakresie uczucia — ale wyraźniej i świetniej stwierdzają ten sam przymiot jego poważne i wielkie kompozycye. Liszt w swojej książce o Chopinie może zbyt wiele rzeczy widzi przez pryzmat tej muzyki i opowiada je zbyt dokładnie, zanadto maluje muzykę, kiedy w polonezach widzi ślady cywilizacyi polskiej, ślady historyi, wdzięk i gracyę i wszystkie przymioty duszy kobiet, nawet piękne szyje, dumny chód, i pełne, łagodne żywe oczy orientalnych koni, pyszniących się rzędem bogatym i jeźdźcem w rysiej szubie; ale w tej przesadzie jest prawda, ta mianowicie, że Chopin był w muzyce kolorystą jak Słowacki w poezyi: i kiedy ten sam Liszt mówiąc o „Polonezie tryumfalnym" mówi, że słuchając go widzi się w wyobraźni przeciągające gruppy dumne, śmiałe, i strojne jak figury w obrazach Veronesa, jest bardzo blizkim tego wrażenia, jakiego doznał sam Chopin. Polonez ten napisany był po powrocie z Hiszpanii 1840, a wyobraźnia jego tak była widać opanowaną przez tę kompozycyę, tak nią silnie wstrząśnięta, że kiedy ją skończył, tej samej nocy miał zupełną hallucynacyę. Grał sam jeden w pokoju tylko co ukończone dzieło, nerwy były bardzo rozdrażnione kompozycyą, i nagle wydało mu się, że się drzwi otwarły na dwie połowy i wszedł przez nie orszak marsowatych kontuszowych postaci, dam w robronach i kornetach, i wszystko to zaczęło przed nim przeciągać poważnie, jak żeby tańcowało przy jego muzyce, I to go tak przejęło trwogą, że uciekł drugiemi drzwiami i już tej nocy do siebie nie wrócił, nie z obawy widm i strachów, ale z obawy, żeby się przywidzenia i hullucynacye nie powtórzyły. Cóż dziwnego, że dzieło to robiło takie wrażenie na swoim mistrzu, kiedy jego charakter uroczysty, wspaniały, pełen energii i majestatu, tak jest uderzający, że każdy, nawet nie muzyk wcale, musi się poznać na tem, że

przy takich dźwiękach powinienby postępować jakiś pochód koronacyjny.

Innego charakteru, ale kolorytu nie mniej a może więcej żywego i potężnego jest jego inny Polonez „Polonaise Fantaisie.“ Jest to jak żeby szereg obrazów, coraz nowych, zmieniających się „jak w scenach widzenia“ Snu Byrona: a wszystkie te obrazy, jak żeby miały jakieś podobieństwo ze sławną muzyką Jankla, podobieństwo ducha, a nawet układu: „Zrazu brzęczenia ciche jak kilku much, gdy z siatki wyrwą się pajęczej, to coś jak szepty, jak zmowy, jak jakieś tajemnicze przygotowania. Potem rozpierzchnięte tony, łączą się i w akordów wiążą legiony, tylko to co grają, to nie smutna pieśń o żołnierzu tułaczu, ale potężna i twarda pieśń bitwy. Złej? dobrej? kończy się ona przejściem przytłumionem, smutnem i łzawem jak pogrzeb. Ale w końcu, wraca znowu pierwszy motyw tylko jak w początku grał się cicho i tajemniczo, tak w końcu odzywa się on fortisimo, „że struny dzwonią jak trąby mosiężne.“ Jankiel także takim tryumfem kończy swoją muzykę, a choć w zakończeniu Chopina melodya nie jest ta, która zamyka koncert cymbalisty, to myśl, znaczenie tego zakończenia jest to samo.

Ale o Polonezach mógłby jeszcze ktoś źle usposobiony powiedzieć, żo Chopin nie był ich twórcą, że miał przed sobą wzory, że był Ogiński, że Weber podniósł tę formę muzyczną bardzo wysoko, jak żeby to ujmowało cokolwiek wartości naprzykład Sonetom Mickiewicza, źe kiedyś pisał sonety Petrarca, albo jak żeby Oda do Młodości traciła na tem, że nie jest pierwszą odą na świecie. Ale jeżeli już chodzi o zupełne pierwszeństwo, o stworzenie rodzaju, którego przedtem nigdy niebyło to jest i to: zupełnie nowa forma w świecie muzykalnym, nigdy przedtem nie znana kreacya Chopina, Mazurki. Mazurki część może najulubieńsza, najbardziej rozpowszechniona i najsympatyczniejsza jego całego dzieła. Na te zgadzają się wszyscy znawcy i krytycy nawet najuczeńsi, najbardziej pedantyczni, nawet zazdrośni, że są arcydziełami, i że są wynalazkiem Chopina, formą muzyczną, która przed nim nie istniała wcale. To jest istniały może jako taniec, o rytmie dość jednostajnym, ubogim, i jak się zdawało, pospolitym, nie zdolnym podnieść się do godności poetycznej, stać się wyrazem uczucia i inspi-

racyi. Przyszedł Chopin i wzgardzony mazurek dostał odrazu sankcyę poezyi i sztuki. Co z nim mistrz zrobił? nic, tylko to, że przepuszczając go przez filtr swojego uczucia, oczyścił go ze wszystkiego, co w jego rytmie mogło być powszedniem, niewdzięcznem, płaskiem, a to co w niem było istotnie rodzimego, narodowego, polskiego, podniósł do ideału, opromienił poezyą własnej duszy. Zdaje się jak żeby ta polska forma mazurka stała się była naturalnym wyrazem jednego uczucia, ktore było tłem usposobienia Chopina, a jest także uczuciem bardzo polskiem, bardzo powszechnem między nami, tęsknoty. Tęsknota jego przebija się dowolnie we wszystkich kompozycyach; ale dziwna rzecz, kiedy komponuje pod wpływem goryczy lub rozpaczy, kiedy burzą się w nim uczucia ponure i dzikie, wtedy wleje on je w formę każdą inną, ale nie w formę mazurka, który jest niejako wyłącznym poświęconym przybytkiem rzewności melancholicznego rozmarzenia, żalu i on stał się dla tego może najsilniejszym węzłem sympatyi pomiędzy mistrzem a jego narodem, bo kiedy biedny mistrz za granicą myślał z żalem o kraju i tęsknił za nim, kiedy go sobie przedstawiał w tem uroczem świetle, jakiem otacza rzeczy oddalenie, wtedy układał mazurek, w którym naród znowu znajdował dwa uczucia dobrze sobie znane, dwie strony swego serca często dzwięczące; uczucie rodzime i swoję tęsknotę.

Kiedy wyobraźnia wyrwie się czasem ze smutnej teraźniejszości w lepszą przeszłość, i kiedy sobie przywołuje obrazy chwil dobrych i szczęśliwych, przedstawia je człowiekowi tak wyraziście, tak dobitnie, że on na chwilę zapomina o złudzeniu i jest mu tak dobrze, tak wesoło jak bywało niegdyś. A wtedy, jak się rzeczywistość przypomni, następuje obudzenie tak przykre, że ta błoga chwili złudzenia kończy się ciężkiem westchnieniem jeżeli nie płaczem. W takiem uczuciu, które już Dant opisywał jako *nessun maggior dolore*, poczęte są wszystkie niemal mazurki. Ich tłem jest prawie zawsze sprzeczność pomiędzy wesołością rytmu i naturalnego charakteru tej muzyki i wesołością tych chwil i obrazów, które ona artyście przywodziła na pamięć, a smutkiem jaki to przypomnienie wywołało w duszy cierpiącej, zmęczonej, wydziedziczonej z dawnego szczęścia. A całą rzewność wspomnienia i żalu, całą żywość z jaką kraj rodzinny pozostał w jego pa-

mięci, cały urok jakim go w tej wyobraźni poetycznej otoczyło oddalenie i tęsknota, całe poetyczne pojęcie piękności tego kraju i jego ludzi, całe swoje czułe, serdeczne, miękkie do tego kraju przywiązanie, składał Chopin w tych mazurkach tak tęsknych, tak smutnych, a tak pełnych poetycznego uroku i narodowego uczucia i charakteru. Z wielkiej ich liczby trudno wybrać ten, ktoryby mógł uchodzić za najdoskonalszy typ rodzaju; upodobanie osobiste ma tu pole tak obszerne, że stałe i zgodne oznaczenie staje się niepodobnem, wszelako twierdzić można śmiało, że do najpiękniejszych i najdoskonalszych typów mazurka smętnego należą mazurki Nr. 2 (op. 7) — Nr. 2 (op. 24). Nr. 3 (op. 7. Nr. 1 2 (op. 17).

Ale jest druga jeszcze grupa mazurków z charakterem odmiennym a bardzo wdzięcznym i oryginalnym. Te to znowu niby wesołe do szaleństwa, zamaszyste, z użyciem i prawie nadużyciem podkówek i hołupców, aż się pytać trzeba co mu się stało. zkąd się tak rozhulał? Niestety te mazurki wesołe, nie ledwie smutniejsze są od tamtych melancholicznych: to nie wesołość, to tylko smutek, który się chce odurzyć, i odurza się, ale na chwilę tylko, żeby potem powrócił jeszcze cięższy i jeszcze czarniejszy, a w samem odurzeniu, w samym tym nadmiarze wesołości czuje się go wyraźnie, czuje się zamiar i postanowienie. To jest wesołość taka, jak tego Maćka, którego illustrował muzyką Moniuszko czy Komorowski, a który idzie do karczmy tańcować, bo mu się stodoła spaliła, a żona i dzieci pomarły. Jest często rozpacz w tej ochocie, a zawsze jest takie przypomnienie wiejskich muzyk i ich ubogiej jednostajnej melodyi, tak tam buczą pierwotne basy i pierwotne skrzypki tak rzępolą, tak gwarzą różne pomieszane rubaszne głosy rozmów, że zdaje się dolatywać do ucha muzyka z jakiejś dobrze znanej karczmy... tylko ta karczma jakimś cudem i czarem stała się poezyą, o ta muzyka sztuką. Takich mazurków, reprezentantem typowym i świetnym jest nr. 2 op. 56.

Ale czy ten rodzimy charakter muzyki Chopina wybił się tylko na tych jego kompozycyach, których forma jest specyficznie polską, na mazurkach i polonezach? Niektórzy przynajmniej ze znawców sądzą inaczej i twierdzą, że ta odmienność jego muzyki od niemieckiej i włoskiej, ta jej oryginalność polska wybiła swoją cechę na większej części jego dzieł. A jego

śpiewy? te śpiewy, które się tak powszechnie rozeszły i przyjęły, że nie raz nie pytamy i zapominamy kto ich autorem, nie raz śpiewają je ludzie niewiedząc, czyje one są, i z podziwieniem dowiadują się, że śpiewają Chopina? Ta muzyka do słów Mickiewicza naprzykład, która tak wiernie i tak rzewnie oddaje jego myśl, że rozkazu: Precz z mej pamięci, „twoja ni moja pamięć nie posłucha" albo śliczna piosnka tej dziewczyny, którąby chciała być „słoneczkiem na niebie"... wszystko to ma niezaprzeczony i wybitny charakter polski; gdyby wątpliwość była możliwą, dowodem przeciw niej byłoby samo wielkie rozpowszechnienie tych pieśni. Ale muzycy widzą to piętno polskie na wszystkiem co wyszło z pod jego ręki, na kompozycyach natury i formy zupełnie kosmopolitycznej. Co pewna, to, że on sam miał to o niej przekonanie: nie raz, kiedy który z jego uczniów francuzkich grał jego kompozycye, a słuchacze dziwili się jak dobrze oddał ich ducha, Chopin mawiał, że oddał wszystko oprócz pierwiastku rodzimego, jego natchnienia, a to nie przy mazurkach lub polonezach, ale przy koncertach, przy nokturnach, nawet przy etudach.

I czy nie byłoby wolno widzieć i czuć takiego natchnienia, takiego zbiorowego uczucia w tym Marszu, którego część druga nie znajduje łaski przed sędziami (znajdują ją za miękką, za włoską, zbyt pokrewną muzyce Belliniego. Chopin lubił i cenił tę muzykę i tego muzyka), ale którego początek przynajmniej nie spotkał dotąd nic prócz podziwienia. Czyby nie miał słuszności Liszt, kiedy mówił, że „to tylko Polak mógł napi„sać, bo wszystko, co się słyszy w głosie tych dzwonów jest „tak głębokie, tak silne, jak westchnienie dobyte razem z mi„lionów piersi." Czy Chopin nie miałby prawa powiedzieć, że i on także za miliony cierpiał?

Był Chopin na szczycie swojej chwały i w pełnym rozwoju swego talentu, kiedy na niego spadło udręczenie nowe, ciężkie, ciągłe, długo trwałe. Są szczęścia, które stają się fatalnym darem życia, i złamią, strawią, zetrą człowieka na proch bardziej i zupełniej, niż niejeden zawód, niejedna gorycz, niejedna nawet rozpacz. Takiego szczęścia symbolem jest legenda o Tannhäuserze, takiego szczęścia przykładem jest biblijna historya Samsona, takiego szczęścia ofiarą był Chopin. Upatrywano nieraz pewnych podobieństw natury i talentu po-

między Chopinem a Alfredem de Musset, i niezawodnie jest podobna rzewność, podobna melancholia, podobna delikatność wyobraźni, uczuć i faktury, podobna wreszcie chorobliwość: tylko Musset jest Chopinem, który się stérał i wytarł, Chopin jest Mussetem, który jak gronostaj strzegł się zetknięcia ze wszystkiem co wała. A jakiekolwiek było podobieństwo i zbliżenie natur i talentów, los zbliżył ich jeszcze bardziej, kiedy obu dręczył i obu złamał jedną i tą samą ręką. Ta sama fatalna Dalila *„la femme a l' oeil sombre“* Musseta, zatruła życie Chopina, i on jak tamten, nieraz z rozdartem sercem musiał jej wyrzucać *„et si je ne crois plus aux larmes c' est que je t' ai vu pleurer.“*

Jaka była historya tej miłości? bardzo prosta. Z jednej strony oddanie całej duszy, skupienie całego życia w tem uczuciu; ta dusza była może drażliwa, chora, do zbytku czuła, może czasem niesprawiedliwa, przykra, ale oddała się cała, bezwzględnie, bez restrykcyi i na zawsze. Z drugiej strony, „biała merletta“ biednego Musseta, opłukana z swojej przybranej barwy, odsłoniona jako ptak natury pospolitej i poziomej, pomalowała się na biało po raz drugi, i z drugim białym kosem, prawdziwym, powtórzyła się historya pierwszego. Zrazu szczęście, miłość bez granic i końca, może w najlepszej wierze, ale pomału sztuczna biała farba zaczęła się ścierać. Kos był za biały, był nieznośnie, nudno biały, żeby był trochę więcej taki jak wszystkie kosy na świecie? Kos był nerwowy, drażliwy, przykry, niesprawiedliwy, zazdrosny . . ., chory moralnie i fizycznie, a w chorobie wymagający, kapryśny, nieznośny . . . piórka merletty z białych przechodziły w szare, popielate, aż wreszcie biedny kos musiał się przekonać, że ta wybrana i jedyna była w gruncie podobniejszą do wszystkich pospolitych kosów i bardziej dla nich stworzoną aniżeli dla niego. Rzecz prosta, że i szczęście i stopniowe jego przejście w niesmak i gorycz trwały dłużej niż te słowa: miłość ta trwała całe lata, w ciągu których zaczęła coraz groźniej objawiać się u Chopina piersiowa choroba. Lekarze radzili południowy klimat, i wtedy nastąpiła podróż do Hiszpanii, i pobyt w zimie z roku 1839 na 1840 na wyspie Majorce. Z tego pobytu zostało kilka szczegółów. Chopin był tak chory, że ledwie mógł się zawlec z łóżka do fortepianu i napowrót; chciał sobie spro-

wadzić z Marsylii piec i fortepian, dostał je ledwo po nieskończonych zwłokach i trudnościach, bo władze i mieszkańcy miasta Palma wzięli jedno i drugie za machiny piekielne, sprowadzone na to, żeby wysadzić miasto w powietrze. Zrazu zamieszkano w jakiejś wsi czy miasteczku, ale niebawem wypędzono ztamtąd Chopina. Choroba piersiowa uchodzi na Majorce za tak zaraźliwą jak cholera i dżuma, i nikt nie chciał znosić chorego w swoim domu ani nawet w bliskości. Przytułek znalazł się ledwo w oddalonym a świeżo przez mnichów opuszczonym klasztorze Kartuzów nazwiskiem Valdemosa. Klasztor ten stał wprawdzie nad uroczym wąwozem zarosłym pomarańczowemi drzewami, ale w największej niewygodzie, w braku wszystkiego, prócz starań, zdrowie Chopina nie mogło się polepszyć. Do tego zima była okropna: czterdzieści dni deszczu bez przerwy, a niekiedy śnieg; stan chorego zdawał się tak rozpaczliwym, że wątpiono czy powróci do Francyi. A jednak i tu, i w takim stanie zdrowia komponował. W tym klastorze powstała większa część praeludiów, a ten deszcz jednostajny, doprowadzający do rozpaczy, spadający z dachu kroplami w równych odstępach na okno, natchnął mu smętne i piękne praeludium nr. 6. op. 38.

Powrócono z Majorki i Hiszpanii. Chopin chory, znękany, nerwowy, coraz bardziej zaczynał się przykrzyć. Szukano sposobów jakby go się pozbyć, zrazu delikatnie, potem wyraźniej, coraz wyraźniej, wreszcie otwarcie i twardo: on wszystko widział wszystko czuł, każde ukłucie szpilki i każde upokorzenie, ale odejść nie chciał. Kochał zawsze, choć nie tak oczywiście jak z początku, ale nie chciał odejść, bo myślał że wierność i trwałość takiego stosunku jest jego uszlachetnieniem, jego wytłumaczeniem, myślał, że jedna i druga strona tak długo pozostanie szlachetną, godną siebie i godną strony drugiej, dopóki nie zerwie. Znosił więc wszystko, tłumił w sobie wszystkie upokorzenia, wszystkie boleści zadawane rozmyślnie i z zimną krwią, on tak drażliwy, tak czuły, i tak dumny, i zostawał pomimo wszystkiego. Wtedy chwycono się środka heroicznego.

Wyszedł romans pod tytułem "Lucrezia Floriani Treść jego jest ta, że człowiek natury szlachetnej i sympatycznej, ale chorobliwy, nerwowy, podejrzliwy, dumny, pełen

arystokratycznych instynktów i uprzedzeń, książę Karol, rażony jest jak piorunem miłością do Lukrecyi, kobiety w średnim wieku, która się świata i miłości wyrzekła, żyje oddana swoim dzieciom i dobrym uczynkom, jest artystką wielkiej sławy, nie udaje się za lepszą jak jest, a jest lepszą nierównie jak jej sława. Namiętność Karola objawia się gwałtowną chorobą w której jego życie jest zagrożonem. Lukrecya go ratuje, kocha go, ale przeczuwa, że ta miłość stanie się dla niej męczarnią, i ukrywa ją. Ale kiedy Karol, coraz namiętniejszy, na nowo może wpaść w niebezpieczeństwo, ta istota wybrana wreszcie dzieli jego... uczucie, przez poświęcenie. Rzecz dziwna jak kobiety w pewnym wieku rade zasłaniają swoje uczucia tej natury poświęceniem, jakąś macierzyńską opieką. One nie kochają bynajmniej, ale ta istota wątła, słaba, nerwowa, potrzebuje opieki, podpory, czułości. Powstaje ztąd ta wstrętna mieszanina jakiegoś udanego macierzyństwa i miłości niemacierzyńskiej wcale, jaką spotykamy w wielu, a między innemi i w Lukrecyi Floriani. Zkąd ten dziwny nienaturalny odcień uczucia? Może ztąd, że heroina taka czuje instynktem, że kochając w wieku w którym jak mówi Hamlet, nie odzywa się już ani serce ani wyobraźnia, upada nizko w oczach ludzkich, a nawet we własnych, i potrzebuje się podnieść, a jako środek wynajduje poświęcenie, opiekę, czułą troskliwość, zdaje jej się, że dając sobie i swoim uczuciom tę wymówkę i ten pozór macierzyństwa, będzie w zgodzie ze swoim wiekiem i powołaniem, będzie lub wyda się tem czem być powinna. Tem zapewnie tłumaczyłaby swoje poświęcenie znana pani de Warrens o której tyle mówi Rousseau w Konfesyach: tak tłumaczy Lukrecya Floriani swoją miłość dla Karola. Ta miłość, to dwa miesiące nieograniczonego szczęścia. Po dwóch miesiącach Karol staje się kapryśnym, podejrzliwym, niesprawiedliwym: nie może zrozumieć dawnych koleżeńskich artystycznych przyjaźni Lukrecyi, staje się zazdrosnym. Co chwila sceny, spazmy, ataki nerwowe, wybuchy wściekłości i rozpaczy, a potem wybuchy miłości, Lukrecyę to dręczy, nuży, zabija na siłach i zdrowiu, ale Lukrecya znosi wszystko, nie mówi nic, bo się poświęciła dla szczęścia Karola: umrze, dzieci zostawi sierotami, on je zabije, zamęczy; ale ona się nie poskarży, spełni co sobie przysięgła, na co się poświęciła w dniu kiedy jego miłość przyjęła. I po

kiiku latach takiej tortury, kłóta szpilkami, pieczona na wolnym ogniu udręczeń wszelkiego rodzaju, upokorzona zazdrością, oderwana od przyjaciół, Karola już dawno niekochająca, znosząca go tylko z poświęcenia dla jego szczęścia i dobra, Lukrecya rzeczywiście umarła, siły wyczerpane ciągłem poświęceniem ustały, to heroiczne serce pękło.

Karol był w swoich stronach dobrych uderzająco podobnym portretem, w swoich złych stronach uderzająco podobną karykaturą Chopina. Wiele było podobieństw w dziejach tej miłości, w opisach pierwszych uniesień i późniejszych goryczy, to on tylko jeden mógł wiedzieć i poznać. Wiedział i to także że Lukrecya prawdziwa nie umarła z poświęcenia, że jej nie zabił — a wiedział najlepiej, że Karolem powieści był nie kto inny tylko on sam. A przez wyrachowanie chłodnego okrucieństwa, żeby się go pozbyć koniecznie, kiedy romans wychodził, jemu dawano robić korektę arkuszy wychodzących z druku.

I robił ją: wytrzymał i to. Było odwrotnie jak w powieści: Lukrecya dręczyła i zabijała powolnie, Karol, słaby i chorobliwy, Karol znosił wszystko, bez miłości naturalnie, z pogardą nawet w duszy, ale znosił wszystko dla tego, że jedyną rzeczą która jego samego tłumaczyła w jego oczach, a ją utrzymywała jeszcze w jego szacunku, była trwałość nie już uczucia, ale stosunku, słowa. Środek heroiczny się nie udał, Chopin przetrwał nawet Lukrecyę Floriani. Zerwanie nastąpiło później, a jego powodem było twarde postępowanie Lukrecyi z jakąś trzecią osobą. Chopin który swoje krzywdy znosił cierpliwie, oburzył się na krzywdę cudzą, a to oburzenie dało pretekst do upragnionego oddawna zerwania.

A tak były przeczytane te dwie kartki z albumu Chopina. symbole dwóch wielkich boleści jego życia, jedna z widokiem Warszawy, druga z oświadczeniem wiecznej miłości Lukrecyi: jedno z tych uczuć było cierpieniem całego życia i odbiło się na duszy, na talencie, na produkcyach muzykalnych, drugie go dobiło.

Jednak nie zaraz. Zawiele miał Chopin dumy, zawiele uczucia własnej godności, żeby się dać złamać i zniszczyć bez oporu. Opierał się też jak mógł, zbierał w sobie energię, komponował, rzucił się do sztuki szukając w niej pociechy i odżycia, starał się uciekać od tego wspomnienia, starał się odzy-

skać równowagę, ale napróżno. Pierwsze zawiodło go zdrowie. Zdawna już podkopane chorobą, a teraz wstrząśnięte cierpieniem, zaczęło słabnąć coraz bardziej i objawiać symptomata zastraszające. Wypadki roku 48go, tak go drażniły, że pobyt w Paryżu stawał się nietylko nieznośnym, ale nawet szkodliwym dla zdrowia, a wyjazd koniecznym. Jakieś panie ze Szkocyi, wielbicielki zapalone jego muzyki, zapraszały uprzejmie do siebie. Były prócz tego w Anglii świetne widoki koncertów. Pojechał tedy Chopin do Anglii i tam przepędził prawie cały rok przedostatni swego życia, a pojechał smutny, chory, zniechęcony, obojętny na wszystko. Ślady tego usposobienia widoczne są w jego listach. Oto naprzykład jeden do przyjaciela jego Alberta Grzymały:

„Grałem na koncercie w Glasgowie gdzie się kilkadzie- „siąt noblessy zjechało żeby mnie słyszeć. Ale dziś już jestem „przygnębiony. Mgła: i chociaż z okna przy którym piszę „mam najpiękniejszy widok pod nosem na Stirling-Castle ten „sam co w Robercie Bruce, pamiętasz? i góry, i jeziora, i „prześliczny park, słowem jeden ze znanych bardzo pięknych „widoków w Szkocyi, jednak tego nie widzę, tylko czasem, jak „się mgle podoba ustąpić na parę minut słońcu, które ją tu „nie bardzo napastuje. Nie długo i po polsku zapomnę, po „francuzku z angielska mówić będę, a po angielsku nauczę się „ze szkocka. Jeżeli ci jeremjad nie piszę, to nie dla tego, że „mnie nie pocieszysz, bo jeden jesteś który wiesz wszystko „moje, ale że jak zacznę tak końca nie ma, a zawsze jedno „Źle mówię jedno: bo coraz ze mną gorzej pod względem „przyszłości. Słabszy się czuję: nic nie mogę komponować, nie „tyle dla braku chęci, jak dla fizycznych przeszkód, bo się „tłukę co tydzień po innej gałęzi. A cóż mam robić? Zresztą „oszczędza mi to trochę grosza na zimę“.

Nudno mu było w Anglii, nieznośnie nad wszelkie pojęcie. Oto jak opisuje swoje życie: „Całe rano jestem do ni- „czego, a potem jak się ubiorę dyszę aż do obiadu, po któ- „rym dwie godziny trzeba siedzieć z mężczzyznami u stołu i „patrzeć co mówią, a słuchać jak piją. Znudzony na śmierć „myśląc o czem innem jak oni, idę do salonu, gdzie trzeba „całej siły duszy, żeby siebie trochę ożywić, bo wtenczas cie- „kawi mnie słyszeć. Potem odnosi mnie po schodach mój po-

„czciwy Daniel do sypialnego pokoju, rozbiera, kładzie, zosta-
„wia świecę, i wolno mi dyszeć i marzyć aż do rana, póki się
„znowu to samo nie zacznie. A jak się gdzieś już trochę przy-
„zwyczaję, to znowu gdzieindziej jechać trzeba, bo moje
„Szkotki pokoju mi nie dają, tylko albo po mnie przyjeżdżają,
„albo mnie po familii wożą. One mnie przez dobroć zaduszą,
„a ja im tego przez grzeczność nie odmówię".

Czasem przedrze się taki promyk wesołości, taki odbłysk dowciku przez jego smutek. Innym razem opowiada, że był w operze w Londynie, gdzie Jenny Lind po raz pierwszy spiewała, a królowa po długiej niebytności po raz pierwszy się pokazała. „Obie zrobiły wielki effekt, a na mnie nawet stary
„Wellington, który jak stary pies monarchiczny w budzie przed
„swoją koronowaną panią siedział. Poznałem Jenny Lind, jest
„z niej Szwed oryginał".

Ale zniechęcenie, rozstrojenie jest częstsze. „Jadę do
„Manchestru, gdzie daję wielki koncert: mam grać dwa razy
„bez orkiestry. Alboni przyjedzie. Ale mnie nic do tego,
„tylko usiądę i zagram. Ale co potem zrobię nie wiem: że-
„bym choć wiedział, że mnie tu w zimie choroba nie złoży".

W innym liście skarży się cierpiący, że grał na koncercie, poleca, żeby mu szukano mieszkania: „po co cię tem
„wszystkiem trudnię, nie wiem, bo mi się niczego nie chce.
„Ale niby powinienem o sobie pomyśleć, więc dopomóż mi w tej
„kwestyi". A potem wraca wspomnienie fatalnej miłości: „nie
„przeklinałem nigdy nikogo, ale tak mi jest już nieznośnie
„teraz, że zdaje mi się, żeby mi lżej było, gdybym mógł
„przekląć Lukrecyę! Ależ i tam cierpią zapewne, a cierpią
„tem bardziej, że się starzeją w złości".

A później znowu: „niepotrzebnie się o mnie w domu
„smucą: ja się już smucić ani cieszyć nie umiem; wyczułem
„się zupełnie. Tylko wegetuję i czekam, żeby się prędzej
„skończyło".

Skończyć się miało już nie długo: „We czwartek, pisze w ostatnim liście z Anglii, wyjeżdżam z tego psiego Londynu:
„mam prócz zwyczajnych rzeczy newralgię. Każ Pleyelowi,
„żeby mi jaki fortepian przysłał we czwartek wieczór, każ go
„przykryć, i każ bukiet fiołkowy kupić, żeby w salonie pa-
„chniało (kwiaty, a o ile możności fiołki musiał zawsze mieć

w pokoju). „Niech mam jeszcze trochę poezyi u siebie wra-„cając i przechodząc przez pokój do sypialnego, gdzie się pe-„wnie na długo położę. W piątek wieczór jestem w Paryżu; „jeszcze dzień dłużej tutaj, a zwaryjuję, nie, zdechnę. Moje „Szkotki takie nudne, że nich ręka boska broni, jak się przy-„pięły, tak ani oderwać. Każ palić, grzać, okurzyć, może „przyjdę jeszcze do siebie“.

Niestety, to przypuszczenie zawiodło, prawdziwsze było pierwsze, że przejdzie przez swój pokój, zobaczy fortepian i fijołki, trochę poezyi, a potem długo ze swego sypialnego pokoju nie wyjdzie. Po powrocie do Paryża żył już tylko kilka miesięcy, w ciągłych i coraz cięższych cierpieniach. Pod koniec dopiero, obudziła się jakaś ułudna ochota do życia i jego nadzieja, układały się różne dalekie plany: wziął sobie jakieś mieszkanie nowe *(Place Vendôme)*, którem się bardzo cieszył, które sobie urządzał z wielkiem zamiłowaniem, z wielkim nakładem nawet, wszystko obrachowane na wielką dogodność i wszystko musiało być ładne, jak żeby się spodziewał, że mu to mieszkanie służyć będzie długo. Był w niem wszystkiego trzy tygodnie. 15go października (1849) pokazało się nagle wielkie pogorszenie. Zwołano koncilium lekarzy, chory sam nalegał żeby wezwano doktora Blache, najsławniejszego podówczas lekarza chorób dziecinnych: „on mi najprędzej co po-„może, bo we mnie jest coś dziecka“. Nie pomógł ani ten ani inny, wszyscy uznali, że ratunku nie było. Po doktorach wezwano księdza; tym, który wysłuchał ostatniej spowiedzi Chopina i podał mu ostatnią komunię był ksiądz Jełowicki. Śmierć nie przyszła zaraz, czekano na nią długo, z tem uczuciem, że przyjść musi, że przyjdzie lada chwila. W pokoju chorego przez trzy dni i dwie nocy byli z jego siostrą najbliżsi przyjaciele, a w drugim tłum, ścisk, cały Paryż muzykalny i emigracyjny, który słysząc, że Chopin kończy, chciał go jeszcze widzieć i pożegnać. On każe wszystkich po kolei wpuszczać do swego pokoju, rozmawia bardzo uprzejmie, żegna się z każdym po prostu, jak przed podróżą — śmierć widzi przed sobą, ale patrzy jej w oczy tak spokojnie i odważnie, jak żeby nie do niego przychodziła. Jedna z jego przyjaciółek i wielbicielek, jeden z talentów muzycznych a zwłaszcza z głosów wysoko cenionych, hrabina Delfina Potocka, nieobecna w Pa-

ryżu, na wieść o niebezpieczeństwie, pospieszyła, żeby go jeszcze zastać i pożegnać. On chciał ją jeszcze raz słyszeć. Co za uczucie akompaniować swoim śpiewem do konania! ale odmówić mu, nie zrobić czego żądał, było jeszcze trudniej. Śpiewała jakąś arię Belliniego, (podobno z Beatrice di Tenda). Z największą przytomnością dawał ostatnie polecenie: siostry prosił, żeby „spaliła wszystkie jego gorsze kompozycye; wi„nienem to publiczności, mówił, i sobie, żeby ogłaszać tylko „rzeczy dobre; trzymałem się tego przez całe życie, chce się trzymać i teraz“.

Przedostatnia noc była bardzo zła, cierpiał okropie. Rano nadspodziewanie przyszła znaczna ulga. Kiedy ją uczuł, powiedział, że to źle, „bo mnie to przywięzuje do życia, a po„winienem się od niego odrywać“. Ale po tej refleksyi, z ulgą wróciła myśl o tem, co było tego życia treścią i wdziękiem o muzyce. „Będziecie grywać na moją pamiątkę“, mówił do przyjaciół, którzy mu byli najdroższi jako przyjaciele, i najmilsi jako towarzysze i koledzy w muzyce, „a ja was będę ztamtąd „słyszał“. Franchome, jego przyjaciel najlepszy, pomocnik jego w kompozycyi, z którym razem napisał swoją sonatę na fortepian i violoncellę, odpowiedział mu na to: „dobrze, będziemy „grywali twoją sonatę“. — „O nie, nie moją, grajcie prawdzi„wą, dobrą muzykę, Mozarta“. — Mozart był dla niego zawsze szczytem wielkiej muzyki.

Wkrótce potem zawołał: „zaczynam konać“. Doktor chciał zaprzeczać. „Nie przeszkadzajcie mi“ była odpowiedź— „to wielka łaska, kiedy Bóg pozwala człowiekowi widzieć na„przód chwilę śmierci: mnie ją dał, nie róbcie mi roztargnie„nia“. Cierpiał bardzo, parę razy się skarżył. „Dla czego ja „tak cierpię? żeby to w bitwie, tobym rozumiał, bobym mógł „być przykładem dla innych, ale kiedy umieram tak nędznie „na łóżku, na cóż się to komu przyda, że tak cierpię?“ Przytomność, spokojność, mowę zachował do ostatka. Chciał pić: podniesiono go z póduszek, wtedy nachylił się, objął za szyję tego co mu podawał wodę, i skończył. (17go października 1849 o godzinie 3 rano). Przyjaciele, artyści, mieli myśl piękną, chcieli odprowadzić do grobu, pożegnać go jego własną muzyką. Przy egzekwijach, ułożony na orkiestę grany był jego Marsz Żałobny.

Dziwna rzecz, śmierć ta wypada właśnie na tę połowę naszego wieku, która była jak żeby z góry położonym terminem naszej wielkiej poezyi. Krasiński od tej epoki odzywa się już tylko bardzo rzadko, jego wielka czynność poetyczna jest skończona. Mickiewicz, którego poezya umilkła była od tak dawna, od roku 1848 od zawodu swojej wyprawy włoskiej, nie przemawia już wcale nawet w prozie. Juliusz Słowacki poszedł w tym samym roku 1849, nie jest to zbliżenie szczególne, że z tą poezyą równocześnie ustaje i muzyka Chopina? czy to nie jest jak żeby stwierdzeniem, że one do siebie należą? że miały jedno życie i jednę duszę? Tę wspólność duszy, to pokrewieństwo z poezyą naszą wielkiej epoki, stwierdził sam Chopin w ostatnich chwilach swego zawodu, kompozycyami, które jak pieczęć przyłożył na całem swojem artystycznem dziele. Jednym z jego utworów ostatnich był mazurek, ostatni z mazurków, (opus 63), a najostatniejszym polonez (Polonaise-Fantaisie). Tasama myśl która jest w poezyi Krasińskiego, Mickiewicza, nawet czasem Słowackiego, jest i w ostatnim akordzie muzyki Chopina. Byłoby niedorzecześtwem szukać w muzyce alegoryi, historyozofii, politycznych lub filozoficznych pomysłów i wywodów, ona ma tylko uczucie, mówi tylko przez nie i do niego. Ale w tem uczuciu jest ze współczesną sobie poezyą zgodna, nie tylko przez ogólne uczucie, przez swoją właściwą cechę, ale nawet zgodna we wielu, prawie we wszystkich tonach i odcieniach tego uczucia. Jak poezya, jest muzyka Chopina kwiatem przeniesionej do nas romantyczności, nie tylko przez to, że pod wzgiędem technicznym jako kompozytor należy on do szkoły romantyków, ale przez to nierównie więcej że jego muzyka ma te same wdzięki, ten sam charakter i te same niedostatki co nasza poezya romantyczna. Jak ona, ma najwyższą rzewność uczucia, jak ona wielką oryginalność i wielkie bogactwo form i pomysłów, jak ona ma wielką żywość i jaskrawość wyobraźni, a w tej wyobraźni coś mglistego, eterycznego, nieokreślonego, jak tamta przeważnie, tak ta jest na wskróś uczuciową. A jak ma wielkie i piękne przymioty romantyzmu, tak ma i niedostatki podobne do jego błędów, melancholię przesadzoną i przechodzącą w chorobliwość, wielkie rozdrażnienie i drażnienie nerwów, brak równowagi i roz-

strój wewnętrzny, objawiający się w pomysłach czasem niejasnych, niezrozumiałych, w wykonaniu dziwnem, niekiedy aż prawie excentrycznem. Ta dziewczyna w Balladzie Mickiewicza, która ma być uosobieniem Romantyczności, która coś niewidzialnego i nieokreślonego koło siebie czuje, widzi, słyszy i mówi o tem w sposób tak urywany i niejasny, może także ujść i za typ muzyki Chopina.

A jak charakterem, duchem, rodzajem natchnienia, wdziękiem, tak i kolejami przez jakie przechodziła muzyka ta podobna jest do tej poezyi. Jak tamta idzie na emigracyę, jak tamta myśli i marzy ciągle o kraju, tęskni za nim, jak tamta pod wpływem tych wypadków, wydała swoje najpiękniejsze dzieła, tak ta, pod wpływem tych samych uczuć i wypadków wydaje swoje inspiracye najwyższe i najbardziej polskie duchem i formą, i jak tamta, przez cały ciąg swego życia smutna i tęskna, kończy podobnym jak tamta akordem.

Chcieć porównywać i mierzyć Chopina z poetami, pytać w czem on któremu z nich podobny, w czem równy, w czem od niego niższy, przedsięwzięcie niepodobne, jeżeli nie wprost niedorzeczne. Jak nie pytamy co piękniejsze, czy jakaś pieśń z Orlanda Szalonego, czy jakiś obraz Veronesa, czy piękniejsza Ifigienija Göthego czy Venus kapitolińska, czy piękniejszy Romeo Szekspira, czy Don Juan Mozarta, tak nie możemy pytać, czy Marsz Żałobny jest tak piękny, jak Psalm Krasińskiego, a polonez Chopina jak polonez z Pana Tadeusza. Być może zresztą, nawet tak jest, że pomiędzy dziełami Chopina nie ma żadnego, któreby muzykalnie stało na tej wysokości, na jakiej w poezyi stoi Tadeusz, żadnego, któreby było równie wielkiem rozmiarami i doskonałością, że u Krasińskiego intensya uczucia była silniejsza i głębsza, ze fantazya Słowackiego była bogatsza w jaskrawe barwy i świetne kształty: ale rzeczy z charakterem tak wdzięcznym i uroczym jak Słowackiego Szwajcarya, tak ponurym i dzikim nawet jak pieśń Konrada, tak chorobliwie rzewnym jak skargi Gustawa, te się znajdą; nie chodzi zresztą o porównanie zupełne, ścisłe i dokładne, ale o to, że jak tamci po trzech wiekach odrodzili, a prawie na nowo stworzyli poezyę oryginalną, rodzinną i piękną, tak ten, już zupełnie stworzył muzykę istotnie naszą, oryginalną, polską, a artystycznie piękną, że ta muzyka powstała

z tych samych pierwiastków, co ta poezya, że jak ta poezya tak i ta muzyka nie przestaje na samej tylko artystycznej piękności, ale chce mieć i ma uczucie i natchnienie nie osobiste tylko, że z tych samych pierwiastków rozwija się pod temi samemi wpływami, że swoim sposobem wypowiada te same uczucia, że żyje w podobnych warunkach i kolejach, kończy się w tej samej chwili. Pierwiastki są te same, charakter jest ten sam, dzieje rozwoju są te same: czy potęga talentu jest równa lub nie, niech orzekają znawcy, że ona jest w muzyce Chopina, żaden z nich jeszcze nie zaprzeczył.

Zygmunt Krasiński myśląc o smutnym losie ludzi „dobrej woli“ na tym świecie, między tymi w szczególności może o wieszczach i o sobie pośród innych, pisał ten piękny wiersz, smutną dla tych ludzi przepowiednię;

Z gór gdzie dźwigali ciężkich krzyżów brzemię
. . . .
Widzieli światło niebieskich promieni
Ku którym w dole ciągnęło ich plemie
A sami do tych nie wejdą przestrzeni
Do godów życia nigdy nie zasiędą
I nawet może zapomnieni będą.

Musiała ta przepowiednia uderzyć Chopina, musiał on poznać i siebie między tymi, co do godów życia zasiąść nie mieli, musiał być zgodnym w tem uczuciu z poetą, kiedy dorobił wtór do jego smutnego tonu i śpiew do jego słów. Jest to jedna z najostatniejszych jego kompozycyi: „Melodia“ (do słów Anonyma, op. 74). W pierwszej połowie nieszczęściem sprawdziła się wróżba Krasińskiego. Ale połowa druga, ta która mówi: „może zapomnieni będą“, ta się nie stwierdza i nie stwierdzi nigdy; a jak Krasiński tak i Chopin mylił się, jeżeli ją ściągał do siebie.

St. Tarnowski.

STUDYA
DO
NAJNOWSZEJ HISTORYI NIEMIEC.

WSTĘP.

Historya niemiecka ostatnich czasów, jest może najbardziej zawikłanym epizodem nowożytnych dziejów; naprzód już dla wyjątkowego położenia geograficznego Niemiec, wraz z tym jedynym w swoim rodzaju politycznym ustrojem i rozkładem krajów niemieckiej Rzeszy, jaki z ubiegłych lat dziesiątków naszym czasom dostał się w spuściźnie; — następnie: dla niezmiernej ilości kwestyj i procesów historycznych, które w ostatnich latach na tym różnobarwnym terenie równocześnie, jakby na komendę, przyspieszonym biegiem dążyły ku prędkiemu rozwiązaniu, lub gwałtownemu rozcięciu.

Zastanówmy się naprzód nieco nad tą geograficzno-polityczną odrębnością fizyjonomii Niemiec. — Już samo ich położenie jest wyjątkowe; bo w Europie, jak w każdej ograniczonej przestrzeni, jeden tylko jest środek, a ten środek właśnie zajmują Niemcy. Co więcej jeszcze: — gdybyśmy patrząc *à vol d'oiseaux* na całą przestrzeń Europy szukali jej fizycznego punktu ciężkości, oko nasze musiałoby koniecznie spocząć na

skalistych masach najwyżej ku niebu piętrzących się Alpejskich szczytów. Wszystko nam mówi, że tam jest właśnie fizyczny rdzeń Europy, w tym grzbiecie olbrzymim, który w dalszem rozgałęzieniu stanowi jej szkielet i niejako spaja ze sobą wszystkie rozległe jej ziemie. — Otóż owe Alpy przeważnie niemieckim są krajem. Że Niemcy zajmują Alpy i środek Europy, są to wprawdzie fakta sięgające w przeszłość daleko po za czasy Tacytowej Germanii, jednakże takie fakta nigdy się nie starzeją; dla tego też nigdy o nich zapominać nie trzeba, nawet przy historyi najbliższych nam czasów. Zawsze w każdej epoce niemieckiej historyi pamiętać należy, że naród ten, zajmując w środku Europy tak rozległe i wielokształtne ziemie: „vom Fels bis zum Meere!“ jak mówi godło dzisiejszego cesarstwa, — dostawszy po starożytnej historyi europejskiej najpiękniejszą spuściznę, — bo rzymskie cesarstwo po niej odziedziczył, — że naród, ten który prędzej niż każdy inny słowami naszego Psalmisty powiedzieć może: „Wszystko nam dałeś, co dać mógłeś Panie!“ wziął tem samem wobec Boga i całej historyi ogromną odpowiedzialność, i ma wielką misyę do spełnienia. Dopiero więc ciągłe porównywanie tych wyjątkowych warunków w jakich Opatrzność Niemcy postawiła, z tem co rzeczywiście w historyi zdziałały, pozwala każdą epokę ich dziejów ocenić, i przekonać się: czy ten naród, który w swojej filozoficznej dumie zowie się: „Das Volk der Völker“ — narodem narodów, dorósł do tej misyi dziejowej — jaką mu sama jego wielkość wskazywała i wskazuje.

Z początkiem XIX wieku przyszedł naród ten w sumieniu szlachetniejszej części swojej do poznania tej gorzkiej dla siebie prawdy, którą jeden z najznakomitszych statystów i publicystów niemieckich w tych krótkich słowach najdobitniej wyraził: „*Europa ist durch Deutschland gefallen — Europa muss durch Deutschland wieder erhoben werden.*“ — Europa przez Niemcy upadła! — oto rezultat ich dziejów z ostatnich trzech wieków. Europa powinna przez *Niemcy* się podnieść! — oto misya tego narodu na wiek XIX, którą mu samo jego sumienie wskazało. Studyując jakikolwiek ustęp ze spółczesnych dziejów niemieckich mimo woli nasuwają się pytania: co robiły Niemcy aby podnieść siebie i upadłą Europę? czy usiłowały spełnić wielką misyę równoważącego środka Europy?

i jak daleko zaszły na tej drodze? — fakta każdemu dostateczną na to dadzą odpowiedź.

Równocześnie z wieścią o Sedanie przeszło po całych Niemczech i po całym świecie, również jakby prądem elektrycznym i to stanowcze przeświadczenie, że teraz nietylko przegrana Francyi i upadek Napoleona, ale i zjednoczenie Niemiec pod berłem pruskiem jest już faktem dokonanym. Szczególniej w południowych niemieckich krajach, których to przejście najbliżej dotyczyło, bo najbardziej miało zmienić ich dotychczasowe stanowisko w Niemczech, widziano zaraz powszechnie, tę nieuniknioną historyczną konieczność: zlania się ze związkiem północno niemieckim; tylko była jeszcze kwestya w jakiej formie i w jakich warunkach do tego przyjdzie. Bo też jak tylko królowie Bawarski i Wirtemberski i wielki książe Badeński raz uznali wojnę prusko-francuzką za *casus foederis*, jak tylko posłali swe armje pod dowództwo pruskie, dziękując jeszcze królowi pruskiemu za tę osobliwą grzeczność, że własnego syna i następcę tronu wodzem tych armii mianować raczył, już losy ich państw nie zależały od nich i tylko chyba w razie wygranej Francyi, mogły były rzeczy pójść innym torem jak poszły w istocie. Zaraz więc po Sedanie rozpoczęła się dosyć żywa i ruchliwa akcya dyplomatyczna między rządami państw południowo niemieckich a kwaterą króla pruskiego we Francyi i ministeryum związku północno niemieckiego w Berlinie, w celu połączenia się w jedno państwo niemieckie. A niespełna w trzy miesiące całe dzieło zjednoczenia i nowego ukonstytuowania się Niemiec było gotowe i to gdzie? w obcym kraju, w obozie wojennym, a ten obóz to Wersal. Wśród ciągłej strasznej wojny dokonywało się to, co zwykle bywa dziełem pokoju: zmiana konstytucyi całego kraju. Wszystko ułożono; od głównych punktów względem przyszłej zależności militarnej i zupełnej reorganizacyi wojsk na sposób pruski w nowych państwach związkowych, aż do najdrobniejszych ustaw względem poczt i telegrafów, cła i podatku od piwa i likierów, wszystko ułożono, o niczem nie zapomniano, choć to wszystko robiło się na wojnie, przy oblężeniu takiego miasta jak Paryż, prawie pod murami jego i pośród ciągłych sensacyjnych wieści z pola walki o toczących

się bitwach, wziętych miastach i twierdzach wysadzonych w powietrze. Próżno szukam w pamięci odpowiedniego przykładu w historyi, żeby kiedy przy akompaniamencie takich grzmiących faktów, przy tak niezmiernie przyspieszonym pulsie dwóch tak potężnych mocarstw w Europie, wśród zażartej walki dwóch ras w jaką się już wtedy była zmieniła wojna prusko-francuzka, dokonało się coś tak w porównaniu z tem wszystkiem wściekle flegmatycznego jak nowa konstytucya najbardziej skomplikowanego państwa w Europie, i to w tak wykończonej formie, że parlament związkowy mógł ją *en bloc* przyjąć nic nie dodawszy i nic nie zmieniwszy. Dotąd stanowi ona jądro całej konstytucyi niemieckiej. Wiek 19ty jest przedewszystkiem wiekiem największych kontrastów. Ale temu dziełu wersalskiemu brakowało jeszcze korony, i ta się wkrótce znalazła. Młody król bawarski który dziwnym sposobem umie zawsze pogodzić swoje wolnomyślne, romantyczne, artystyczne fantazye z uległością dla Prus w krytycznych chwilach, rozesłał jak tylko układy we Wersalu ukończone zostały, list otwarty, po wszystkich dworach niemieckich książąt. W tym liście wzywa ich, żeby teraz kiedy wszystkie niemieckie plemiona językiem, obyczajem, umiejętnością i sztuką od wieków ze sobą złączone, święcą jeszcze nowe braterstwo, braterstwo oręża, przez zwycięzkiego króla pruskiego prowadzone, żeby teraz po złączeniu się krajów południowych ze związkiem północnym, *odnowić dawne Niemieckie państwo* i dawną godność cesarstwa niemieckiego w osobie króla pruskiego, który i tak już władzę dzierży nad całemi Niemcami. W kilka dni później odebrał i król Wilhelm we Wersalu także list własnoręczny od króla bawarskiego, przez stryja jego Luitpolda gomu wręczony, w którym oprócz wezwania do przyjęcia godności cesarskiej, była także wyrażona i nadzieja, że wszyscy książęta niemieccy niechybnie pójdą za jego przykładem i zechcą *wznowić godność cesarstwa* w osobie zwycięzkiego króla Wilhelma. Jakoż wszyscy książęta niemieccy bawiący podówczas w Wersalu, poparli pismo króla bawarskiego, a w kilka dni później została ta ostateczna zmiana konstytucyi jednogłośnie przyjętą w Berlinie w parlamencie związku północnego, na wniosek prezydenta ministrów Delbrücka; tylko 6ciu socyalistów głosowało przeciwko nowemu cesarstwu. 18go Grudnia

już król Wilhelm w całej paradzie przyjmował w Wersalu w sali prefektury, w obecności kilkunastu książąt niemieckich i mnóstwa dygnitarzy, deputacyę z tegoż parlametu z adresem wyrażającym radość *z odbudowania niemieckiego cesarstwa*. Król odpowiedział na to w dłuższej mowie kończąc w te słowa: „Głębokiem wzruszeniem przejęło mię wezwanie. J. M. króla bawarskiego, *do odnowienia godności cesarskiej dawnego niemieckiego państwa*. Wy moi Panowie przychodzicie w imieniu północnego niemieckiego parlamentu z prośbą, żebym się przed tem wezwaniem nie usuwał. Przyjmuję z chęcią wasze słowa, jako dowód zaufania do mnie i jako wyraz życzeń niemieckiego parlamentu, ale wy wiecie moi Panowie, że gdzie chodzi o tak ważne interesa i o tak wielką, najszanowniejsze *wspomnienia niemieckiego narodu* poruszającą sprawę, tam nie moje tylko własne uczucia mają rozstrzygać, ani mój własny sąd decydować. Tylko w jednomyślnym głosie niemieckich książąt i miast wolnych i w jednozgodnym życzeniu niemieckiego narodu i jego reprezentantów uznam głos Opatrzności, rokujący mi Boskie błogosławieństwo na przyszłość. Dziś i mnie i wam tyle do zadowolenia wystarczy, że od króla bawarskiego otrzymałem wiadomość, iż przyzwolenie wszystkich książąt niemieckich i wolnych miast jest zapewnione i że urzędowe oświadczenie tegoż wnet nastąpi.“ Jakoż 31 Grudnia mogła już być konstytucya, nowego niemieckiego *związku i cesarstwa* wraz z traktatami związku północnego z Badenem, Wirtembergiem, Hesyą południową za przyzwoleniem i uchwałą wszystkich dotyczących stron w całości ogłoszoną w Bundesgesezblacie. Tylko z Bawaryą przeciągnęło się jeszcze do 21 Stycznia następnego roku; król i wyższa izba dawno przyjęły i uchwaliły monachijskie i wersalskie układy, ale izba niższa robiła jeszcze silną opozycyę. W nadziei jednak, że i tam wreszcie nowa konstytucya ostatecznie przejdzie większością sejmową, nie czekano na to i uważano z końcem roku 1870 rzecz za skończoną zupełnie.

W Nowy Rok 1871 roku odbyła się z tego powodu we Wersalu wielka uroczystość. W salach „de toutes les Gloires de France“ na wielkiej uczcie w obecności wszystkich prawie książąt niemieckich, król Wilhelm wnosząc toast (rzekł): „Spełniam mój puhar na powitanie roku nowego, na przeszłość

patrzymy z wdzięcznością, na to, co się z tym rokiem zaczyna z nadzieją. — Wdzięczność należy się wojsku, które ze zwycięztw szło ciągle w nowe zwycięztwa!. Ja z mej strony dziękuję książętom niemieckim, co byli temu wojsku częścią wodzami częścią posiłkami. Nadzieje zaś moje skierowane są na przyszłą koronę dzieła całego, na chlubny dla nas pokój!" Na to odpowiedział zięć króla Wilhelma wielki książę badeński: „Dzisiejszemu dniowi było zachowane to szczęście: *Ujrzeć dawne sędziwe Państwo niemieckie, w nowej odświeżonej powstające sile.* Król Fryderyk Wilh. IV powiedział przed 20tu laty: *Koronę cesarską można tylko na polu chwały osiągnąć.* Dziś się spełniło to królewskie słowo w największej świetności, niech opatrzność pozwoli długie lata Jego Królewskiej Mości nosić ten symbol niemieckiej jedności etc. etc."

Tak więc na tarczach książąt i dygnitarzy niemieckich, jakby dawnym obyczajem germańskim, zostało wzniesione to nowe cesarstwo, i znalazło poparcie w niemieckim narodzie. Przy każdej sposobności wskazywano na łączność historyczną tego dzieła ze wspomnieniami dawnego cesarstwa niemieckiego. Prawie na polu zwycięzkiej walki, we wspaniałej kreacyi i rezydencyi, w salach tryumfu, wielkiego króla Ludwika XIV, który to król właśnie do złamania politycznego znaczenia dawnego cesarstwa był się najwięcej przyczynił, powstaje nowe z orężem w ręku; — nie pamiętna w Europie nemezys dziejowa! — W obliczu upokorzonego Paryża, gdzie właśnie spadła korona cesarska i gdzie się ważyło między słabą republiką a zupełną anarchią, w najwyższym kontraście z tą anarchiczną słabością Francyi, konsoliduje się władza tak żelaznej siły, poparta jednomyślnie przez tylu dotąd niezawisłych książąt, miast i ludów i staje jak Minerwa odrazu w pełnym rynsztunku przed obliczem świata. — Nawet taki organ jak „Times" był olśniony tem dawno już w Europie niewidzianem zjawiskiem, dobrowolnego wzniesienia władzy w imię dawnych tradycyi, i następującemi słowami przyjmuje nowe cesarstwo: Niemieckie zwycięztwa są zasługą dzisiejszej organizacyi niemieckiego narodu, zasługą ich królów, książąt, szlachty i rycerstwa aż do najniższych poddanych, bo każdy stan zajmuje u nich w spuściźnie po ojcach sobie odpowiednie stanowisko w porządku tradycyą uświęconym. — Świat oniemiał widząc co może zdzia-

łać system, który już powszechnie mało ceniono. Monarchiczne i arystokratyczne Niemcy tryumfują, a partya liberalnych postępowców musi milczeć albo dzielić powszechne patryotyczne uniesienia. Niemieccy książęta i pryncypia jakie oni reprezentują, przeszły nową próbę ognia i zdobyły sobie nową sławę przez roztropność w radzie i męztwo na polu bitwy, będzie to w dalekiej przyszłości jeszcze decydowało o sposobie myślenia i przekonaniach niemieckiego narodu. Król pruski ze swą wiarą w Boskie prawa i w Bożą opiekę połączył Niemcy, co już tyle razy próbowano, a udać się nie mogło. Zjednoczył Niemcy z pomocą męża stanu, który przez długie lata był najostrzejszym przeciwnikiem liberalizmu. Król, książęta krwi i inne w Niemczech panujące domy wraz z liczną szlachtą niemieeką w rozlicznych jej stopniach szli wszędzie na pierwszy ogień. Od wieku przeszło z największym szyderstwem szkaluje nieustannie liberalizm, owe stany uprzywilejowane, przypisując im wszelkie występki i błędy, upokarzając tyle tronów, odbierając tylu arystokracyom ich dawne prawa i władzę; ale to szyderstwo nie trafia tych, których czyny świecą dzisiaj w całym blasku przed całym światem.“

Oczom niechce się wierzyć że to liberalny Times pisze to wszystko, ale bo też i w całej Europie nowe cesarstwo niemieckie dosyć powszechnie z podobnem przyjęto wrażeniem, i ten ustęp Timesa przenosi nas żywo w ową chwilę jego ogłoszenia. I do dziś dnia nawet jeszcze jest to w Niemczech powszechnem mniemaniem, że nowe cesarstwo niemieckie z roku 1871 jest odnowieniem, restauracyą dawnego niemieckiego cesarstwa, dalszym ciągiem jeśli już nie bezpośrednio monarchii Karola W. i Ottonów, to przynajmniej późniejszego imperyum Hohenstaufów albo Habsburgów.

Przypomniawszy czytelnikom choć w kilku głównych rysach owe ogłoszeniu tegoż cesarstwa najbliższe wielkie otoczenie historyczne, towarzyszący mu oficyalny przebieg rzeczy i całe ostateczne *mise en scène* tego dziejowego wypadku, przychodzi nam rzucić teraz stanowcze pytanie: Jestże to nowe cesarstwo wistocie tem wszystkiem, czem się we wielkiej chwili swego przyjścia na świat być zdawało, jestże tem odnowieniem restauracyą dawnego imperyum, jestże tem zwycięztwem, tryumfem arystokratycznych żywiołów, tryumfem feudalizmu nad liberali-

zmem nowoczesnym?! Szczególnie to drugie pytanie brzmi dzisiaj po trzech latach istnienia tegoż cesarstwa jak największa ironia, bo my wiemy już teraz kto zbiera plony z tego ostatniego rozlewu najszlachetniejszej krwi niemieckiej we Francyi. Ale bo też fałszem historycznym i policzkiem danym przeszłości niemieckiej jest chcieć utrzymać jakikolwiek związek, między tem nowem wersalskiem cesarstwem, a dawną instytucyą niemieckiego imperyum, i twierdzić że ono jest *wznowieniem tej od 60 lat przeszło w zawieszeniu zostającej godności cesarskiej.* Korony którą cesarz Franciszek II złożył w r. 1806, korony św. rzymsko-niemieckiego cesarstwa nikt dotąd nie podniósł i podnieść nie śmiał. Dzisiaj już przez samego cesarza Wilhelma mamy *dementi* tego co był umieścił w owej proklamacyi 18 stycznia 1871 do niemieckiego narodu. Z okazyi kwestyi rewindykowania insygniów dawnego cesarstwa, sam cesarz Wilhelm powiedział: oficyalnie, nie myślę nigdy o tem, aby sobie przywłaszczyć koronę, która w istocie egzystuje (w skarbcu Habsburgskim) a której nie posiadam, może nigdy posiadać nie będe, i której posiadać co do siebie nie czuję żadnej potrzeby.“ A w urzędowej publikacyi z 1872 roku hr. Stillfrida mistrza ceremonii dworu „o atrybutach nowego cesarstwa“ dawne cesarstwo niemieckie nazywa się już wyraźnie: „starym gmachem między którego teokratyczną i kosmopolityczną konstrukcyą, a naszem narodowem niemieckiem, dziedzicznem cesarstwem z roku 1871 żadnej Bogu dzięki nie ma styczności. Ale tej szczerości późniejszej nie było jeszcze wcale w Wersalu, wtedy dla pobudzenia i omamienia wyobraźni niemieckiej, szczególniej w południowych krajach, gdzie wspomnienia dawnego cesarstwa były najżywsze, potrzeba było zaczepić o nie przynajmniej choć w pierwszych chwilach. Książę badeński jak wiemy, przy uczcie we Wersalu podniósł w swym toaście, że nowe cesarstwo wedle myśli brata króla Wilhelma, poprzedniego króla Fryderyka Wilhelma IV powstało, który pawiedział: że *korona cesarska na placu boju musi być zdobyta.* Mimo pozornej trafności tych słów w ówczesnej chwili, nie ma nic sprzeczniejszego z prawdą historyczną; bo korona wersalska chociaż została wzniesiona na polu chwały, przecież śmiało twierdzić można, znając zasady króla Fryderyka Wilhelma IV, że nie byłaby wcale po jego myśli; bo ta korona co do natury

swojej niczem się nie różni od owej korony, którą temu samemu królowi Fryderykowi Wilhelmowi IV ofiarowano w roku 1849, a której tenże wtedy przyjąć nie chciał.

Aby to zrozumieć nie trzeba przedewszystkiem zapominać, że przed r. 1870—71 był rok 66, że cesarzem niemieckim we Wersalu nie został właściwie król Pruski, ale prezydent północno-niemieckiego związku, że rok 66 był właśnie tem *Coup d'ètat*, które nowemu cesarstwu niemieckiemu nadaje jego właściwy charakter, a na rok 66 Fryderyk Wilhelm IV sądząc podług tego jak się jego postać w historyi zapisała, byłby nigdy nie zezwolił. Król Fryderyk Wilhelm IV o tej wersalskiej koronie nie miałby powodu inaczej się wyrazić, choć ona na polu chwały wzniesioną została, jak się wyraził o owej Frankfurckiej z 1849 r. której przyjąć nie chciał mówiąc: że jest koroną rewolucyjną wobec całej przeszłości Niemiec, że jest raczej żelazną obrożą niewoli a nie koroną. Takie twierdzenie wygląda może zbyt śmiało i ostro, jednakże cała historya Niemiec, począwszy od roku 1848 dostarcza nam aż nadto wiele dowodów na poparcie tego właśnie, co tu słowami króla Fryderyka Wilhelma IV wypowiedziałem.

Już to żeby poznać i zrozumieć czem jest właściwie cesarstwo niemieckie z r. 1871, trzeba koniecznie cofnąć się po rok 1848 i przypomnieć sobie choć w głównych zarysach przebieg rzeczy w Niemczech i historyę zabiegów pruskich względem Niemiec, od tegoż czasu aż po r. 1871. Ponieważ w tych moich studyach chciałbym nakreślić, o ile będzie można jak najwyraźniej, historyczne znaczenie i charakter instytucyi dzisiejszego cesarstwa niemieckiego, muszę więc pozwolić sobie ten wsteczny skok po rok 48, by dać choć krótką historyę rozwoju idei tegoż cesarstwa, aż do jej dzisiejszego zrealizowania. A pozwalam sobie to tem śmielej im bardziej jestem tego przekonania, że właśnie ta dygresya w przeszłość najlepiej może nam odpowiedzieć na to pytanie: co z tem cesarstwem istotnie na świat przyszło nowego, i czem ono jest właściwie, a zarazem pomoże nam to i do osądzenia obecnych wypadków w Niemczech, i do obliczenia choć w przybliżeniu, czego się świat i nadal po tej instytucyi spodziewać może, bo jeżeli o czem, to o kreacyach politycznych nigdy nie zawodzą słowa, że są i żyją tem z czego powstały.

I.

(1848—1861).

Niemiecki narodowy sejm Frankfurcki z 1848 r. nie zostawił po sobie żadnych pozytywnych rezultatów politycznych, wszystko co chciał stworzyć spełzło na niczem, i nie mogło być inaczej, bo nietylko żaden z gabinetów Europejskich, ale nawet żaden z rządów Niemieckich nie uznawał jego egzekutywy. Pomimo tego jednak sejm ten stanowi wielką epokę w życiu politycznem Niemiec, bo na tym sejmie właśnie przez to zebranie i ścieranie się w jednej izbie najsprzeczniejszych żywiołów ze wszystkich krańców Niemiec, przyszło do wyraźnego skonsolidowania się różnych partyi politycznych, które od tegoż czasu każda w pewnym, swoim, wytkniętym kierunku, ze samowiedzą działać poczęła. I można śmiało powiedzieć, że cała następna historya Niemiec jest rezultatem działań i usiłowań tych właśnie partyj i wyznań politycznych, jakie z frankfurckiego kościoła św. Pawła po owym sejmie po całych Niemczech się były rozeszły. W r. 1848 kości dalszych losów Niemiec już zostały rzucone. Z łona tegoż sejmu Frankfurckiego wyszedł ostatecznie ten rozdział Niemiec na tak zwaną *Wielko-niemiecką* i *Mało-niemiecką partyę*, które to partye dotychczas jeszcze dwa główne obozy politycznego życia Niemiec stanowią. Wielko-niemiecka partya (die grossdeutsche Partei) chciała i chce dotąd (o ile jeszcze żyje w pojedynczych indywiduach po całych Niemczech rozprószonych) złączenia się całych Niemiec w jedną wielką federacyę nie wykluczając Austryi, ale owszem pod jej przewodnictwem, grupując się koło dynastyi Habsburgów. Ta partya była zawsze najsilniejszą w południowych krajach Niemieckich, ale prócz tego i w całych Niemczech większa część katolików i konserwatywnych żywiołów była tegoż wyznania politycznego.

Mało-niemiecka zaś partya (diie kleindeutsche Partei) dążyła do scentralizowanego niemieckiego Państwa, pod egidą Prus, z wykluczeniem Austryi z Niemieckiego związku i z pominięciem interesów wszystkich mniejszych, a o ile się da

i większych dynastyj niemieckich. Ta partya miała najwięcej stronników w protestantach całych Niemiec, (chociaż i wielu konserwatywnych protestantów miało wielko-niemieckie przekonania), prócz tego rekrutowała się z ludzi żyjących pod wpływem i w kole zapatrywań rewolucyi Francuzkiej.

Otóż ta druga *mało-niemiecka* czyli jakby ją właściwiej jeszcze nazwać można *wielko-pruska* partya, przeprowadziła na sejmie Frankfurckim uchwałę nowej konstytucyi, której głównemi podstawami były: Utworzenie ogólnego parlamentu z całych i dla całych Niemiec, przez wybory wprost, na mocy powszechnego prawa głosowania; każdy 25letni Niemiec. jeśli tylko nie był w kolizyi z kodeksem karnym, miał być wyborcą wedle nowych kół wyborczych, nie uwzględniających historycznych terytoryów niemieckich; tem samem ograniczenie władzy książąt Niemieckich równające się prawie ich zmedyatyzowaniu i utworzeniu z nich niejako jakby wyższej Izby Panów; oddanie korony cesarskiej dynastyi Hohenzollernów w osobie króla Fryderyka Wilhelma IV, zjednoczenie Niemiec pod tą dynastyą, bez względu na to czy Austrya zechce lub nie zechce ze swemi niemieckiemi prowincyami do tego związku przystąpić i z pominięciem zupełnem praw austryackiej dynastyi. Miało to więc być poprostu już wtedy to, czegośmy się dzisiaj doczekali: scentralizowanie Niemiec z wykluczeniem Austryi, pod berłem pruskiem, na podstawach nowożytnego liberalizmu.

Projekt ten nowej konstytucyi niemieckiej, przez mało-niemiecką partyę postawiony w sejmie frankfurckim, upadł, przy pierwszem czytaniu został przegłosowany większością 30 głosów, ale przy drugiem czytaniu pozyskano sobie niektóremi koncesyami część skrajnej lewicy, która dla republikanckich zasad temu nowemu cesarstwu początkowo była przeciwna, dość że drugie głosowanie wypadło inaczej, i 27—28 Marca program mało-niemieckiej partyi przeszedł w izbie frankfurckiej 290 głosami przeciw 248 Austryakom, Bawarczykom, katolikom z całych Niemiec i tym członkom skrajnej lewicy, co za cesarstwem głosować nie chcieli. Rozbiło się jednak o to, czego się może wtedy najmniej spodziewano, o stanowczy opór króla Fryderyka Wilhelma IV, który tejże korony cesarskiej z powyższą konstytucyą w żaden sposób przyjąć nie chciał.

Jeszcze przed uchwałą tejże całej konstytucyi gdy na prywatnej audyencyi Prezes sejmu Frankfurckiego baron v. Gagern tegoż króla koniecznie do przyjęcia programu mało-niemieckiego skłonić usiłował, Fryderyk Wilhelm IV odpowiedział mu już wtedy te stanowcze słowa: „Ja nie chcę uzurpowanej władzy, dom Habsburgów ma pierwszeństwo, gdyby Austrya z Niemiec wykluczoną została, jużby to był podział i zmniejszenie Niemiec, a jabym nie chciał wcale być pierwszym takim restauratorem Cesarstwa, coby nadwerężoną koronę na głowę włożył. Ta moja korona byłaby słabą przez niechęć poddanych dla mojej dynastyi, przez antypatyę katolików i południowych Niemiec do mojej władzy i przez powszechne zazdrości i nieufności do mojej osoby.“ A do samejże deputacyi 34 posłów Sejmu frankfurckiego przynoszącej mu ową uchwaloną koronę, w podobnym duchu także przemówił król Fryderyk Wilhelm IV. „Nie odpowiedziałbym wcale waszemu zaufaniu, boby to było pogwałceniem ducha niemieckiego narodu, a nie zjednoczeniem Niemiec gdybym przystał na wasze propozycye i to jeszcze wbrew woli tylu królów, książąt i wolnych miast niemieckich.“

Ale najszczerzej wynurzył się król Fryderyk Wilhelm IV ze swojem zdaniem o programie mało-niemieckim i o całej działalności sejmu Frankfurckiego; w liście prywatnym do Arndta, z którego także parę ustępów pozwolę sobie przytoczyć: „Wielkie zebranie w Frankfurcie, pisze król, co się zwie samo niemieckiem zgromadzeniem narodowem, i w którem rzeczywiście wielu znakomitych mężów naszej wielkiej ojczyzny udział bierze, nie ma żadnej korony do rozdania ani do proponowania. Ono ma wyrobić projekt konstytucyi, względem której ma potem zacząć traktować ze wszystkimi przez całą Europę uznanymi panującymi domami i wolnemi miastami Niemiec. . . . Na to poselstwo co mi z Frankfurtu grozi, będę musiał odpowiedzieć milczeniem. Czyż ten płód strasznego roku 1848, to ma być korona, jest to prędzej żelazna obroża niewoli, przez którą ja potomek 24 elektorów i królów, pan 16 milionów poddanych, stałbym się niewolnikiem rewolucyi. Ja przyrzekłem tylko za zgodą *wszystkich* książąt niemieckich traktować z niemieckiem zgromadzeniem narodowem względem przyszłej konstytucyi i nie złamię mego słowa. Zdaje mi się

mój drogi Arndcie, że ty wraz z innymi jesteś w tym powszechnym błędzie, że widzisz rewolucyę tylko w tak zwanej czerwonej demokracyi i komunizmie! Rewolucya jest w każdem przewracaniu bożego, i w każdem usuwaniu uprawnionego porządku, rewolucya żyje i oddycha wszędzie, gdzie tylko istniejący porządek przewraca się do góry nogami. Jako także niemiecki mąż i książę, którego tak albo nie powinno być rozważne i silne, nigdy nie przystanę na nic, coby zmniejszało wspaniałą ojczyznę moją i oddawało ją pod sprawiedliwy sąd historyi i nigdy nie przyjmę nic takiego, coby moim naturalnym obowiązkom nie odpowiadało albo im się sprzeciwiało: *Dixi et salvavi animam meam.*"

Przytoczyłem tutaj te przy różnych okazyach, ale zawsze w tym samym przedmiocie i w tym samym duchu wypowiedziane słowa króla Fryderyka Wilhelma IV, bo są one najlepszem osądzeniem całej roboty 1848 roku i mało-niemieckiego programu, ale i tego zarazem, co się w 66 i 71 roku dokonało, jak to w dalszem opowiadaniu mojem bardziej się uwidoczni. A jest to sąd godny uwagi przed wszystkimi innymi, bo wydany jest z wysokości samego tronu pruskiego przez najuczciwszego z królów pruskich, rodzonego brata Cesarza Wilhelma I.

Cały więc projekt mało-niemieckiej partyi upadł tym razem, rozbiwszy się o szlachetne skrupuły Fryderyka Wilhelma IV, ale nie upadł na zawsze; bo od tegoż czasu począwszy, program ten zjednoczenia Niemiec bez Austryi pod berłem pruskiem już na seryo wszystkim prawdziwym patryotom pruskim spać nie dawał. Szczególniej między junkrami pruskimi było wielu takich, którzy tylko w jednej części podzielali królewskie skrupuły t. j. o tyle, że nie radziliby byli królowi przyjąć władzy z łaski parlamentu tak dwuznacznej powagi, jakim było frankfurckie zgromadzenie narodowe, wdziać koronę tak niepewnego autoramentu z łaski nędznej większości 30 głosów. Na dalsze jednak skrupuły króla co do Austryi i dynastyi Habsburgów i co do innych książąt niemieckich, chętnie zamkniętoby oczy, gdyby się dało wyzyskać tę w Niemczech tak powszechnie obudzoną dążność do jedności, i przeprowadzić to zjednoczenie samowolnie, tylko przez Prusy i dla Prus, chwyciwszy raz w rękę wypadkową siłę Niemieckich in-

teresów. Dążność do takiego przeprowadzenia mało-niemieckiej idei, z góry, z Bożej łaski, czyli z woli pruskiego króla, na czele dobrze zorganizowanej armii, co u pruskiego junkra znaczy zupełnie to samo, byle nie z dołu, z woli reprezentacyi narodowej wątpliwej prawowitości, ta idea nie przestała żyć i utrzymywać się tradycyjnie w gronie prawdziwych patryotów pruskich, od czasu owego poselstwa z koroną cesarską dla króla Fryderyka Wilhelma IV. Czekano tylko sposobniejszej chwili do działania. Ale nietylko w gronie junkrów pruskich miała ta mało-niemiecka idea swoich politycznych wyznawców. Obok tych mniej jawnych ale za to najbliżej tronu pruskiego stojących, w danym razie więc najwięcej pola do działania mieć mogących stronników, był także i cały zastęp otwartych szermierzy i przedstawicieli i kierowników podobnych dążności, rozsypany po wszystkich krajach niemieckich; bardziej niż wszystko inne, niemiecką opinię publiczną do tego co później przyjść miało przygotowujący. Był to cały zastęp po większej części dotąd żyjących i znanych uczonych i profesorow uniwersyteckich, przeważnie historycznym, politycznym i literackim umiejętnościom oddanych Formują oni odrębną szkołę tychże umiejętności, znaną w Niemczech powszechnie pod nazwą szkoły Gothaiskiej. Nazwa ta ztąd pochodzi, iż zaraz po rozejściu się frankfurckiego zgromadzenia narodowego, po spełznięciu na niczem idei Cesarstwa pruskiego, grono uczonych, najsilniej przejętych mało-niemieckim programem, zebralo się w Gotha i tamże postanowiono nie zrzekać się nigdy swoich dążności. Odtąd wszystkich uczonych niemieckich tejże samej barwy nazywano Gothajczykami. W ciągu następnych lat liczba tych Gothajskich uczonych wzmagała się ciągle i pozajmowali oni główne katedry profesorskie po wszystkich prawie uniwersytetach Niemiekich: w Monachium, w Jenie, w Heidelbergu. etc., nie mówiąc już o pruskich w Berlinie, Bonn i Wrocławiu, gdzie zmonopolizowali w swym ręku cały zakres historyczno-politycznych umiejętności. Powoli przeszli wszyscy prawie Gothajczycy na żołd Pruski, bo dla swych tendencyj karyerę w Prusiech mieli zapewnioną. Najświetniejsze niemieckie imiona jak Dahlmann, Niebuhr, Waitz, Häusser, Sybel, Droysen Bluntschli, Julian Schmidt, Mommsen i Ranke i wielu innych minorum gentium, to wszystko są tak zwani Gothajczycy.

Wielkich zasług na polu umiejętności historycznych odmówić im nie można, szczególnie przez staranne wydawnictwa średniowiecznych i starożytnych źródeł, zasłużyli na wdzięczność wszystkich badaczów przeszłości. Ale ich cała samoistność działania, ich własne książki i dzieła historyczne, można nazwać śmiało jedną wielką wielką konspiracyą przeciwko historycznej prawdzie, na korzyść tych właśnie tendencyi i dążności, które zawsze i wszędzie u nich są na pierwszym planie. Szczególniej niemiecką historyę, przeszłość własnego narodu i ojczyzny sfałszowali najzupełniej przewróciwszy wszystko do góry nogami. W traktowaniu ościennej historyi (byle nie naszej) jeszcze prędzej bezstronność u nich znaleźć można mianowicie u Rankego, ale n. p. Mommsen umiał i z Rzymskiej historyi zrobić Pruską z gothajskiego stanowiska.

Jeden duch ożywia wszystkich, a tem jest: ta sama zawsze mało-niemiecka idea jedności Niemiec, na podstawach liberalnych *mit der preussischen Spitze* z wykluczeniem Austryi, ale ujęta w misterny system, poparta całą sofistyką niby historycznych argumentów.

Credo historyczne całej tej partyi można streścić w następujących artykułach Cała tysiącletnia historya cesarstwa Niemieckiego, cała wielka przeszłość niemieckiego narodu, o ile była rzymską i katolicką, była anti narodową i kosmopolityczną, była jednem wielkiem zbłąkaniem się prawdziwie niemieckiego narodowego ducha na obce bezdroża religijno-polityczne. Jak w reformacyi duch niemiecki przyszedł nareszcie do samopoznania religijnego, wrócił do swojej własnej natury germańskiej, otrząsłszy się z romanizmu, tak znowu pod politycznym względem, według Gothajczyków, przychodził tenże naród powoli przez Prusy do poznania swoich celów politycznych; przez Prusy, które od początku czując misyę względem całych Niemiec i powoli ją spełniając, wiodły Niemcy na odpowiednią duchowi germańskiemu drogę działania politycznego. Myślałby kto może, że to przynajmniej dopiero od Fryderyka Wielkiego, który pierwszy stworzył to, co sam nazwał: *„la nation prussienne“*, poczyna się także i *„la politique prussienne“*, specyficznie pruska polityka w duchu owej wielkiej misyi Prus względem Niemiec. Gdzież tam, z dzieła p. Droysena, profesora uniwersytetu Berlińskiego, p. t. *Geschichte der*

Preussischen Politik, w którem cała doktryna Gothaizmu najsystematyczniej jest ujęta i z naiwną wyłożona szczerością, dowiadujemy się, że Pruska polityka była już za Hohenstaufów i to tak rozgałęziona, że p. Droysen historyę jej w trzecim tomie doprowadził zaledwie do r. 1630, a więc do chwili jeszcze o 110 lat od Fryderyka Wielkiego odległej. Ale czemże jest owa polityka pruska i ta *niemiecka missya Prus*? posłuchajmy najlepiej samego pana Droysena, tem uważniej, że to co przytoczę, jest pryncypium wspólne całej szkole. „Kraj i Lud, to jest materyał, z którego się państwo buduje. Państwo Pruskie nie ma ani pewnych stałych granic, ani pewnej zamkniętej narodowości za podstawę, tylko tak jakoś jakby przypadkiem kraj i ludzie w nim się znaleźli. A przecież pomimo tego czterechsetletnia historya tego państwa wykazuje nam taką ciągłość wzrastania, pewność kierunku i stałość historycznego charakteru, jakie tylko w najżywotniejszych kreacyach państwowych znaleźć można. Cóż właściwie dało początek temu państwu, cóż jest co go utrzymuje i co mu daje kierunek? konieczność historyczna, że się tak wyrażę. Inne państwa są dla tego, że są i ich zadaniem jest utrzymać się, wyrobić ze siebie . . . (nie, nie umiem tego wyrazu przetłumaczyć): eine Saats Volksthümlichkeit, na co spożywają swe siły żywotne, znikające jak tylko się ten proces dokonał, pomimo że maszyna państwowa jeszcze jakiś czas dalej pracuje. Prusy obejmują tylko odłamki niemieckiego narodu i kraju, ale istotą i powołaniem tego państwa jest misya względem całości Niemiec, (Beruf für das Ganze (t. j. dążność żeby z tej całości ciągle nowe i dalsze części do siebie przyłączać (fort und fort weitere Theile sich angliedern). W temto właśnie powołaniu mają Prusy swoją usprawiedliwioną racyę bytu, swoją moc i siłę. Konieczność bytu Prus by ustała, gdyby o tem powołaniu zapomniały i dowodem na to historya, bo Prusy były zaraz słabe i upadku blizkie, ile razy chociaż chwilowo tylko o tem powołaniu swojem zapomniały Państwo to ma swój początek równocześnie z objęciem panowania w Marchiach przez Hohenzollernów etc. etc.“ Czyż można już z mniejszym wstydem wywiesić w Europie sztandar zdobywczej polityki? A jest to pierwszym dogmatem całej tej szkoły gothajskiej, że Prusy muszą koniecznie anektować (angliedern). I dalej p. Droysen

wbrew całej prawdzie historycznej wykazuje ten ciągły, niby w historyi niemieckiej na pierwszym planie stojący antagonizm między dynastyą Hohenzollernów a dynastyą Habsburgow. Wskazuje na ten już oddawna niby datujący się dualizm prusko-austryacki w Niemczech, którego jednak, osobliwie w tem znaczeniu, jak go pan Droysen pojmuje, wcale nie było przed Fryderykiem Wielkim. Owszem wiemy z historyi, że stosunek Habsburgskiego domu Cesarskiego z elektorami brandenburgskimi i później królami Pruskimi, był w ogóle nawet lepszy, niż z innymi książętami Niemieckimi i że jeszcze ojciec Fryderyka Wielkiego z Austryą w ciągłej żył zgodzie i synowi swemu przy śmierci zachowanie wierności dla cesarskiego domu zalecał. *Das muss ein Cujon von einem deutschen Fürsten sein, der es mit Frankreich gegen das Kaiserhaus hält*, było raz słowo Fryderyka Wilhelma I nieco jego fajczarnią tchnące, ale szczerze pomyślane.

Ale pomimo tego wszystkiego wbrew całej historyi, pruski antagonizm z Austryą, niemiecki dualizm, wedle wszystkich gothajczyków był od samego początku pruskiej historyi, a nie dopiero od Fryderyka Wielkiego duszą polityki Pruskiej; i to jest także jeden z głównych dogmatów szkoły.

A Fryderyk Wielki? czemże jest Fryderyk Wielki? Jestto największy bohatyr i monarcha jaki się kiedykolwiek urodził. On pierwszy sprowadził przynajmniej części Niemiec z antinarodowej drogi, bo pierwszy zachwiał jarzmem rzymsko-austryackich wpływów w całych Niemczech, a wszystko co robił, robił w poczuciu owej czysto niemieckiej misyi, jako prawdziwie narodowy bohatyr i oswobodziciel. Mniejsza o to, że historya zapisała na wieczne czasy takie fakta n. p. że Fryderyk Wielki całe życie Niemców nie cierpiał, gardził wszystkiem co niemieckie, że aby zrozumieć filozofa Wolfa, kazał sobie go na francuzkie przetłumaczyć, że szczycił się z tego, iż stworzył nowy naród, *la Nation Prussienne* i byłby chętnie dla niego i nowy język pruski wymyślił i że n. p. w liście jego do przyjaciela Jordana z 3 Marca 1771 r. do tej jego narodowej misyi Niemieckiej taki znajdujemy komentarz: „Moja młodość, pisze król, ogień namiętności, żądza sławy i aby Ci już nic nie ukrywać ciekawość i jakiś popęd tajemny wyrwały mię z mego spokojnego życia do działania, a przytem i ta

przyjemność: swoje imię widzieć codzień po wszystkich gazetach, a później w historyi, skusiły mię do tego co robię.“ To wszystko jednak nie przeszkadza, że pomimo tego przecie Fryderyk jest pierwszym, największym prawdziwie narodowym bohatyrem Niemiec, który je sprowadził na właściwe dla nich tory polityczne.

Zatrzymałem się nieco nad tą plejadą niemieckich uczonych, bo może nic więcej nie przyczyniło się do utarcia drogi przejściom z 1866 do 1871 roku, jak działanie tychże profesorów po wszystkich niemieckich uniwersytetach. Cała młoda generacya niemiecka została po większej części w tym ich kole wyobrażeń wychowana, przez ich wykłady, książki i seminarya historyczne, w których do traktowania dziejów w duchu tychże gothajskich zasad umyślnie młodzież tresowano, zwłaszcza że do rozpowszechnienia i popularyzowania tychże wielkopruskich idei, służyło wyśmienicie berlińskie centralne bióro prasowe, przez rząd pruski w 1852 r. założone i większą częścią prasy niemieckiej rozporządzające. A kto zna jeszcze ten w Niemczech tak powszechny wielki respekt dla renomowanych powag naukowych, ten łatwo pojmie, jakie bezwzględne panowanie miała ta falanga nad całą niemiecką opinią publiczną, tak wyższych sfer jak i niższych; jak silnie oddziaływała ona przez swoje, istotnie z wielką erudycyą i często z wielkim talentem robione, wielotomowe fabrykaty historyczne i mniejsze broszurowe pamflety.

Czem dla Rewolucyi Francuzkiej byli encyklopedyści i cały filozofizm XVIII wieku, tem dla niemieckiej, spokojniejszej, ale nie mniej radykalnej, wcale jeszcze nieskończonej rewolucyi od 1848 roku a mianowicie dla katastrof z roku 1866 i 1871 był ten, dotąd jeszcze żyjący i panujący *historyozofizm* niemiecki. Zrywa on wszelką nić łączącą jeszcze umysły niemieckie z ich przeszłością polityczną i religijną, i pędzi je w nowe niby nieznane dotąd jeszcze sfery, jakiejś dziwnie wielkiej i świetnej przyszłości, które jeśli komu to historykom szczególnie powinny być aż nadto dobrze znane, bo się w nie już i inni i to najbliżsi sąsiedzi niemieccy z za Renu niedawno byli zapuścili i dotąd jeszcze z tego bardzo chorują. Tak jest; filozofizm francuzki XVIII wieku i historyozofizm niemiecki ostatnich czasów, to rodzeni bracia, a kto wie czy ten

drugi nie jest gorszy jeszcze od pierwszego, bo w tamtym było jeszcze bardzo wiele bezwiednego, pomimowolnego często i chwilowego tylko zbłąkania się rozumu ludzkiego, podczas gdy do takiego systematycznego fałszowania przeszłości, w poważnej sukni umiejętności historycznej, potrzeba koniecznie dużo złej wiary i woli; we francuzkim fałszu XVIII wieku było więcej frazesu i blagi, a w niemieckim jest więcej oczywistego i podłego kłamstwa.

Jak długo jeszcze król Fryderyk Wilhelm IV panował, tak długo te partye malkontentów, ci junkrowie niezadowoleni, z wygórowanego jak sądzili, romantycznego legitymizmu króla względem Austryi i ci gothajscy uczeni, ze wszystkiem, co stało poza nimi, nie mogli przyjść do tak wielkiego w Niemczech i w Prusiech znaczenia, żeby zaraz po roku 1848 i 1849 cokolwiek zważyli na szali politycznej.

Tym raaem rzeczy poszły jeszcze całkiem innym nawet dla przyszłej wielkości Prus nie bardzo korzystnym biegiem. Zgromadzenie frankfurckie, nie przeprowadziwszy żadnego ze swych projektów, odegrawszy parodyę francuzkiej *Constituante*, rozeszło się z kościoła św. Pawła i doczekało się jeszcze tragikomicznego epilopu w Stuttgardzie, gdzie się było przeniosło, i gdzie szeregom wojska królewskiego sali ustąpić musiało. Dawny Związek niemiecki odżył wbrew zabiegom pruskim, pod protekcyą Austryi, mocą traktatu ołomuniego i drezdeńkiej konferencyi, przyczem i wpływ cesarza Mikołaja bardzo ważną odegrał rolę. Skończyło się wszystko jakby wznowieniem świętego przymierza, a reakcya poza rok 1848 zdawała się kompletną. Austrya stała znowu na czele Związku, Prusy zajęły pierwsze po Austryi, więc drugorzędne stanowisko w Niemczech. Ale takie trzy lata, jakiemi były dla Niemiec lata między 1848 a 1851, nie dają po sobie przejść po prostu do porządku dziennego. Raz rozbudzone żądze i namiętności polityczne, żądza wielkości, potęgi i jednolitości politzcznej, jaką Niemcy w sejmie frankfurckim zapłonęły, torują sobie dalej drogę w historyi na nic się nieoglądając, zwłaszcza jeszcze gdy złączą swój interes z interesem organizmu takiej siły, jakim Prusy już wtedy były, a jeszcze bardziej się nim być czuły, w swojej pruskiej dumie i ambicyi. Prawdziwi, najgorętsi patryoci pruscy uważali od początku to dzieło restauracyi związku jako

największą dla Prus hańbę i krzywdę. Nie zapomniano bowiem ani chwilę frankfurckiego programu nowej konstytucyi Niemiec z Prusami na czele, i czekano tylko sposobnej chwili, aby politykę pruską samowolnie pchnąć ku tymże celom. Do czasu jednak musiano się poddać smutnej konieczności i uledz woli króla Fryderya Wilhelma IV.

Ale skoro tylko tenże król wpadł w obłąkanie i brat jego Wilhelm I objął rejencyą zaraz otworzyło się szersze pole działań dla tychże patryotów; bo i sam Rejent już oddawna z uczniowę polityką brata nie był w zgodzie, i też od początku swej Rejencyi zaraz w duchu młodej, junkierskiej partyi rządzić począł. Usunąwszy Manteuffla, który Austryi przychylną politykę prowadził, złożył sobie gabinet z grona właśnie tych, co do ogólnych niemieckich tendencyi na pół liberalnych, a co do środków przeprowadzenia tychże nowych idei, zupełnie po staroprusku usposobionych junkrów. Nazwano ten nowy gabinet ministeryum nowej ery. Zaraz pierwszej radzie ministrów, (8 listopada 1858) roku, Rejent wypowiedział jasno swój program na przyszłość, na który się później często powoływać lubił. Zganił naprzód delikatnie poprzednią politykę brata, mówiąc że on niechce wprawdzie zupełnego zerwania z przeszłością, ale pragnie wprowadzić konstytucyę gwarantującą Prusom i całym Niemcom odpowiednią potęgę na zewnątrz: „Armia stworzyła wielkość Prus i wzrost im wywalczyła“ mówił dalej Rejent: „zaniedbanie armii sprowadziło już nie jedną nieprzyjemną dla Prus katastrofę. Przedeszystkiem potrzebne nam są teraz spokój i pieniądz. Byłoby to błędem nie do darowania, żebyśmy się w naszem dzisiejszem położeniu chełpić mieli z tanich urządzeń wojskowych, w skutek którychby nas armia zawieźć mogła w decydującej chwili. Pruska armia musi być silna i znakomita, aby mogła g d y t e g o b ę d z i e p o t r z e b a mocno na szali zaważyć. Prusy muszą stanąć w przyjaznych stosunkach ze wszystkiemi mocarstwami europejskiemi, ale nie powinny żadnym obcym wpływom ulegać, ani się przedwcześnie traktatami wiązać. W Niemczech muszą robić Prusy m o r a l n e zdobycze, przez swe mądre prawodawstwo, przez podnoszenie wszystkich dodatnich żywiołów i przez chwycenie w ręce kierunku takich łączących środków, jakim jest n. p. związek cłowy, któryby koniecznie trzeba zreformować. Silne, konsekwen-

tne, a gdy będzie tego trzeba i energiczne postępowanie musi Prusom dać tę przewagę polityczną, która im się należy“.

Tego programu Rejent Wilhelm od początku trzymał się jak najściślej, i wszystko zmierzało u niego do wzmocnienia i powiększenia pruskiej armii. Dziś jest to dla nas rzeczą prawie trudną do pojęcia, że ten tak jasno wypowiedziany program Rejenta nie był zrozumiany przez większość, z tych właśnie partyi, które te same co i rząd pruski miały ideały. Pruska reorganizacya armii była właśnie w kołach liberalnych, tak w Prusach, jak i w Niemczech całych najmniej popularna niedowierzano jeszcze wtedy, żeby te wielkie siły, z taką forsą przez Rejenta koncentrowane, miały posłużyć kiedyś do tak wielkich celów. Uważano to wszystko tylko jako indywidualną pasyę Rejenta do militaryzmu, za pasyę podobną. jaką ma n. p. król bawarski do muzyki Wagnera, tylko że jeszcze dużo kosztowniejszą i niebezpieczniejszą. Wszędzie więc w Niemczech i w Prusiech, owa reorganizacya armii znachodziła opozycyą, cała niższa Izba pruska była jej stanowczo przeciwną i niechciał uchwalać odpowiedniego budżetu na pokrycie wielkich kosztów, z powodu tych jak sądzono mundurowych fantazyi Rejenta. A przecież już jaśniej tłumaczyć się nie było można, jak Rejent w proklamacyi z 2 stycznia 1861 r. przy wstąpieniu na tron po śmierci brata jako Wilhelm I gdy powiedział: „Moje obowiązki względem Prus schodzą się w jedno z obowiązkami memi względem Niemiec, bo jako niemiecki książę mam obowiązek postawić Prusy na tym stopniu potęgi, jaki one dla swojej świetnej historyi, dla swej rozwiniętej siły i organizacyi wojskowej, między niemieckiemi Państwami dla dobra wszystkich zająć muszą.“ Także Nationalverein, który się był uformował w Niemczech podczas wojny włoskiej z r. 1859 na wzór włoskiej „*Societa nazionale*“, w celu podobnej propagandy zjednoczenia Niemiec, jaką włoska *societa* robiła dla zjednoczenia Włoch, nawet i ten Nationalverein, choć rozentuzyazmowany sukcesem Włochów w 1859 roku, chętnie byłby oddał inicyatywę swoich dążności w ręce rządu Pruskiego, (podobnie jak *societa nazionale* rządowi Sardyńskiem ją była oddała), przecież nie przemawiał wtedy jeszcze za wzmocnieniem Prus i nie usiłował pozyskać opinii publicznej dla tych nowych

pruskich urządzeń wojskowych. I tu nie ufano jeszcze dosyć Prusom, czy zechcą na korzyść całych Niemiec swą Pruskość narazić; rząd pruski zaś bez wzbudzenia nieufnści i obawy powszechnej w Europie, jaśniej ze swych dążności tłumaczyć się nie mógł, wzajemnie więc i Nationalverein i rząd pruski trzymały się jeszcze od siebie zdaleka. Dziś już za to jest inaczej, dawny prezes Nationalvereinu von Beningsen jest jednym z głównych przewódzców rządowej lewicy w dzisiejszym parlamencie niemieckim.

Tylko wyższa Izba, ze samych najznakomitszych junkrów złożona popierała wtedy bezwzględnie Rejenta, a później króla, w jego reformach wojskowych i przyjmowała jednogłośnie dotyczące przedłożenia rządowe. Większość tychże junkrów, co tworzyła tak zwaną partyę Gazety Krzyżowej, postawiła w tym czasie dla pruskiego Volksvereinu, który w przeciwieństwie do Nationalvereinu miał się utworzyć, program następującej treści: Jedność Niemiec, ale nie na drodze włoskiego królestwa, bez zapierania się pruskiej ojczyzny, bez rzucania się w odmęt rzeczypospolitej, bez zrzucania koron bez rządów parlamentarnych i odpowiedzialności ministrów, lecz z osobistym rządem króla z Bożej łaski, a nie z łaski konstytucyi itd.

Łudzono się jeszcze w tych sferach, że rząd pruski na tej drodze, na jaką już był wszedł, na drodze bezwzględnego potęgowania zbrojnych sił państwowych, zostanie zawsze wierny zasadom tego ich programu legitymistyczne i popierano *quand même* królewską reorganizacyą armii, mając w tem także swoje egoistyczne widoki, bo przez to zwiększenie armii, otwierało się dla młodych junkrów mnóstwo nowych miejsc oficerskich. Tak więc nie było wtedy jeszcze porozumienia między rządem pruskim i narodem niemieckim co do ostatecznych celów i dążności. Ci co jak Nationalverein i Gothajscy uczeni mieli na sztandarze wypisane: Jedność Niemiec *mit der Preussischen Spitze* stali z przedłożeniami rządowemi w Izbie niższej w stanowczej opozycyi, a ci co przyjęli za program „*Keine Einigkeit unseres Vaterlandes auf den Wegen des Königr. Italien*“, ci właśnie jak jeden mąż, stali i szli z rządem i królem. Ale to też i ten rząd i król, wtedy jeszcze sami przed sobą może do swych ostatecznych celów nie bardzo się przyznawali, bo całkiem prostą drogą do nich jeszcze zmierzać nie śmieli.

Był jednak ktoś, co już wtedy całą sytuacyę do gruntu pojął, wszystko obliczył i zważył i pociągnąwszy ostatnie konsekwencye z pruskich działań i dążności, ułożył sobie program na przyszłość, a miał on już wtedy nadzieję pozyskać sobie króla dla swych planów.

Był to także jeden z junkrów pruskich, jak się później pokazało największy z nich wszystkich, Bismark von Schönhausen.

Zrozumieć Bismarka znaczy zrozumieć historyę polityczną Prus i Niemiec od 1862 r. a właściwie i od r. 1848, bo i do tych poprzednich kilkunastu lat, jego listy i mowy są najlepszym komentarzem. Przez Bismarka możemy się najlepiej zapoznać z naturą tego prusko-niemieckiego ducha, który w naszych czasach w Niemczech zapanował. reasumuje on w sobie wszystkie jego instynkta i dążności, to też polityczna karyera Bismarka jest zarazem polityczną karyerą nowych Niemiec. Sądzę więc, że to nie będzie od rzeczy, jeśli w trakcie moich studyów szczególnego starania dołożę, żeby o ile z pomocą przystępnych mi źródeł jest możliwem, rzucić jak najwięcej światła na tego męża stanu.

Bismark nie występował na arenie sejmu frankfurckiego, ale został wybrany jeszcze w r. 1847, zaraz po patencie lutowym Fryderyka Wilhelma IV do pruskiego sejmu. Był on wtedy, przeszedłszy zaledwie burzliwą młodość, tych samych wolnomyślnych przekonań jakie około 1848 r. powszechnie były w powietrzu. Ale była to jedna z tych natur, które dopiero przy istotnem zetknięciu się z życiem praktycznem ostatecznie się krystalizuje. Z pierwszych przemówień jego w Izbie sejmowej zaraz widać, że to jest człowiek który razem z Napoleonem W. mógłby o sobie powiedzieć: „*Mon ésprit me portait à détester les illusions, le monde a toujour était pour moi dans le fait et non dans le droit,*“ To też dosyć mu było zetkąć się pierwszy raz z duchem swego czasu, aby poznać w czem leży siła a w czem frazes i blaga, i dojść także i do dalszej Napoleońskiej konsekwencyi: „*Il n'y a qu'un secret pour gouverner le monde c'est d'être fort, parcequ'il n'y a que dans la force ni erreur ni illusion, c'est la verité mis au nu.*“ Najbliższe wypadki współczesne i proste junkierskie sumienie wnet powiedziały Bismarkowi, w czem należy szukać

w Niemczech *tej siły* czyli *nagiej prawdy*. Wobec całej krzykliwej lewicy miał on tę cywilną odwagę już wtedy w podobny sposób się odzywać: „Ja właściwie nie widzę w tym sejmie istotnej reprezentacyi kraju i narodu pruskiego, tak jak jej nie widzę także ani w piórach gazeciarzy, ani we większościach miast prowincyonalnych.“ A dopiero gdy zobaczył gdzie owe wszystkie frazesy frankfurckiej, berlińskiej i wiedeńskiej lewicy prowadzą, gdy przyszły marcowe wypadki 1848 roku, gdy we wszystkich prawie stolicach niemieckich przyszło do krawali, z ulubioną paryzką scenerya barykad i gwardyi narodowych: wtedy dojrzały jego polityczne zapatrywania. Po uspokojeniu się tej burzy, gdy został znowu wybrany do pruskiej Izby poselskiej w 1848 r. i gdy tamże usłyszał kogoś dowodzącego, że i frankfurcki sejm przyczynił się wiele do uspokojenia powszechnie wzburzonych umysłów, wystąpił z całą gwałtownością i dał się słyszeć z wyznaniem politycznem, które jest tem bardziej nauczające, że można je uważać za credo każdego prawdziwego junkra pruskiego, tylko że żaden nie śmiał z niem tak otwarcie wystąpić. „Pryncypia, mówił Bismark, nie rozstrzygają się debatami parlamentarnemi, tylko Bóg wojny rzuca żelazną kość losu, ja wiem tyle, że pruski pułk 18 ocalił nas 16 września od tej biedy jaką nam właśnie frankfurcki parlament przygotował, jeśli nas więc co ocaliło, to tylko ta specyficzna pruskość (das specifische Preussenthum). Ta resztka *„des Stockpreussenthums“* która przetrwała rewolucyę, to jest pruska armia, pruski skarb, owoc długoletniej rozumnej administracyi, ten żywy stosunek króla do narodu, przywiązanie do dynastyi, stare pruskie cnoty honoru, wierności i posłuszeństwa, które żyją jeszcze w pruskiej armii od oficera do najświeższego rekruta, to jest nasza siła. Armia pruska nie zna trójkolorowych uniesień i mrzonek, ani też naród pruski nie pragnie żadnego jakiegoś odrodzenia narodowego wedle frankfurckiego modelu. Naród z którego ta armia wyszła, którego głównym reprezentantem jest właśnie ta armia, nie ma wcale ochoty utopić pruskiego królestwa w południowo-niemieckiej zamieszce“. Ale obok tego junkierkiego *„Stockpreussenthum,“* przebijała w Bismarku już i wtedy ta dumna wiara w pruską misyę względem całych Niemiec, od początku uważał on wiel-

kość Prus, a przez Prusy wielkość i potęgę całych Niemiec, niemal jako swoją osobistą sprawę.

Latwo się domyślić można, że i Bismarkowi owa frankfurcka korona cesarska wcale się niepodobała, „bo, jak się bardzo trafnie o niej wyraził, może ona być bardzo błyszcząca, ale złoto któreby jej dopiero prawdziwy blask nadać mogło, musiałoby być wzięte z przetopionej w nią korony pruskiej, a ja w to nie wierzę, żemy takie przetopienie we frankfurckiej formie się udało“. Chciał on zjednoczenia i potęgi Niemiec, ale przedewszystkiem przez Prusy i na pruską modłę. „W to nie wierzę, mówił raz Bismark w tymże samym sejmie w 1849 r., żeby frankfurckie projekta zjednoczenia, Niemcom się na co przydały, często tu wspominano o polityce Fryderyka W. i nawet identyfikowano ją z teraźniejszymi projektami zjednoczenia. Mnie się zdaje przeciwnie, że Fryderyk W. byłby się przedewszystkiem oparł na najwybitniejszej właściwości pruskiego narodu, na żywiole wojskowym, i byłby zwyciężył, i tem samem prawem jakim Szlązk zdobył, (prawda że tem samem), byłoby w jego mocy i teraz po odrzuceniu frankfurckiej korony cesarkiej Niemcom rozkazać: jaką konstytncyę mieć mają, choćby przysło nawet miecz rzucić na szalę, toby była dopiero prawdziwie narodowa; pruska polityka, ona dałaby Prusom z Austryą albo i bez Austryi jedynie odpowiednie dla nich stanowisko i wtedy mogłyby one dopomódz i Niemcom wznieść się do takiej potęgi jaka im się w Eropie należy“. Czystej wody junkier schodżi się tu jak widzimy na jotę w przekonaniach z doktrynami Gothajskimi i przemówił zupełnie tak, jak prawdziwie naodowy bohatyr niemiecki wedle nich przemawiać powinien.

Cały przyszły Bismark już w tych pierwszych wystąpieniach z roku 1847, 1848, 1849 rysuje się jak najwyraźniej. Nieustraszona cywilna odwaga i śmiałość, wstręt do wszelkiego czczego frazesu, który mu został już na całe życie; w późniejszej karyerze swojej często pomagał sobie gwałtem, ale nigdy nie szermierzył frazesem. Brawowanie parlamentaryzmu i wstręt do tegoż; a ufność przedewszystkiem w absolutną władzę rządu, w materyalną siłę armii i organizacyi pruskiej jako w jedyne srodki do osiągnięcia przyszłej wielkości i potęgi Niemiec i najpew-

niejszą tychże gwarancyę, wszystko to można i w późniejszych działanich Bismarka zawsze na dnie odszukać.

Po tych obiecujących początkach zaczęła się dopiero właściwa wyższa akademia życia Bismarka, gdy został mianowany w r. 1851 ambasadorem pruskim we Frankfurcie przy Bundestagu odnowionego związku Niemieckiego. Trudno było o korzystniejszą pozycyą dla przszłego męża stanu, nie było lepszego punktu obserwacyjnego, a Bismark miał ogromną do obserwacyi zdolność, do robienia doświadczeń *in anima vili* i do prawdziwego korzystania z nauk w szkole życia, naturalnie w kierunku własnych dążności i zamiarów.

Tam we Frankwurcie miał ciągłą styczność ze wszystkimi książętami niemieckimi, i dyplomatami całej Europy, tam w rozmowach ze starym, pensyonowanym Meternichem na Johanisbergu, wtajemniczał się w arkana polityki, zapoznawał z duchem Austryi i jej słabości odkrywał, a miał już tam we Frankfurcie wielką nienawiść do Austryi z którą się niekrył wcale. Rezultaty tych wszystkich studyów i obserwacyi frankfurckich mamy zapisane w listach Bismarka publikowanych w książce Hesekiela [1]) i w jednej broszurze która w r. 1859 bezimiennie wyszła. Gdyby Bismark nie był przyszedł do władzy, może by to wszystko dotąd jeszcze nie było niczem więcej, jak dawno zapomnianymi, zuchwałymi projektami i trafnemi spostrzeżeniami politykującego junkra pomorskiego, ale dziś te listy i ta broszura, to są nadzwyczaj ciekawe dla nas dokumenta historyczne, mieszczące cały program późniejszej prusko niemieckiej polityki narodowej, spisanej przez tego, który go później sam w życie wprowadził.

Pozwolę sobie przytoczyć niektóre ustępy z tychże dokumentów, nic bardziej nie pomaga do wyrobienia sobie sądu, jakiego gatunku jest cała późniejsza robota Bismarka, a nie można jaśniej, krócej i dobitniej się wyrażać, jak jego własnemi słowami, chcąc dać najlepszy pogląd na ówczesną sytuacyę historyczno-polityczną. Pisze on z Petersburga w r. 1856, dnia 12 maja do Barona Schleinitza pruskiego ministra spraw zewnętrznych:

---

[1]) Des Buch vom Grafen Bismark 1869.

„Po ośmioletniem urzędowaniu we Frankfurcie, wywiózłem jako rezultat moich doświadczeń to przekonanie, że istniejące urządzenie Związku Niemieckiego jest dla Prus nieznośnym, a w krytycznych razach może nawet bardzo niebezpiecznym ciężarem, za który Prusy nie mają żadnego ekwiwalentu, jaki ma np. Austrya, która dużo swobodniej ruszać się może. Książęta i rządy mniejszych krajów niemieckich, nie mierzą nas z Austryą jedną miarą i wszystko w Związku modeluje się wedle polityki Austryackiej. Zawsze widzimy się w związku wobec tejże samej większości, która zawsze tylko na uległość Prus rachuje. Ustalenie się związku z Austryą na czele, to jest naturalny cel polityki niemieckich książąt i ich ministrów, a to musi wyjść zawsze na niekorzyść Prus i musi koniecznie przeciw Prusom się skierować, jeśliby Prusy kiedy nie zechciały zadowolnić się tem stanowiskiem, tylko asekurującem Związek od zbytniej przewagi Austryackiej i jeśliby nam się sprzykrzyło nareszcie znosić z pokorą i z poddaniem się i z tą nigdy niezmordowaną uległością, tę nieproporcyę naszych obowiązków do naszych praw związkowych. Tendencya średnich państw Niemieckich, ta tendencya grawitacyi do Austryi, po każdem niewiem jakiem wstrząśnieniu, wróci zawsze na dawne miejsce jak igła magnesowa, bo nie jest ona dowolnym produktem pojedynczych osób i okoliczności, ale naturalnym i koniecznym wypływem związkowych stosunków między małemi państwami. W danych więc warunkach istniejących traktatów nie masz dla nas sposobu zająć w Związku niemieckim odpowiedniej i trwale nas zadawalniającej pozycyi. Dla tego też, pisze dalej: może idę za daleko, ale myślę że powinniśmy chwycić pierwszą lepszą sposobność, jaka nam się nastręcza, żeby dojść do takiej zmiany naszych wzajemnych związkowych stosunków, jakiej Prusom koniecznie potrzeba, jeżeli sobie chcą stale uregulować stosunki z mniejszemi państwami. Ja sądzę że powinniśmy rzucić rękawicę i nie widzieć w tem żadnego nieszczęścia, ale owszem cieszyć się z tego jak najbardziej, jeśli kiedy jaka większość Bundestagu we Frankfurcie coś takiego uchwali, w czem my będziemy mogli upatrzyć n. p. przekroczenie kompetencyi albo samowolne nadużycie celów związkowych, albo złamanie traktatów, im bardziej bijącą w oczy byłaby nielegalność jakiej uchwały w Bundestagu, tem lepiej dla nas. Dobrzeby było także

przygotować do tego zwrotu opinię publiczną, uderzywszy przez prasę w stronę samoistnej pruskiej polityki, a może wkrótce wydarzy się coś we Frankfurcie co nam do tego da dobrą okazyę. Hasło „Niemcy" zamiast „Prusy" wtedy dopiero widziałbym chętnie na naszym sztandarze, aż będziemy już korzystniej i ściślej niż teraz z resztą Niemiec związani. Teraźniejszy nasz stosunek do związku, to choroba Prus, którą prędzej czy później *ferro et igni* będziemy musieli wyleczyć."

Najlepszą sposobność do rozpoczęcia tej radykalnej kuracyi, do wystąpienia w Niemczech z samoistną polityką pruską widział był Bismark podczas wojny włoskiej w 1859 r. Wtedy to oświadczał się otwarcie we Frankfurcie ze swemi sympatyami dla jedności Włoch, a antypatyami dla Austryi, obcował wiele z włoskim ambasadorem i puścił w kurs bezimiennie broszurę p. t. „*Preussen und die Italienische Frage.*" Wszyscy poznali w niej zaraz pióro Bismarka, a choć może sam tej broszury nie pisał, to ją podyktował najniezawodniej. Nosi ona wszystkie cechy Bismarkowskiego stylu i stoi zupełnie na gruncie jego zkądinąd dobrze znanych przekonań i zapatrywań, trudno więc przypuścić żeby od kogoś innego pochodzić mogła. Dotkniemy tu niektórych ustępów tej broszury, stanowiących niejako dalszy ciąg wyznań z poprzednio przytoczonego listu. Ilustrują one doskonale motywa późniejszej polityki jego względem Austryi i Niemiec: „Położenie Austryi pozornie tak świetne i imponujące, było wdzięcznem polem do praktycznej krytyki dla śmiałego a roztropnego polityka (któżby w tym śmiałym i roztopnym krytyku austryackiej polityki nie poznał Bismarka w jego frankfurckiem obserwatoryum, chociaż te słowa do Napoleona mają się stosować). Ten krytyk się znalazł, Austrya nie powinna dłużej przeszkadzać nowej organizacyi Niemiec bo w ten sposób jedynie może w nich sobie zyskać prawdziwego i silnego sprzymierzeńca, któryby nie widział w sukcesach Austryi własnego niebezpieczeństwa."

„Dopiero wtedy gdy Austrya uzna raz Prusy w Związku Niemieckim za wyłącznie kierującą potęgę i z tymże związkiem tylko pośrednio przez Prusy się połączy, wszelki bezpośredni wpływ na mniejsze państwa związkowe porzuci, wszelkiego bezpośredniego głosu w radzie związkowej się zrzeknie i swoje załogi z fortec związkowych usunie, dopiero wtedy będą mogły

Niemcy przez stósowne urządzenie się dojść do rozwoju najwyższej siły i świetności swego życia. Austrya swoim systemem nigdy tego zdziałać nie może, ona będzie musiała dopiero za poprzednim rozwojem niemieckim podążyć. Bo ten co powoli naprzód postępuje nie może być przewódzcą spółeczeństwa powołanego do bardzo szybkiego postępu. W tem właśnie leży sprzeczność teraźniejszych uroszczeń i usiłowań austryackich w Niemczech.“ Istotna sprzeczność jednak była tylko między prawowitą i przez Prusy tak dobrze jak i przez wszystkie inne państwa niemieckie na kongresie wiedeńskim, a ponownie w pokoju Ołomunieckim uznaną austryacką władzą, związkowi Niemieckiemu przewodniczącą, między tą legalną władzą w Niemczech, a uroszczeniami owej fikcyjnej misyi Prus względem Niemiec.

Wiemy dobrze że wtedy opinia publiczna i rządy w Niemczech więcej do Austryi niźli do Prus grawitowały, jak to i sam Bismark przyznawał w poprzednio cytowanym liście mówiąc: *że polityka Niemiec z koniecznością igły magnesowej zawsze ku Austryi się zwraca.* Niebyło więc widać wtedy jeszcze owej rażącej sprzeczności między systemem Austryackim, a tym jakimś niewytłumaczonym popędem do nadzwyczajnie szybkiego postępu, do którego wedle tej broszury spółeczeństwo niemieckie miało czuć powołanie, a który właśnie dopiero Prusy w Niemczech sztucznie wzniecić umiały.

I wtedy jeszcze przy wybuchu wojny włosko-austryackiej opinija publiczna w całych Niemczech była za tem, żeby na korzyść Austryi interweniować; posłuchajmy co o tem powiada nasz autor broszury: „Co dzień słyszę kazanie, że trzeba nad Po spieszyć Renu bronić, toby już przestało być nawet wspaniałomyślnością, wypadałoby to nazwać całkiem inaczej: *Edel sei Preussen, hilfreich und gut*, mówi stara pieśń, tak, szlachetnym być, to ma być zawsze nasza przeklęta powinność (verdammte Pflicht) a my cóż za to mamy?“ Oczywiście byłoby to za wiele żądać od takiej pozytywnej głowy jak Bismark, żeby mogła być zrozumiałą dla niego ta dawna zasada Związku Niemieckiego, według której Prusy miały być jego mieczem, a Austrya tarczą. Dla Bismarka był ten brutalny fakt, że Prusy mają od Austryi lepiej dyscyplinowaną armią, którą jeszcze zwiększyć mogą, i że w danym razie możeby Austryą pobić mogły, aż nadto przekonywującym argumentem,

żeby tej Austryi w niczem nie ulegać, choćby ona na mocy niewiem jak i przez Prusy same zagwarantowanych traktatów i praw historycznych słusznie tego wymagać mogła, *parcequ'il n'y a que dans la force ni erreur ni illusion*, jest ostatnią maxymą ludzi podobnego miotu i nikt im tego nie wbije do głowy, że jak nie samym chlebem żyje człowiek, tak i państwa nie powinny stać tylko rekrutem. To też Bismarka konkluzya ze sytuacyi 1859 roku musiała być następująca: „Temu trzeba koniec położyć tej polityce uczuciowej (*Politik der Gemüthlichkeit*), jeśli Prusy mają Niemiec bronić, to muszą także mieć prawo wszystkimi środkami obronnymi Niemiec bezwzględnie rozporządzać. Prusy muszą mieć prawo zawierania samowolnie konfederacyi militarnych z pojedynczemi krajami niemieckiemi i muszą mieć w rękach związkowy system fortyfikacyjny. Inne dopiero wszystkie kroki w celu zjednoczenia Niemiec, mogą być przedsiębrane w drodze dobrowolnych układów z pojedynczemi rządami i reprezentacyami. (Naturalnie jak się kogoś raz dobrze za kark trzyma, to wtedy można bezpiecznie zacząć z nim układać). Oby raz tylko, kończy Bismark w swojej broszurze, to mięszanie się Austryi w niemieckie sprawy ustało, to już wtedy sama konieczność i zdrowy rozsądek, drogę do dalszych zbawiennych urządzeń w Niemczech utorują."

Jest to także charakterystyczna okoliczność, że Bismark w tych swoich ówczesnych przekonaniach i dążnościach zeszedł się prawie zupełnie z przewódzcą niemieckiego socyalizmu: Lassalem, który w swej broszurze także z 1859 r. p. t. *Der italienische Krieg u. die Aufgabe Preussens,* bardzo podobny rozwinął program polityczny. Ówczesny rząd pruski jednak nie chciał jeszcze wtedy otwartego wystąpienia przeciw Austryi i aliansu z Napoleonem, uznano nawet w Berlinie, że Bismark przez swoje zanadto bez żenady objawiane antypatye do Austryi i włoskie sympatye, stał się jako reprezentant Prus przy Bundestagu we Frankfurcie nie możliwym i przeniesiono go do Petersburga tuż przed włoską wojną. Wiedział on jednak, że w gruncie rzeczy dosyć się z nim w Berlinie zgadzano, to też gdy usłyszał o swojej nominacyi do Petersburga, powiedział: „oni mnie chcą tak jak szampan pierwej w lód wstawić, żebym im potem lepiej smakował."

Tymczasem rząd pruski i bez wyraźnego aliansu z Napoleonem usiłował zawikłanie Austryi we Włoszech ile możności na swoją korzyść wyzyskać. Niby to obiecywano interwencyą na korzyść Austryi, ale pod tym jedynie warunkiem, jeźli Austrya odda wszystkie związkowe siły zbrojne pod bezwarunkową komendę Prus. Na to Austrya przystać nie mogła i nawet nie była w prawie samowolnie związkiem rozporządzać; mogło się to stać tylko za dobrowolną i jednomyślną zgodą wszystkich państw związkowych. Średnie zaś i mniejsze państwa Niemieckie przychylały się wtedy bardziej do polityki warującej im niezawisłość od dyplomatycznego i wojskowego kierownictwa pruskiego. Próżno Austrya przypominała Prusom przez noty posłów, że wedle głównej zasady konstytucyi związkowej, mają one obowiązek, bez żadnych restrykcyj, bronić Austryi we Włoszech, że wedle tejże samej konstytucyi, samoistnej polityki niemieckiej Prusom prowadzić nie wolno. Próżno nawet oddawano za zgodą związku całego, dowództwo sił niemieckich ks. Rejentowi pruskiemu, byleby uznał tylko nad sobą zwierzchnictwo Związku, Prusy i na to przystać nie chciały, tylko chciały mieć zupełnie wolne ręce, do całkiem samoistnej inicyatywy. A w ciągu tego wszystkiego pod pozorem grożącej wojny, Prusy wyzyskiwały sposobną chwilę, żeby pożyczki zaciągać, wzmacniać i powiększać własną armię; co zaś do interwencyi we Włoszech, układy z Austryą zwlekały się bezskutecznie aż wreszcie przyszły: Magenta, Solferino i pokój we Villa-franca wszystko było za późno. Z całą słusznością mógł po pokoju we Villa-franca Cesarz Franciszek Józef 16 sierpnia w swoim manifeście „Do moich ludów“ zamieścić te słowa: „Skutek dalszego prowadzenia wojny byłby zawsze wątpliwy, bo zostałem gorzko zawiedziony w moich najbardziej ugruntowanych nadziejach, że w tej z taką słusznością podniesionej walce nie sam tylko stać będę. Pomimo gorącego i na najwyższą wdzięczność zasługującego udziału, jaki nasza dobra sprawa we większej części Niemiec tak u rządów jak i u ludów znalazła, usunęli się właśnie nasi najdawniejsi i najszlachetniejsi sprzymierzeńcy, z całym uporem i zapoznaniem tej ważnej kwestyi, jaka tu w grze była. Austrya więc musiałaby była wobec coraz groźniejszego stanu rzeczy i dalej iść całkiem osamotniona.“ Wszystko więc szło

już było wtedy w Prusiech po myśli Bismarka, który o tejże samej kwestyi interwencyi we włosko-austryackiej wojnie pisał 2go Maja 1859 r. do pruskiego Ministra Schleinitza.

„Jeźli oni (to jest kierownicy związku) myślą posługiwać się prawami związkowemi na to, by taką potęgę jak Prusy w ogień posyłać kiedy im się spodoba, a nie chcą nam oddać w ręce kierowniczego impulsu inaczej jak na podstawie związkowych teoryi, to tym sposobem ustaje wszelka autonomia pruskiej polityki. Trzeba więc tym panom przypomnieć, że jeśli chcą służyć innym, a nie pruskim interesom to sprawa niemiecka w ten sposób przez nich pojęta, nie może być zarazem sprawą przez Prusy popieraną.“ A we dwa miesiące później 5 Sierpnia już mógł pisać Bismark do tego samego ministra: Nasza polityka była całkiem *correcte*, tylko zbroiliśmy się trochę za szybko i za ostro, boję się więc o przyszłość, bo może trzeba będzie w końcu uderzyć, choćby dla tego tylko, żeby landwerę zatrudnić, bo wstyd będzie ją poprostu odesłać do domu.“ Najwyższe uzdolnienie na wielkiego ministra przebija się w tych słowach Bismarka.

Nim zboczyłem z ogólnego toku rzeczy dla osoby Bismarka, dla bliższego zapoznania się z jego przyszłością polistyczną przed objęciem teki ministerstwa — czego mi, mam nadzieję, czytelnicy za złe nie wezmą, zważywszy czem jest Bismark dla nowego Cesarstwa niemieckiego — przytoczyłem był programy różnych partyi politycznych, jakie się po roku 1848, podczas Rejencyi i przy wstąpieniu na tron pruski Wilhelma Igo w Niemczech i w Prusiech były potworzyły. Widzieliśmy także, jak się owe partye względem owej reorganizacyi armii pruskiej, z taką forsą przez Rejenta i króla Wilhelma I przeprowadzonej, zachowywały. Otóż o tej całej sytuacyi mamy także list Bismarka z dnia 18 września 1871 r. także do ministra Schleinitza pisany, który tem jest ważniejszy, że treść jego w krótce przestała być tylko poufnym listem, bo w miesiąc później Bismark w Badenie przedłożył królowi Wilhelmowi program polityczny, który wedle wiarogodnych świadectw dobrze poinformowanych nie co innego zawierał, jak ten list do Schleinitza; tylko oczywiście trochę inaczej musiało to być dla króla Wilhelma zredagowane. Mówiono już wtedy o nominacyi Bismarka na szefa gabinetu pruskiego,

co się jednak dopiero w rok później ziściło. Bismark w owym liście do Schleinitza krytykuje najprzód znany nam już i w głównej treści przytoczony program polityczny tak zwanej „partyi gazety krzyżowej“ (*Kreutzzeitung*) przez konserwatywnych junkrów pruskich zawiązanej, do której i Bismark był jakiś czas należał. Otóż apropos tego programu powiada Bismark: „Negatywna forma postawionych punktów powinna była koniecznie być zaniechana. Mdłą defenzywą żadna partya polityczna stać nie może, a tem mniej zdobywać sobie wyznawców i przyjaciół Nawet między naszymi najlepszymi przyjaciołmi jest mnóstwo doktrynerów, którzy od Prus wymagają równych zobowiązań względem obcych książąt niemieckich, co i względem własnych pruskich poddanych. System solidarności konserwatywnych interesów we wszystkich krajach niemieckich razem wziąwszy, jest dla nas niebezpieczną fikcyą, dopóki się nie ma zapewnienia bezwzględnej wzajemności od tych wszystkich panów. Ten system solidarności staje się prostą donkiszoteryą, która osłabia nasz rząd i koronę w spełnieniu własnych obowiązków, koronie pruskiej od Boga poruczonych, tj. zasłaniać Prusy przed wszelkiem zewnątrz i wewnątrz grożącem niebezpieczeństwem.“

Takie było w Prusiech i u Bismarka pojęcie solidarności związkowej; to też czytamy dalej w jego liście: „Zkąd my przychodzimy do tego, żeby wspierać ten całkiem niehistoryczny bezbożny i bezprawny humbug legitymizmu niemieckich książąt, bawiących się w Europejskie potęgi, zkąd oni przychodzą do tego, żeby mieli być zepsutemi dziećmi pruskiej konserwatywnej partyi. Nasz rząd jest w Prusiech liberalniejszy niż w Niemczech, my obcych koron bardziej strzeżemy niż własnej, i entuzyazmujemy się dla tych małych niemieckich majestatów z łaski Napoleona i Metternicha.“

Wedle Bismarka, a jestto także można powiedzieć ogólna specyficznie prusko-junkierska maksyma, dobry jest rojalizm i legitymizm, ale jeśli się stanie monopolem pruskiej korony, której jedynie i to z Bożej łaski się przynależy, inne wszystkie tytuły władzy, królów i książąt niemieckich, to są poprostu dzieci samowoli Napoleońskiej i przebiegłości dyplomatycznej Metternicha. I Prusom właśnie to mówić! wobec Bawaryi np. i Saksonii, które mają swoją o kilka wieków starszą historyę,

które już Niemcom dawały największych cesarzy, podczas gdy Prusy były jeszcze całkiem lub na pół pogańskie. Jeśli korony i mitry książęce innych niemieckich krajów tak mało znaczą, choć je nietylko Napoleon i Metternich, ale i Stein i Hardenberg i wszyscy królowie pruscy aż do Wilhelma I uznali i uznawali, to czemże jest także i owa pruska korona?! Jeśli wszystkie tamte są z łaski i samowoli Napoleona i przebiegłości Metternicha, to pruska jest z łaski słabej chwili i błędu politycznego cesarza Leopolda I. Ale według katechizmu pruskiego junkra, jedna tylko jest na świecie korona bezpośrednio z „Bożej łaski“ korona pruska, wszystkie inne powinny być właściwie dopiero z „łaski Pruskiej“.

Ale przejdźmy do ostatnich konkluzyj Bismarka w tych poufnych wyznaniach: „Jak długo teraźniejsza konstytucya Związku istnieje, to Związek będzie zawsze tylko „treibhausem“ i konserwatorem partykularyzmu niemieckiego. Byłbym wolał, żeby w waszym programie było zamiast mdłych wycieczek przeciwko republikanizmowi, raz otwarcie wypowiedziane, co my właściwie w Niemczech zmienić chcemy i czego nam potrzeba: Nam potrzeba zkoncentrowania wojsk niemieckich w naszym ręku tak jak chleba powszedniego, nam potrzeba nowego i lepszego urządzenia Związku cłowego, a nie wiem także, dlaczego mielibyśmy się wzdrygać i przed ideą nowego ogólnego parlamentu niemieckiego. Tylko śmiało i otwarcie wystąpmy raz z naszemi wymaganiami wobec Niemiec, są one aż nadto słuszne, aby sobie nie miały zjednać uznania, bo te państewka *von des Reinbundes und der Bundesakte Gnaden* nie będą mogły długo swego partykularyzmu przeciw prądowi czasu utrzymać. Wszystko pójdzie naprzód, jeśli tylko będziemy odważnie chcieć i naszych dążności nie będziemy się wstydzić, ale będziemy je przy każdej sposobności otwarcie manifestować w Bundestagu, w izbach, w prasie.“

Otóż jak powiada dobrze poinformowany historyk Klüpfel w swojej: *Geschichte der Einheitsbestrebungen Deutschlands,* podobnej treści tylko w nieco łagodniejszej formie był i ten program Bismarka królowi Wilhelmowi I w Badenie przedłożony, ale śmiały i gwałtowny junkier dyplomata Bismark nie był jeszcze wtedy persona grata u króla, król więc nie miał jeszcze wtedy ochoty oddać mu teki ministeryalnej. Po roku

jednak otwarła się furtka dla Bismarka, była nią kolizya króla z powodu wiadomej nam już reorganizacyi armii, którą król z taką bezwzględnością przeciw opinii publicznej i opozycyi w Izbie niższej przeprowadzać usiłował. Uważał on zawsze tę wojskową reformę, jako najświętszy obowiązek Korony i jako swoje, wyłącznie swoje, największe dzieło, o czem z pewną nawet zazdrością się wyrażał, powiedział np. raz do jednej deputacyi; „Co się tyczy reorganizacyi wojska, to jest ona mojem najwłaściwszem dziełem, którem się szczycę, nie ma tu żadnego projektu Bonina albo Roona, to jest wszystko mój własny projekt i pracuję nad wprowadzeniem go w życie z całem mojem doświadczeniem i poczuciem obowiązku. Jego się więc najsilniej trzymać będę i z całą energią przeprowadzę moją reorganizacyę armii, bo wiem, że jest na czasie, wypowiedziałem już to samo w r. 1858 Bliższe wyjaśnienie tego programu może tylko ten dać, kto go postawił, i nikt nie powinien tu podsuwać żadnych swoich przypuszczań, których w nim nie ma wcale.“ Wyraźniej król nie mógł mówić przeciw tym, co go zawsze o to posądzali, że cała ta reorganizacya armii jest poprostu tylko szlachetną pasyą, tradycyjnem amatorstwem dynastycznem króla dla podniesienia blasku korony, przyszłem narzędziem reakcyjnem króla w ręku tych samych junkrów, co ją tak stanowczo i jednomyślnie w Izbie wyższej popierali.

Otóż aby taką reorganizacyę armii, do czego potrzeba było tyle pieniędzy i tyle rekrutów, tak wbrew całej opozycyi przeprowadzić samą siłą władzy rządowej, na to trzeba było koniecznie mieć bardzo śmiałego i energicznego ministra, i to też w końcu spowodowało króla powołać Bismarka na szefa gabinetu. I nie mógł był zrobić trafniejszego wyboru. Z prawdziwem mistrzostwem prowadził Bismark przez 4 lata (od r. 1862—1866) tę walkę z niższą Izbą pruską o reorganizacyę wojskową, i pomimo że hasłem było opozycyi „ani grosza temu ministeryum,“ zwiększył samowolnie budżet wojskowy prawie o połowę, i rządził wbrew wszystkim prawie jednomyślnym uchwałom Izby, brawując cały parlamentaryzm i opierając się li tylko na zasadzie, że prawa korony stoją ponad kompetencyą sejmu.

W tych właśnie kilku latach konfliktu czyli rządów bezbudżetowych (jak ten czas powszechnie na-

zwano) Bismark zrósł się całkiem, niejako osobiście, z polityką pruską, i natchnął ją całkiem swym duchem. Prawdziwie charakterystyczne i klasyczne są niektóre zwroty w jego mowach z owych czasów, pozwalające jak nic innego wglądnąć w naturę pruskiego organizmu państwowego, tak odrębnego od wszystkich innych w Europie; i poznać sytuacyę historyczną Prus z owych czasów w przededniu wielkiej kryzys z r. 1866. Tak n p. na ostatniem posiedzeniu Landtagu z r. 1862, który przedłożeń rządowych nie chciał uchwalić, Bismark przemawiał w ten sposób: „Gdybyście moi panowie, wy mieli prawo budżet w jego całości i w szczegółach ostatecznie określać i ustanawiać, gdybyście mieli prawo żądać od Jego Królewskiej Mości usunięcia tych ministrów, do których nie macie zaufania, gdybyście mieli prawo waszemi uchwałami o stanie i organizacyi armii orzekać, tobyście wy mieli w kraju najwyższą władzę rządową, a praktyczna doniosłość tego byłaby następująca: Konstytucyjne prawa panującego domu Hohenzollernów przechodzą na większość tej Izby. Wy wiecie moi panowie, że w Prusiech ministeryum działa zawsze tylko w imieniu i z rozkazu króla pruskiego, pruskie ministeryum inne ma zupełnie stanowisko jak n. p. Angielskie, które niech się nazywa jak chce, jest zawsze właściwie tylko ministeryum większości parlamentarnej, my jesteśmy: m i n i s t e r y u m J e g o K r ó l e w s k i e j M o ś c i. Konstytucya nasza w art. 62 orzeka jasno jak ustawy do skutku przychodzić powinny, takie ustawy jak n. p. nasze budżetowe przedłożenie. Do prawomocności każdej ustawy, mówi tenże artykuł, potrzeba zgody korony z obydwoma Izbami, ale wyższa Izba ma prawo uchwałę niższej Izby odrzucić. Każda z tych trzech władz jest co do prawomocności swojej w teoryi nieograniczoną. Jeśli jednak między temi trzema prawodawczemi instytucyami nie ma zgodności, to na to nie ma w konstytucyi osobnego paragrafu ani orzeczenia, która z nich ma ustąpić, Konstytucya chce równowagi, i w spornych kwestyach między temi trzema władzami odsyła na drogę porozumień się i kompromisów. Jeżeli jednak wszelki kompromis przez to spełza na niczem, że jedna z dotychczasowych stron upiera się przy swojem z doktrynerskim absolutyzmem, to wtedy droga kompromisu się zamyka i przychodzi do starcia, do konfliktu, a konflikty zmieniają się w kwe-

styę siły. Ponieważ zaś maszyna państwowa stać nie może, więc kto faktycznie ma siłę w rękach, ten idzie wtedy naprzód według swojej woli *(Konflikte werden zu Machtfragen und derjenige der thatsächlich die Macht hat, schreitet vor in seinem Sinne)*. Państwo musi egzystować, i to przeświadczenie o tej konieczności wystarcza mi zupełnie i nie myślę wcale zapuszczać się w pessymistyczne horoskopy na przyszłość, coby z tego wyniknąć mogło, gdyby się Państwu kasa zamknęła."

„A więc siła przed prawem"?! — odpowiedział na to Bismarkowi deputowany hr. Schwerin, i od tego to czasu rozeszło się po świecie owo klasyczne *„Macht geht vor Recht."*

Bismark istotnie w tej właśnie formie tego nie wypowiedział i dla tego mógł się później kilka razy wypierać, że nigdy nie wyrzekł: Macht geht vor Recht, i utrzymywać, że mu to podsunięto. Jeszcze w kilka lat później, zaraz po wojnie austryackiej w 1866, minister spraw wewnętrznych Eulenburg tłomaczył Bismarka przed Izbą niższą, co on właściwie w 1862 roku w tym powyżej przytoczonym ustępie mowy swojej chciał powiedzieć, Bismark, mówił Eulenburg, twierdził tylko, że jeśli dwa ciała polityczne niemające nad sobą kompetentnego sędziego stoją przeciw sobie i żadne nie chce drugiemu ustąpić, to wtedy rozstrzyga ta przypadkowa okoliczność, kto ma większą siłę, a kto silniejszy, ten ma racyę! *(derjenige der gerade die Macht hat in dessen Schooss fällt, auch die Berechtigung seiner Ansicht)* tyle tylko chciał wtedy Bismark powiedzieć, a nie *Macht geht vor Recht!* broń Boże! tłumaczył p. Eulenburg."

Jak widzimy, próbowano wypędzić z tych słów djabła belzebubem; tymczasem nic w świecie nie wymaże już tego z historyi, że dewizą Bismarka było: „siła przed prawem", choć i to prawda, że on tego sam pierwszy w tej formie nie wypowiedział, bo prawdziwa historya sądzi więcej podług faktów i czynów, niźli podług słów. Zresztą i w słowach Bismark zwykle nie przebierał; w tym samym pierwszym roku owej jego walki parlamentarnej (29go września 1862 r.) słyszano także w Izbie ten pamiętny ustęp w mowie Bismarka: „Nie na liberalizm pruski patrzą teraz Niemcy, tylko na pruską siłę; Bawarya i księstwo Badeńskie mogą sobie libera-

lizm tolerować, ale za to komużby wpadło na myśl przedzielić im rolę Prus. Prusy muszą swą siłę skoncentrować do sposobnej chwili, którą już parę razy były opuściły. Prus granice były za ciasne dla zdrowego ciała państwowego (przy innej sposobności poetyczniej wyraził to Bismark: Prusy mają za wielki pancerz na swe ciało, muszą dorość do niego). *Nie przez mowy i uchwały większości* — kończył Bismark — *rozstrzygają się wielkie kwestye czasu, to było mrzonką 1848 i 1849 roku, tylko krwią i żelazem.*“ Od tego to posiedzenia został Bismark już na zawsze mężem krwi i żelaza.

Już i wtedy jednak w Izbie napomykał on jak mógł najwyraźniej, że ten królewski despotyzm w Prusiech jest tylko koniecznością chwili, malum necessarium, że majestat korony, w imieniu którego on wtedy tak energicznie i bezwzględnie działał, jest dla niego więcej tylko środkiem niźli celem, ale nie mógł i tem obudzić zaufania lewicy, chociaż już wyraźniej mówić nie mógł, jak w tym np. zwrocie: „Pruskie królestwo jeszcze nie spełniło swojej misyi, nie jest ono jeszcze tak dojrzałe, żeby się mogło stać tylko ornamentem konstytucyi, nieruchomem kołem państwowego mechanizmu. Prusy są jeszcze państwem niegotowem, muszą więc jeszcze ostro cugle ściągać i nie mogą sobie pozwolić tyle wolności wewnętrznej, co np. Anglia, która już najwyższy szczyt życia państwowego osiągnęła. Liberalny rząd jestto wielki zbytek (Luxusartikel), który tylko całkiem gotowe państwo pozwolić sobie może.“ Pomimo tego jednak choć Bismark ciągle dawał do zrozumienia, że dąży do tego celu, żeby sobie kiedyś w Prusiech wreszcie na ten zbytkowny artykuł liberalizmu było można pozwolić, nie przychodziło do porozumienia się jego z liberalną większością Izby pruskiego sejmu. Bismark sam wypowiedział raz tym panom z opozycyi w żywe oczy w r. 1865, jak sobie to dziwne zjawisko tłomaczy, że pomimo tylu zgodnych wyobrażeń nie może z nimi przyjść do porozumienia się. — „Przyczyny tego, mówił Bismark, nie trzeba zbyt daleko szukać, jest nią poprostu niezaspokojona ciekawość. Gdybym ja tu mógł z panami tak otwarcie o wszystkich moich planach na przyszłość się rozmówić, jak kiedy mówię o nich z Jego Królewską Mością, to ręczę, żebyście panowie nieco ochłódli w waszej opozycyi.“

Były jeszcze inne powody, dla których ta opozycya nie ustawała, najprzód wietrzono jeszcze zawsze w Bismarku owego reakcyjnego junkra z 1847 i 1848 roku, a przytem, jak to wiem z bardzo dobrego źródła, było tu w grze także i wiele prywatnych namiętności. Przewódzcy ówczesnej opozycyi sejmowej, ci co przeczuwali, że Bismark pójdzie w końcu ich drogami i przeprowadzi jedność Niemiec bez Austryi na liberalnych podstawach, woleliby byli już wtedy sami być u steru, niż być w tem wielkiem dziele tylko narzędziami Bismarka. Taki von Vinke np. zdolny i ambitny, a najlepiej wtajemniczony w zamiary Bismarka, chciałby był sam odegrać jego rolę, i pracował też energicznie nad obaleniem jego gabinetu. Ale i Bismark znał swoich ludzi. Rewolucyi, bez jakiejby się przy podobnym konflikcie we Francyi lub w Anglii było pewnie nie obeszło, Bismark w Prusiech się nie obawiał, choć go tem nieraz straszono; a wiedział on dobrze, że pierwszy, choćby i najniesprawiedliwszy, byle świetny sukces wojenny Prus, zamknie usta całej opozycyi. W tym składzie rzeczy było to nawet korzystniej dla rządu przeprowadzić taką reorganizacyę sił zbrojnych wbrew owym partyom, na których się później miał oprzeć, bo przez to zawarował sobie pewną niezawisłość na ten czas, kiedy razem z nimi iść będzie musiał. Bismark wolał poprzednio wbrew tymże żywiołom dojść do pierwszych rezultatów w przeprowadzeniu niemieckich idei, by potem w razie skoku „nach links“ nie mieć żadnego długu wdzięczności do spłacenia i być zawsze panem sytuacyi. W przyszłości, myślał sobie, będzie można tym panom z lewej strony zawsze dać uczuć, iż największe rzeczy bez nich się zrobiły, a więc że bardziej oni rządu aniżeli rząd ich potrzebuje, przez co właśnie moralna przewaga rządu będzie na zawsze zagwarantowana.

W ten sposób energiczną i rozmyślną polityką Bismarka w latach konfliktu, bezwzględnem zaprowadzaniem powszechnej służby wojskowej i samowolnem zwiększaniem budżetu wojennego bez żadnej kontroli, przygotowywał się w Prusiech najniezawodniejszy środek do tego, co nazywano reformą Związku niemieckiego. Wiemy już z poprzednio przytoczonych wyznań Bismarka, co on sądził o Związku niemieckim. Że Związek rzeczywiście potrzebował reformy, że w istniejącym składzie

rzeczy skazany był na całkiem bierną rolę w Europie, to widzieli i inni tak dobrze jak Bismark, który pisał do swojej siostry pani Arnim z Frankfurtu, że pracuje nad tem, żeby pierwszy wiersz znanej piosnki Heinego: „*O Bund du Hund, du bist nicht gesund*“ stał się głównem hasłem niemieckiej polityki narodowej. I Austrya i wszystkie średnie i mniejsze państwa niemieckie czuły, potrzebę reformy Związku, i można powiedzieć, że cała historya Niemiec od czasu rekonstytucyi Związku w 1851 r. aż do roku 1866, była w głównej części szeregiem usiłowań i projektów reformy Związku na drodze pokojowej, z inicyatywy różnych po kolei rządów niemieckich. Wszystkie jednak projekta prawdziwej reformy Związku, biorące za podstawę istniejący Związek i pragnące go tylko ulepszyć i wzmocnić, bez poronienia jego federalistycznego charakteru, znachodziły zawsze tego samego nieubłaganego przeciwnika w rządzie pruskim, który usuwając się zawsze od wspólnego działania w celu ulepszenia konstytucyi związkowej, i wszelkie usiłowania na tem polu, czy to z Austryi czy z innych państw związkowych wychodzące, umiał paraliżować. — Wszystkie rozbijały się zawsze o pruską opozycyę, bo jak przyznaje nawet taki entuzyasta dla polityki pruskiej jak wspomniany już historyk Klüpfel w swojej *Geschichte der Einheitsbestrebungen Deutschlands*: „Od pokoju Ołomunieckiego i od czasu restauracyi Związku w roku 1850—1851 było jakby tajemne porozumienie się między wszystkimi ministrami i dyplomatami pruskimi, żeby Związek i Bundestag w ciągłej utrzymywać niepopularności, i nie dać mu się nigdy do samoistnej działalności rozwinąć. Pruska polityka z wielka konsekwencyą, pomimo kilkorazowej zmiany gabinetu, zachowywała tę mądrą taktykę, żeby żadna prawdziwa reforma wedle narodowej myśli nie wyszła jak dzieło Bundestagu. Ile razy które z Państw związkowych postawiło jaki wniosek, w celu jakiej zbawiennej reformy, Prusy stanowczo głosowały przeciw temu. Tym sposobem, mówi dalej tenże sam historyk, Prusy rozminęły się wprawdzie z wszelką uczciwą polityką, ale był to jedyny środek do utrzymania balansu wobec Austryi.“ Prusy chciały poprostu zniesienia i obalenia Związku a nie reformy tegoż, chciały na gruzach Związku Państwowego ugruntować nowe

Państwo Związkowe wedle swego modelu. Staatenbund, Bundesstaat to były hasła polityki Austryi i Prus względem reszty Niemiec, hasła Wielko-niemieckiej i Mało-niemieckiej partyi, a ostateczna walka o te dwa pryncypia rozpoczęła się między Austryą i Prusami równocześnie ze wstąpieniem Bismarka do berlińskiego gabinetu.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Ign. Skrochowski.

MATKA DO MARNOTRAWCY.

przez A. E. Odyńca.

Jak Cię zwać — synem czy wrogiem?
Ty, co w wiecznym myśli szale,
Sam brnąc ślepo i zuchwale,
Mnie kłócisz z ludźmi i Bogiem.
I w matki duszy niewieściej
Topisz miecz ciągłej boleści?

Gdzie dom? gdzie skarby? gdzie ziemie?
Co ojciec twój przez wiek długi
Życiem pracy i zasługi
Nagromadził — by swe plemię
Zostawić w chwale u świata,
W której sam przeżył swe lata?

Marnotrawco! obacz na co
Tyś je strwonił? co z nich komu?
Co z nich tobie, okrom sromu?
Kto są, co się z nich bogacą?
Kto są, co o cudzym chlebie,
Płaczą po nich i na ciebie?

Nie kłam, nie bluźń, że mię kochasz!
Czy, że słowy chełpliwemi
Chcesz mnie sławić przed drugiemi?
Czy, że sam jęczysz i szlochasz,

Patrząc na me łzy i smutek,
Twych szaleństw i grzechów skutek?

Gdybyś kochał, toćbyś przecie
Myślał o tem, co mi trzeba;
Toćbyś słuchał mnie i Nieba,
Toćbyś wiedział, że na świecie
Kto chce czci i szczęścia użyć,
Musi wprzód na nie zasłużyć.

A ty! o! ty pragniesz obu;
Lecz co czynisz, to wprost k'temu,
By mnie i sobie samemu
Odjąć wszystko — i do grobu
Mnie i siebie pchnąć czemprędzej —
Mnie z rozpaczy, siebie z nędzy.

Cóż mi po tem, że, niestety,
Czuję, wiem, że nie zła wola,
Tylko płochość i swawola,
Ćmią twe cnoty i zalety?
Im ich wartość cenię drożej —
Tem ich plamę czuję srożej.

Lecz się obacz, skrusz się szczerze
I niech twe czyny dowiodą,
Żeś choć raz mądry przed szkodą:
A i ja matka uwierzę,
Że gdyś ty się mógł poprawić,
Bóg cię może błogosławić.

28 września 1868.

KILKA UWAG

o IV Eklodze Wergiliusza*).

W krótkich a dosadnych rysach przedstawił nam Tacyt w drugim rozdziale pierwszej księgi swych *Annałów*, filozofię rzymskiego cesarstwa. W kilku słowach ujął on tutaj wszystkie środki i wybiegi, których August używał, aby jego poddani w słodkości pokoju *(in dulcedine otii)* zasmakowali, a że praca jego rychłe wydała owoce, stwierdza sam Tacyt w dalszych rozdziałach, kiedy mówiąc o zachowaniu się społeczeństwa rzymskiego po śmierci Augusta karci je znanemi słowy: *Ruere in servitium consules, patres, eques.* Sprawiedliwie zaś mógł dodać i *poetae.*

Znane są usilne zabiegi Augusta, około poprawy obyczajów i podniesienia religii; widział on w starych jej formach jedną zaporę więcej, nadającą się do poskromienia wszelkich rewolucyjnych porywów. Przejrzał był to już i senat republiki i mistrz Augusta, wuj jego Juliusz, a ta konserwatywna polityka senatu, przeszła na nowych panów Rzymu. August wiedział, że ten sam państwowy kościół który oddał był usług

[1]) W ciągu tej rozprawki piszę zawsze Wergiliusz; pisownia: Wirgiliusz powstała w średnich wiekach i jest nieuzasadnioną, jak tego w XV już wieku dowiódł Angelus Politianus, a w nowszych czasach ponownie Emil Hübner.

Oligarchii, i monarchię mu ugruntować pomoże, z wyrachowania więc politycznego wziął się do propagandy ıeligijnej. A jak nie z wewnętrznych, duchownych pobudek, dążność ta w nim powstała, tak też i w zewnętrznych jedynie objawach szukała ona zaspokojenia. August sam, chociaż afektował republikancką prostotę, nie był wzorem prawości i surowości obyczajów: restaurował i budował z nadzwyczajną gorliwością świątynie i zapomniane wskrzeszał obrzędy. Postarał się zaś o to, aby pisarze prozą i wierszem w tym kierunku go popierali, i pod tym względem głównie okazała się ich służalczość. Horacyusz dawny epikurejczyk „*parcus deorum cultor et infrequens*“ jak sam o sobie powiedział, nastrajał swą lirę na wysokie tony, aby karcić w Odach religijną obojętność i dawnych Bogów Rzymu wysławiać. Że mu te pieśni nie z serca płynęły, świadczyło to najlepiej, że ody te poważne, nie wyjąwszy *Carmen saeculare*, słabiej od innych wypadły. Tibullus miłosne elegie przeplata wyznaniami wiary, poważnymi epizodami o ofiarach które spełnił. Rozpustny Propercyusz, nawet Owidyusz podążają za innymi i wzywają do pokuty, bo można było przecież *meliora probare* a równocześnie *deteriora sequi.* To też Owidyusz najzdolniejszy, i najlżejszy z rzymskich poetów, wyśpiewawszy swe *Armores* i *Ars amatoria*, umiał wziąść się do poematu tendencyjno-religijnego p. t. *Fasti* który pierwotnie Augustowi samemu poświęcił. Liwiusz i Wergiliusz wyszczególniają się korzystnie w tym chórze, więcej lub mniej służalczych pisarzy. Obydwaj wskrzeszając tradycye i religię dawnego Rzymu, pracowali w myśli Augusta. Znać jednak w nich, że rzeczy nie traktowali na zimno, że wierzyli w to, co pisali. Znaczeniem Wergiliusza w tym kierunku, bardziej szczegółowo tu się chcę zająć.

Eneida przedewszystkiem religijnym jest poematem. Myśl tę rozwinął niedawno filolog francuski, pan Gaston Boissier, w *Revue des deux mondes* z Marca 1873, w artykule pod tytułem: Un poëte théologien. A przed nim poruszył ją Ernest *Havet.* „Pomimo epizodów o miłostkach Dydony, mówi ten ostatni, które stoją w kontraście z resztą poematu, bohatyrem jest tu ideał króla kapłana (du Roi pontife) *Pius* Aeneas, zawsze zajęty adoracyą Bogów i świętymi obrzędami. Wiadomem jest, że August żywo zajmował się powstaniem tego

poematu, a jego tendencya tłumaczy nam tę cesarską protekcyę. Nie jest on tworem poetyckiego natchnienia, lecz płodem refleksyi, która Wergiliusza pobudziła do działania w celu religijnej propagandy, a pośrednio wsławienia Augusta. Szło to z sobą ręka w rękę, w przedmiocie który Wergiliusz opiewa, w którym narodowe tradycye z dynastycznym Augusta łączyły się interesem. Rzymianie cieszyli się przedstawieniem poetyckiem, swego mniemanego pochodzenia od zbiegłych Trojan; syn Eneasza Julus, sławiony jako praojciec rodu Juliuszów, otaczał aureolą chwały skronie Augusta. W dzieje zaś Eneasza potrafił Wergiliusz wpleść cały zasób podań religijnych u Rzymian, a gruntowne studya nad italskiemi podaniami i miejscowościami, przygotowały poetę do wiernego przedstawienia swego przedmiotu. Tem się tłumaczą dzieje Eneidy w późniejszej starożytności, w której ją uważano za sumę teologii, za encyklopedyę starożytności rzymskich.

Nietylko jednak z tego względu licznych znajdował Wergiliusz wielbicieli. Oddawna i słusznie przyzwyczajano się w nim upatrywać szlachetną postać czystego apostoła religijności. Horacyusz w swych satyrach do „animae candidae“ go zalicza. (1, 5, 40). Uwielbienie to, wzrastając w późniejszych wiekach, uwieńczyło Mantuańskiego wieszcza aureolą świętości, która mu jednała hołdy bóstwu oddawane. Już Pliniusz w listach swoich (*III*, 7, 8), wspomina o poecie Siliusie Italiku jak tenże „czcił obrazy, a przed innymi obraz Wergiliusza, którego dzień urodzin bardziej niż swój sławił, obchodził go mianowicie w Neapolu, gdzie pomnik jego jakby świątynię jaką zwykł był odwiedzać.“ Cesarz Aleksander Severus podobną czcią otaczał Wergiliusza w swojem Lararium; już w owym czasie dzień jego urodzenia we fastach jako dzień uroczysty był zapisanym. Sława ta rosła z dnia na dzień, a myty coraz to nowe idealizowały coraz bardziej postać starego wieszcza. Bujna i bogata fantazya średnich wieków popróbowała i na tej postaci zasobu sił swoich.

Wergiliusza poezye zawierają wiele rysów pokrewnych wyobrażeniom chrześciańskim. Bohater Eneidy bynajmniej nie ma zimnego i żelaznego charakteru bohaterów pogańskich. Owszem, przedstawia go nam Wergiliusz jako człowieka przystępnego wszelkim szlachetnym uczuciom, pełnego współczucia dla nędzy i cierpień ludzkich. (Cf. charakterystykę jego

u Teuffla. *Röm. Lit.* str. 450 wyd. drug.); stosunek jego do bóstwa odznacza się czcią głęboką i rezygnacyą, a życie bogów na jego Olimpie, nie razi już tak bardzo ułomnościami czysto ludzkiemi bogów Homera. Podobne wyobrażenia jednały Wergiliuszowi wielką sympatyę i poważanie u chrześcian. Postać jego, przybierając w ich fantazyi coraz to bardziej mgliste kontury, zamieniła się wkrótce w geniusza życzliwego, który z pomocą wszędzie był gotów spieszyć. A że fantazya żadnych się nie boi anachronizmów ani przeskoków, przenoszono Wergiliusza raz w czasy rządów bajecznego cesarza Oktawiana, raz w epokę króla Serwiusza, to znowu w czasy Tytusa cesarza. W wyobraźni innych żył on w Rzymie za rządów Daryusza, lub też w Bretanii pod Artusem; w innych jeszcze podaniach występował za czasów Remusa cesarza! jako syn rycerza kampańskiego z Ardenów i córy rzymskiego sanatora. Jako taki odbył swoje studya w szkole miasta Toledo; Rzym i Neapol były w tych legendach głównem polem jego cudów.

A prócz myśli chrześciańskich które w Eneidzie napotykamy, czwarta Ekloga między Bukolikami nasunęła chrześcianom przekonanie, że Wergiliusz był rzeczywiście ich współwiercą. „Wergili ubóstwiony przez umiejętność pogańską,“ mówi Ozanam w swem dziele, *La Civilisation au V siecle*, „wyniesiony do godności pontyfa, flamina, spadkobiercy kapłańskich tradycyjnych nauk, stał się także reprezentantem poetów religii przyszłości.“ Poeci włoscy, mianowicie Dante, przyczynili się do tego, że wieszcz starożytny stał się wkrótce szczególnym przedmiotem czci ze strony chrześcian. Dziełom jego przypisywano wpływ zbawienny na pogan. Stacyusz według Danta był chrześcianinem, a Wergiliuszowi zawdzięczał swe nawrócenie; Per te poeta fui, per te cristiano (Purg. C. XXII), wyznaje przez usta Danta starożytny poeta. Podobnie trzech pogan z północnej Italii miało czytaniem Wergiliusza w czasie prześladowania Decyuszowego się nawrócić. A takie same podanie o cesarzu Konstantynie było w obiegu. Długo też pasterz który w Neapolu pokazywał podróżnym grób mantuańskiego wieszcza, dodawał, wskazując na sąsiednią kapliczkę: Oto miejsce w którem Wergiliusz mszy świętej słuchał. To uwielbienie średnich wieków dla niego, przedstawia nam się dobitniej w innym jeszcze rysie. Było wtedy zwyczajem w niektórych krajach, że

w dzień Bożego Narodzenia zbierano w nawie kościoła wszystkich proroków, którzy przyjście Chrystusa przepowiedzieli. Po Mojżeszu, Izajaszu, Dawidzie i innych, wołano Wergiliusza: Przychodź proroku pogan! oddaj świadectwo Chrystusowi! Wergiliusz ukazywał się, wymawiając następne słowa wyjęte prawie dosłownie z IV Eklogi: „Nowe pokolenie schodzi z niebios na ziemię.“

Najpiękniejsze jednak z tych podań dotyczy śgo Pawła. Święty ten apostoł, którego tradycya średnich wieków stosunkiem przyjaźni ze Seneką związała, przyszedłszy do Neapolu poszedł na grób Wergiliusza, a otworzywszy księgę Eklog i przeczytawszy czwartą, łzami się zalał. Pamiątka tego podania utrzymała się w następnej sekwencyi, śpiewanej długo w mantuańskiej katedrze:

Ad Maronis mausoleum
Ductus fudit super eum
Piae rorem lacrimae:

Quem te, inquit reddidissem!
Si te vivum invenissem
Poetarum maxime.[1]

Jaka myśl głęboka i jaka poezya w tych kilku wierszach! Wielki apostoł pogan nie mógłby był z innem uczuciem opuszczać grobowca starożytnego wieszcza.

Gramatyk raweński Wiglard dowodził nieomylności Wergiliusza, a podobno jak księgi święte roztwierano i jego dzieła, aby z nich czerpać prognostyki przyszłości. Że to już w starożytności się działo, opowiadają nie na jednem miejscu *scriptores historiae Augustae.*

Przypatrzmy się teraz bliżej czwartej Eklodze, która głównie do tej czci Wergiliusza się przyczyniła. Włączona do zbioru Bukolik, nie ma ona bynajmniej bukolicznego chara-

---

[1]) Do grobowca Maronowego przywiedziony, oblał go łez pobożnych rosą. Co ja byłbym z ciebie zrobił, gdybym cię, największy z poetów, był przy życiu zastał.

kteru. Załączam tu o ile było możebnem dosłowne jej tłumaczenie:

O muzy sycylijskie śpiewajmy dziś wznioślej!
Wdzięki skromnych tamarysk, winnych latorośli
Nie wszystkich równo cieszą; jeśli lasów krasy
Śpiewamy, niech konsula będą godne lasy.

Ostatni z wieków nadszedł, o którym nam wróżył
Kumejskiej śpiew Sybilli, dawne wieki zburzył
Aby nowe nastały. Już wraca dziewica
I rządy obejmuje Saturna prawica;
Nowem już pokoleniem niebo darzy ziemię.
Ty chłopcu, co się rodzi, z którym twarde plemię
Złotemu się ustąpi, sprzyjaj nieskażona
Lucyno; dzisiaj władza twego Apollona
U steru.
I to za dni twego konsulatu
Za ciebie, Pollio, gwiazda wieku zejdzie światu
I ty wielkie miesiące jako mąż przewodni
Poprowadzisz. A jeśli dotąd naszych zbrodni
Blizny się jeszcze jątrzą, wiek ten je zagoi
I położy kres ludzkich wiecznych niepokoi.
Życiem bogów żyć będzie on, z nimi zmięszany
Ujrzy zastęp heroów sam od nich widziany.
I światu przez ojczyste cnoty on w pokoju
Zapanuje
A ziemia chociażby jej w znoju
Nikt nie uprawiał, sama swe błonia przesłoni
Bluszczem, i wyda kwiaty słodkich pełne woni
A z różami akanty zwiąże uśmiechnięte.
Samopas wniosą kozy do obór rozdęte
Wymiona, lew na trzody już się nie zaczai.
Sama tobie kolebka kwiatem się umai.
Wąż zemrze i trucizny zginie złudne ziele,
A ziemia się Assyryi balsamem zaściele.
A skoro bohaterów i rodzica czyny,
Któremi nieśmiertelne zebrali wawrzyny,

Z ksiąg poznasz i się dowiesz o cnoty istocie,
Pola wtedy kłosami zabłyszczą jak w złocie,
Dziki cierń się ustroi w winogron jagody,
A twarde dęby będą płynne ronić miody.
Nie wszystkie jednak dawnej zbrodni znikną ślady,
Murem ona otoczy miasta i osady,
Okrętem każe gnębić otwarte znów morze,
A pług ziemi powierzchnię bruzdami rozorze.
Drugi Tiphys powstanie i nowa pobieży
Argo, unosząc z sobą wybranych rycerzy.
Świat zakłócą w pokoju błogim krwawe wojny
I pod Troję podąży znów Achilles zbrojny.
Lecz skoro mężem będziesz przeżywszy wiek wiosny,
Ustąpi żeglarz z morza, a okrętu sosny
Nie będą już wymieniać towarów, i brodzić
We wodzie, ziemia wszystko wszędzie będzie rodzić,
Szczep winny już nie ścierpi noża, radła w ziemię
Nie zapuszczą, i rolnik ciężkie jarzma brzemię
Zdejmie z swych wołów; wełna też barwy łudzące
Przestanie nadal kłamać, bo baran na łące
Sam będzie już to żółtym olśniewał szafranem
Już też się blaskiem mienił purpury rumianym,
A szkarłat nada barwy jaskrawej jagniątkom.
Takie wieki nam snujcie, rzekły swoim prządkom
Parki, jako niezłomna wola losów stałe.
O! sięgnij po godności — czas już — i po chwałę
Cny ty bogów potomku, Jowisza ozdobo!
Patrz naprzód jak ciężarem kulistym przed tobą
Ziemia się słania, nieba i morza bezdenne,
Wiek nowy wszystko wita radością promienne.
O niechby mi się życia tyle i natchnienia
Zostało, abym chwałę twą przez moje pienia
Rozniósł.
Tracki Orfeusz mej pieśni pierwszeństwa,
Ni Linus by nie wydarł, choćby dla zwycięztwa
Orfeusza Kalliope, Linusa urody
Pełen Apollo natchnął; Pan gdyby w zawody
Sąd Arkadyi nadając do walki się stawił,
Pan za sądem Arkadyi mą wyższość by sławił.

Niech już zacznie, o chłopcze, twój uśmiech dziecięcy
Poznawać matkę, która przez dziesięć miesięcy
Tyle cierpień przetrwała; jeżeli rodziców
Za młodu kto uśmiechem nie rozjaśnił liców,
Tego Bóg nie przypuści, by z nim się weselił
Ucztą, ani Bogini, by z nią łoże dzielił.

Konsulat Polliona przypada na rok 714 a. n. C., to jest 40ty przed Chrystusem. Jasnem więc, że słowa Wergiliusza nie odnoszą się do narodzenia Chrystusa Pana. Najczęściej ściągają nadzieje w niej wyrażone do Asiniusza Gallusa, syna tegoż Polliona. Zdanie to jednak nie zdaje nam się prawdziwem. Niskie chyba pochlebstwo, którem Wergiliusz w ogóle się nie kalał, mogło go było pobudzić do podobnych wysławiań syna wysokiego wprawdzie dygnitarza, w którego jednak rękach losy Rzymu bynajmniej nie spoczywały. Czyż przytem jest prawdopodobnem, aby Wergiliusz, opiewając narodzenie tego dziecięcia, w ten sposób do ojca przemawiał:

Teque adeo decus hoc aevi, te consule, inibit Pollio?

Czyż nic innego nie łączyło Polliona z własnem jego dzieckiem? Prawdopodobniejszą już wydaje nam się hipoteza Mommsena.[1]) M. Antonius w 40 roku właśnie był ze Wschodu do Italii przybył, aby ze Sextusem Pompejuszem przeciw Oktawianowi zawrzeć przymierze. Śmierć intrygantki Fulvii, żony Antoniusza, przecięła te knowania. Wkrótce pokój w Brundisium pogodził zwaśnionych Tryumvirów, a zgoda utwierdzoną została małżeństwem Antoniusza ze siostrą Oktaviana Oktavią. Italia zagrożona wojną odetchnęła; czwarta Ekloga ma według Mommsena wysławiać brundyzyjski pokój i nadzieje na nim budowane. Spodziewany z tego związku syn jest według niego przedmiotem nadziei Wergiliusza.

Treść Eklogi nie ma tedy, jak wspomniałem, bezpośredniego związku z chrześciaństwem. Forma jej i obrazy tchną również powiększej części duchem poezyi pogańskiej. Czyżby więc średnie wieki zupełnie mylić się miały, upatrując w IV Eklodzie przepowiednię Messyasza? Tak, myliły się zapewne,

---

[1]) Znam ją z manuskryptu pisanego według prelekcyi Mommsena o historyi rzymskich cesarzów.

o ile za historykiem Euzebiuszem idąc, Wergiliusza do proroków zwiastujących Chrystusa zaliczały. Bezwiednie jednak może nie zupełnie mijały się z prawdą.

Jeżeli z Eklogą Wergiliusza porównamy inne objawy piśmiennictwa ówczesnggo, przekonamy się, że podobne myśli nie w jednego Wergiliusza głowie w owym czasie się snuły. Powszechne było mniemanie, że świat stary się przeżył, że wielka jakaś kryzys się zbliża, która, burząc stary porządek rzeczy, świat zepsuty odmłodzi. Można było wtedy ze św. Pawłem (ad Rom. VIII. 22) powiedzieć: Quod omnis creatura ingemiscit et parturit usque adhuc. Horacyusz też śpiewał w przeświadczeniu zepsucia zgrzybiałego społeczeństwa (Carm. III. 6. 46):

Aetas parentum pejor avis tulit
Nos nequiores, mox daturos
Progeniem vitiosiorem.[1])

a na innem miejscu (Carm. I. 2) wzywał bogów na ratunek walącemu się światu:

Quem vocet Divum populus ruentis
Imperii rebus? . . .
Cui dabit partes scelus expiandi
Jupiter? [2])

Wergiliusz w Georgikach (I. 498) na Auguście wielkie budował nadzieje, a Horacyusz w swojem Carmen saeculare z obietnic ksiąg Sybillińskich czerpał otuchę. Podobnie i Wergiliusza natchnęła pieśń kumejska do napisania IV Eklogi.

---

[1]) Ojcowie nasi mniej warci niż przodki;
A my się w ojców naszych tak nie wdali
Że po nas tylko zostaną wyrodki.
(Tłum. Siemieńskiego).

[2]) Do jakich Bogów w tej państwa ruinie
Lud ma się uciec? . . .
Komu odrobić zbrodnię Bóg przeznaczy?
(Tłum. Siemieńskiego).

Cała ludzkość znajdowała się podówczas w owem usposobieniu umysłów, które Niemcy tak pięknie *Götterdämmerung* nazwali. Żydów i pogan równa pod tym względem ożywiała nadzieja. Nie ma zaś wątpliwości, że do Rzymu tego rodzaju wieści dochodziły ze Wschodu. Ludzie zwani Magami lub Chaldejczykami, od dawna w Rzymie słynęli ze swego daru proroczego. Począwszy od III wieku przed Chrystusem, Żydzi aleksandryjscy szczególnie, puszczali w obieg przepowiednie lepszej, a zbliżającej się przyszłości. A ci poeci żydowscy zwiastowali Mesyasza we formie używanej u pogan w ich proroctwach sybillińskich. Najnowszy historyk Sybilli, pan Delaunay (moins et Sibylles dans l'antiquité Judéo-grêque) jest zdania, że urywki tych przepowiedni włączonemi zostały do zbioru rzymskiego sybillińskich proroctw. One to może dały powód rozszerzeniu się tych opinij w Rzymie za czasów Augusta i Tiberyusza, że narody wschodnie obudzą się ze swego ucisku i że „mężowie z Judzkiej ziemi świat zdobędą.“

Nieulega wątpliwości, że te wieszczby są echem sławnego Danielowego proroctwa o siedmdziesięciu tygodniach; przemawia tam Archanioł Gabryel do Daniela: „A tak wiedz, a obacz: od wyjścia mowy, aby zaś było zbudowane Jeruzalem aż do Chrystusa wodza, tygodniów siedm, i tygodniów sześćdziesiąt i dwa będą, a znowu będzie zbudowana ulica i mury w ciasności czasów.“

„A po tygodniów sześćdziesiąt i dwa będzie zabit Chrystus, a nie będzie ludem jego, który się go zaprzy.“

„A zmocni przymierze z mnogimi tydzień jeden, a wpół tygodnia ustanie ofiara i ofiarowanie.“ (Dan. IX, 24, 26, 27).

Owe tygodnie proroctwa nie są zwyczajnemi tygodniami; jak z siedmiu dni się składa tydzień, tak siedm lat tworzyło u żydów tydzień-lat, który się kończył świętym rokiem sabatu. Siedmdziesiąt więc tygodni proroctwa obejmuje przeciąg lat 490. Chodziło tylko o to, odkąd te lat 490 zacząć rachować. Gdyż słowo, że Jeruzalem dodąd zburzone odbudowanem być miało, cztery razy w różnych odstępach czasu zostało wypowiedziane (cf. Sepp. Das Leben Christi, I. p. 132).

Najprzód za Cyrusa w r. 535, gdy 42,000 żydów i 7,000 niewolników pod wodzą Zerubabela, za pozwoleniem Cyrusa z niewoli do ziemi ojczystej powróciło.

Drugi raz w r. 520 p. Chr., gdy Daryusz Hystaspes edykt Cyrusa potwierdził i znowu część żydów z tym samym przewodnikiem Babilon opuściło. Ten drugi powrót jest tylko jakoby dalszym ciągiem pierwszego.

Trzeci raz za Artaxerxesa Longimana, gdy ten w r. 458 Esre z jego ludem z niewoli oswobodził, aby odbudowania miasta Jeruzalem dokończyli;

Po raz czwarty wreszcie w r. 445 gdy ten sam monarcha Nechemiasza do Judei wysłał.

Rozmaicie więc proroctwo Danielowe tłomaczyć było można. Jeżeli od pierwszej z tych dat rachować owe tygodnie lat zaczniemy, natenczas rok 490 przypadnie na rok 45 przed Chrystusem. Nie dziw więc, że właśnie w owym czasie różne obiegały wieści o bliskim przyjściu Zbawiciela na świat. Pochlebcy wielkiego Heroda Idumejczyka ściągali tę przepowiednię do swego pana, który w r. 39 p. Chrystusem na tron żydowski wstąpił. Wergiliusz poprzedni rok sławił jako rok inaugurujący nową epoką, jako rok urodzenia dziecka, które miało świat uszczęśliwić. Inni zaczynali rachunek od trzeciej daty, t. j. od r. 458. Że ci rachowali w myśl Danielowego proroctwa, tego starał się Sepp we wspomnianem dziele dowieść (Tom I. 148 — 162). Rzeczywiście na ostatni z tych siedmdziesięciu tygodni przypada Męka Zbawiciela.

Do innego znów terminu dochodzili żydzi, którzy czwartą datę t. j. rok 445 za początek owych lat 490 uważali. Rachunek ich kazał im się w r. 45 po Chrystusie spodziewać Mesyasza. Licząc na te ich usposobienie chciał się w r. 44 po Chrystusie niejakiś Theudas w tej roli żydom narzucać. A nadzieje mesyaniczne i potem w Palestynie żywo zajmowały umysły. Według Flaviusza (Josepha VI. 5. 4.) głównie żydów do wojny spowodowało: „Vaticinium ambiguum in sacris libris repertum, illis circiter temporibus quendam ex ipsorum finibus profectum orbis terrarum imperio potiturum.“ [1]) A prawie w tych samych słowach Tacyt (Hist. V. 13) i Swetoniusz Vesp. c. IV) o tej przepowiedni wspominają.

---

[1]) Dwuznaczna wieszczba w świętych księgach znaleziona, że ktoś około tego czasu wyjdzie z ich granic i nad całym ziemi okręgiem zapanuje.

Jeżeli więc Wergiliusz w swojej IV Eklodze wyraził nadzieje swego czasu, a natchnienia zaczerpnął z ksiąg sybillińskich, będących pod tym względem echem proroctwa Danielowego, możemy go nazwać poniekąd prorokiem, ale który tylko bezwiednie przepowiedział Chrystusa. Od rzymskiego obywatela spodziewał się on odnowienia świata, podobnie jak pochlebcy Heroda w tym monarsze, Flavius Josephus później we Wespazyanie upatrywał spodziewanego Zbawiciela. Myśl ta jednak, chociaż zastósowana samowolnie, zawierała w sobie prawdę, wyrażała usposobienie owego czasu, i tak bezwiednie torował starożytny poeta drogę chrześcijaństwu. Pojął to jego znaczenie Dante i tak pięknie wyraził w XXII pieśni czyśca:

Facesti come quei che va di notte
Che porta illume dietro, easè non giova,
Ma dopo sê fa le persone dotte.

M.

Przegląd Literacki.

Socyologia czyli nauka o społeczeństwie przez L. Steina przełożył Dr. Fr. dr. fil. Warszawa. Nakład. S. Czarnowskiego, M. Godlewskiego i Spółki. 1874 in 8vo str. 396.

Przed pięćdziesięcioma latmi mówiono i wierzono powszechnie, że ekonomia polityczna usunie wszelkie złe jakie od wielkiej rewolucyi francuskiej nawiedziło społeczność, dzisiaj prof. Stein w swojej Socyologii widzi jedyne lekarstwo na choroby społeczne. Bogdaj tak było. Profesor Stein w nowej swojej nauce opiera się na Heglu, ideje zachowawcze znajdą w jego książce niejednokrotne poparcie, z tem wszystkiem boimy się, aby się nie skończyła cała doniosłość tego dzieła na utworzeniu nowej katedry, bez widocznego wpływu na rzeczywistą społeczność. Boimy się zaś z tej przyczyny, że autor nie oparł swojej nauki na Kościele tylko na absolutnej idei. która bez osobowości Boga jest nonsensem, a postawiwszy nad nią Boga osobistego, to wtedy tylko przez objawienie do świadomości ludzkiej dojść może. Inaczej jaką pewność człowiek mieć będzie, czy własnej swej podmiotowej idei nie bierze za ideę przedmiotową, własnej mrzonki za prawdę wiekuistą? Bez oparcia się na Kościele ideje zachowawcze nie mają ni pewności ni trwałości.

Cóż to jest ta nowa nauka nazwana Socyologią? Jestto nauka o społeczeństwie w oderwaniu od państwa i stosunków ekonomicznych. Autor bada społeczeństwo w samem sobie jako połączenie ograniczonych jednostek, w celu urzeczywistnienia nieograniczonego przeznaczenia ludzkości. Jednostka w społeczeństwie się uzupełnia i osiąga swoje przeznaczenie. Bez społeczności nie ma postępu, a znowu jaka społeczność takie i państwo. W społeczeństwie już samem ustala się porządek społeczny, który jest albo rodowy albo stanowy albo przemysłowy,

stosownie do wielkości i jakości własności. W społeczeństwie już powstają niżsi i wyżsi; różnicę klas autor uważa zatak konieczną, iż bez niej społeczeństwo istniećby nie mogło, tylko na tej postawie możebny jest rozwój, a nawet spełnienie powołania każdej jednostki. Jednostka w społeczeństwie dochodzi do najwyższego rozwoju, a że każda jednostka jest dla siebie celem, pragnie więc wszystkie obok niej istniejące jednostki odwładnąć i użyć za środek własnego rozwoju, ponieważ każda jednostka ma ten sam cel i tę samą dążność, musiałaby powstać anarchia, wojna wszystkich ze wszystkiemi, dla powstrzymania wybujałości jednostki i zabezpieczenia wszystkim jak największego rozwoju zjawia się potrzeba i konieczność państwa.

Państwo jest połączeniem jednostek w osobową całość. Państwo nie odbiera mandatu od społeczności, chociaż jest jej odbiciem, Interesa w tej społeczności panujące, starają się interesowani zrobić interesem państwa. Biada państwu, które poślubia interes jednej z klas społecznych, państwo powinno stać po nad wszelkie interesa i strzedz interesów wszystkich. Państwo poślubiające interes jednego stanu kosztem interesów innych stanów popada w anarchię i upaść musi. Z tego powodu upadła Polska. Autor monarchię uważa jako jedyną formę rządu odpowiadającą wymaganiom społecznym. Tylko monarcha stoi po nad wszelkiemi interesami przenikającemi społeczność, naczelnik państwa wybieralny, zawsze się solidaryzować będzie z interesami klasy, z której wyszedł. Rząd ludowy doprowadza ostatecznie do anarchii: tak było w Grecyi, tak w Rzymie, tak w średniowiecznych republikach włoskich, ztąd nieukontentowania klas pokrzywdzonych, spiski i rozprzężenia i koniec republiki ludowej taki sam, jak koniec republiki szlacheckiej w Polsce. Ameryce autor taki sam los przepowiada jak tylko stany się wyrobią i ustalą, jak braknie ziemi do swobodnego rozpościerania się. Jako normalne uważa autor tylko państwa narodowe, którego społeczność ma tę samą obyczajową wiedzę i z tej samej czerpie skarbnicy duchowej co i rząd, w przeciwnym razie albo rząd swoją wiedzę będzie się starał narzucić społeczności, zmuszać ją do wyrzeczenia się języka, religii i tradycyi, albo społeczność będzie się starać rząd sobie wrogi zastąpić innym odpowiadającym jej poczuciu i wiedzy. W takim stanie rzeczy, Rewolucya i despotyzm kolejno taką społecznością miotają, normalny rozwój niemożebny, dopóki albo państwo nie przerobi społeczności, albo społeczność odpowiedniego swojej indywidualności rządu nie otrzyma.

Wszystko to jak widzimy są złote prawdy... tylko niestety głęboki autor nie spostrzega się na tem, że właśnie już samo postawienie państwa jako absolutnej idei, ze zupełnem pominięciem Kościoła, uniemożebnia naturalny rozwój społeczności, bo państwo choćby niewiem jak narodowe, jeśli absolutne, silniej-

sza jest od społeczeństwa, a przerabiając je na swoją modłę nie według bożej prawdy, ale według ciasnego zawsze, ludzkiego systemu, tem samem je minuje, a z nim i siebie, tak iż to wszystko prędzej czy później musi się skończyć anarchią.

Erster Zusammenstoss Polens mit Deutschland, seine Bedeutung und seine Folgen von Karl Merwart. Gratz. 1874. Druck von Leykam Josefsthal in 8vo str. 118.

Pierwsze zderzenie się Polski z Niemcami, i skutki tego zderzenia obrał sobie p. Merwart za przedmiot swoich historycznych studyów. Zkonsolidowanie Polski i przyjęcie wiary chrześcijańskiej uważa autor jako skutki tego zderzenia. Jednego i drugiego dokonał Mieczysław I. W roku 963 i 967. Wichman czyli Wigman awanturnik niemiecki, bliski krewny cesarza Otona I, pochodzący z rodziny saskich hrabiów, pierwszy z Niemców zaczepił Polaków w ich siedzibach, zaczepił ich na czele podburzonych przeciwko Polakom sąsiednich plemion słowiańskich i dwa razy ich pokonał. Korzystając z tego stanu rzeczy margrabia Gero udał się sam na Polaków i zmusił Mieczysława do uznania się hołdownikiem cesarza z krain za Wartą położonych, to jest z ziem najbliżej margrabstwa Gerona będących. Te trzy klęski zmusiły Mieczysława do skonsolidowania władzy nad Polakami Wiele jeszcze plemion polskich żyło albo w gminowładztwie albo pod królikami własnymi. nieuznającymi nad sobą władzy Mieczysława. Zmusić te niezależne plemiona do uznania swej władzy było teraz zadaniem Mieczysława i to mu się najzupełniej powiodło. Najbliższym powodem wypraw niemieckich na ziemię słowiańską był właściwy owemu wiekowi duch apostołowania wiary chrześciańskiej wśród pogan, aby ten powód odsunąć, zamierzył Mieczyslaw przyjąć wiarę chrześciańską, co także uskutecznił. Tak więc, powiada autor, pierwsze zderzenie się Polski z Niemcami było korzystniejsze dla pierwszych niż dla drugich. Polacy z obawy przed Niemcami nie stawiali wielkich trudności Mieczysławowi w usiłowaniach jego zespolenia wszystkich Polan pod swojem berłem, coby może bez tej obawy nie było nastąpiło nigdy, a przynajmniej później.

Przeciw tym wywodom autora nie wiele da się powiedzieć. Jedenby tylko można zarzut im zrobić, że nie są to rzeczy nowe. Słowiańszczyzna przedhistoryczna żyła w gminowładztwie, na to się wszyscy zgadzają nowsi historycy, że każda osada stanowiła dla siebie osobną republikę, i przeciw temu nikt z opozycyą nie występował. Było tak także wśród Polan; zgoda w tym punkcie była znowu powszechna. Pytanie tylko czy Polanie przed uderzeniem na nich Niemców skojarzyli się już byli w zawiązek państwowy czy nie? Autor tego pytania nie rozwiązuje, powiada

tylko, że nie wszyscy Polanie uznawali nad sobą władzę Mieczysława. Mogło przecież być już spore i silne uorganizowane państwo Mieczysława, a po za nim zostawać dużo luźnych osad polańskich, takim sposobem można było mówić o podbojach przodków Mieczysława, co autor uważa za nieprawdopodobne. Zgadzając się, że każda osada miała swój rząd odrębny, niepodobna przypuścić, aby panowanie Mieczysława wystarczyło wszystkie te osady pod swoje berło połączyć, na to było potrzeba, co najmniej całego wieku, chociażby nawet Polska za Mieczysława szczupłejsze jeszcze granice miała niż je Lewel zakreśla. Pierwszy związek części Polanów w państwo mógł powstać w celu ratowania odrębości plemiennej, przeciw pochłaniającemu wszystko państwu Mojmira i Światopluków i już wtedy przodkowie Mieczysława mogli stać na czele takiego państwa. Są zresztą świadectwa choć nie jasne, że Polanie od Dniepru przyszli nad Wartę i Wisłę, w czasie takiego pochodu wśród rozmaitych innych plemion władza naczelnika musiała być dość silna, nie zmniejszyła się ona w nowych siedliskach, raz, że się do niej już wzwyczajono, powtóre, że dawniejsi mieszkańcy nie musieli przybyszom być bardzo-radzi, i zapewnie nie jeden bój z nimi stoczyli, nim się na sąsiedztwo ich zgodzili, lub ich przewadze zupełnie ulegli. Tym sposobem stosunek między osadami Polan nigdyby bardzo luźny nie był. Autor swój wywód opiera na słowach Galla: wojował Mieczysław z plemionami polskiemi, a więc nie wszystkie plemiona jego berłu podlegały. Pytanie znowu kiedy z nimi wojował? W tradycyi ludu pozostała wiadomość o tej bratniej wojnie, zgoda, w sto kilkadziesiąt lat spisał ją Gallus, ależ czy ta wojna nie miała powodu w przyjęciu wiary przez Mieczysława? Mogli to być przecie jego dawni poddani, którzy dla obrony swej wiary bunt przeciw swemu naczelnikowi podnieśli, tradycya o przyczynie nic nie mówiła, Gallus jej więc nie podał, to też z zapisku, jego że Mieczysław wojował z polskiemi plemionami nie można dopatrzeć się dowodu, iż przed pierwszem zderzeniem Polaków z Niemcami, nie wszyscy jeszcze polanie pod jednem berłem byli zjednoczeni.

O ile więc autor w swojej pracy nie kładzie nacisku na punkt, że przed tem zderzeniem państwa polskiego nie było, nie powiedział nic nowego, o ile go zaś kładzie, twierdzenie jego nie ma podstawy.

Bez dokumentów współczesnych, cokolwiek się powie lub napisze będzie tylko przypuszczeniem, powinien to był mieć młody autor w ustawicznej pamięci, a nie byłby ani z taką pewnością siebie, ani z lekceważeniem o pracach swoich poprzedników występował.

W dokładzie IV polemizuje autor z Thietmarem i tymi wszystkimi, którzy za nim poszli w kwestyi zależności Polski do Niemiec. Autor nie zgadza się z Thietmarem, aby Mieczysław

faktycznie był lennikiem cesarstwa, przyjmuje jednak, że mógł nim być prawnie. Że był i faktycznie i prawnie to nie da się zaprzeczyć. Widukind wyraźnie powiada: zobowiązał się do płacenia daniny aż po Wartę; daniny i pomoc zbrojna dostarczana suzerenowi, to były wówczas oznaki lenności, widzimy przy tem Mieczysława biorącego udział w sejmach niemieckich, co mogło tylko w dwóch przypadkach nastąpić: albo w charakterze wazala, albo protektora, protektorem nie był, wazalem więc być musiał. Miłość własna narodowa i filologiczne nakręcania wyrazów nic nie pomogą.

Ale Widukind powiada przy tem wyraźnie, że płacił daninę z krajów aż po Wartę; państwo jednak Mieczysława z drugiej strony Warty rozciągało się daleko ku Wiśle, a może jeszcze i za Wisłą, cóżby z tego wynikało: że po za Wartą był Mieczysław tak dobrze samodzielnym monarchą, jak cesarz z Niemczech. Od cesarza trzymał jakiś kawał Słowiańszczyzny prawem lennem, po za tym kawałem był niepodległym panem. Że pomału, pomału chcieli cesarzowie wciągnąć księcia polskiego ze wszystkiemi jego ziemiami w stosunek lenniczy do państwa, to nie ulega wątpliwości, że to nigdy nie nastąpiło, na to dowodów nie trzeba.

Autor bardzo dobrodusznie wierzy znowu słowom Thietmara, że Mieczysław wobec margrabiego cesarskiego nie śmiał usiąść, jeżeli ten stał, ani w futrze w jego domu się pokazać. Thietmar miał zaledwie 16 lat przy śmierci Mieczysława, sam prawdopodobnie na oczy takiego faktu nie widział, czerpał coś z opowiadania starszych, a nienawiść jego ku Polakom rzecz amplifikowała, jeżeli mu je nienawiść wprost zmyślić nie kazała. Gdzie tylko Thietmarowi przychodzi wspomnieć o Polakach tam zieje z niego jad i potwarz, pochlebiać nam to poniekąd może, bo świadczy, iż się Polacy dali Niemcom we znaki, że w takiem usposobieniu jednak przestaje się być wiarogodnym świadkiem, któż wątpi.

Wiadomości statystyczne o stosunkach krajowych wydane przez krajowe bióro statystyczne pod redakcyą prof. dr. Pilata. Zeszyt I, Lwów, z drukarni E. Winiarza r. 1874 str. 39.

O ważności dat statystycznych pisaliśmy roku zeszłego z powodu wydania Rocznika tychże wiadomości, tutaj nie mamy potrzeby powtarzania się... Przypominamy tylko, że daty statystyczne najlepiej przedstawiają nasze zasoby moralne i materyalne, w nich jak w zwierciedle społeczność przejrzeć się może. W obec dat statystycznych deklamacye ustają, ukazuje się tylko naga rzeczywistość. Zeszyt pierwszy drugiego Rocznika zawiera daty co do stosunku podatków bezpośrednich opłacanych przez

cztery grupy interesów, służące za podstawę wyborów do reprezentacyi powiatowej i krajowej. Ogół tych podatków wynosi 5,418.353 złr. bez dodatku wojennego i podatku opłacanego na cele gminne, powiatowe, krajowe. Z tych posiadłości większe opłacają 1,501.879, najwyżej opodatkowani kupcy i przemysłowcy 39,875 złr. miasta i miasteczka 839,067, gminy wiejskie 3,037.818, stosunek wypływa taki:

gminy wiejskie .	56.06%
większe posiadłości	27.71%
miasteczka . . .	15.45.48%
handel i pr. . .	0 70 74%

W tym stosunku idzie liczba reprezentantów w radach powiatowych, z niewielkiemi zboczeniami: t. j., tam gdzie jedna grupa interesów przeważa wszystkie trzy grupy inne razem wzięte, zabezpieczył prawodawca interesa tychże grup, ograniczając reprezentantów grupy przeważający do liczby 12. Prawie też we wszystkich radach powiatowych grupa włościańska liczy 12 reprezentantów, wyjątek stanowią tylko dwa powiaty: stanisławowski liczy dziewięciu reprezentantów tej grupy, tarnowski liczy ich dziesięciu. W powiecie krakowskim gdzie żadnego miasteczka nie ma, reprezentacya składa się z 13 właścicieli większych i 13 włościan. Bardzoby było pouczającym w jakim stosunku podatek bezpośredni opłacanym jest przez te grupy w innych prowincyach austryackich. Grupa wiejska nie rzadko wybierała reprezentantów swoich z grona innych grup, poraz pierwszy się jednak zdarzyło, że w powiatach mieleckim i brzeskim w Zachodniej Galicyi, grupa właścicieli większych wybrała na reprezentantów swoich włościan. Fakt ten, świadczący o powolnem wprawdzie ale rzeczywistem znikaniu dawnego niedowierzania i niechęci między grupą większych własności a grupą włościańską, pozwalałby dobrze tuszyć o przyszłości, gdyby tylko na tem się nie kończyła, ale żeby każdy perjod wyborczy można zaznaczyć, powtarzaniem się i zwiększaniem takich objawów. Co do udziału w ruchu wyborczym tych czterech grup, największa stosunkowo obojętność panuje w grupie wyborców większej posiadłości, połowa wyborców a nierzadko trzecia, a nawet czwarta część ich staje zaledwie do urny. Przy ostatnich wyborach w Kamionce na 35 wyborców brało udział w wyborach 9, w Kołomyi na 43, 15, w Myślenicach na 16, 7, w Wieliczce na 87, 33, w Żydaczowie na 28, 8. Nie świadczy to o wielkiej pochopności służenia krajowi, i to w klasie, która swojem stanowiskiem powinna być przykładem dla innych. Zeszyt II ma wyjść niebawem.

Czarna Nić. Powieść Felicyana Gryfa. Kraków, nakładem wydawnictwa „Kraju“, r. 1874, in 8vo, stron 205.

„Czarna Nić“ nie jest gorszą od wielu złych powieści. Czyta się dzisiaj jeszcze gorsze, tak pod względem treści jak i formy. Zabić taką powieść milczeniem, jest obowiązkiem prawie. Wspominając o niej, złą się przysługę oddaje publiczności i autorowi: temu ostatniemu szczególnie, bo miłość własna, wykazane błędy i usterki nie pozwoli mu uznać za takie, woli posądzić sprawozdawcę o niechęć osobistą, pomówić go, że nieprzychylne dziełu ocenienie jest wynikiem odmiennych religijnych, politycznych i społecznych przekonań oceniającego od autora, że krytyce przewodniczyło uprzedzenie a nie artystyczne pojęcia i przedmiotowe stanowisko. Dlaczegoż „Czarną Nicią“ wyjątkowo się zajmujemy? Dlatego, że autor zdaje nam się być młodzieniaszkiem, że wyrobić się potrafi, że kiełkujący talent należy się zachęcić a nie zabijać.

Więc jakąś dobrą stronę powieść ta ma: może wyobraźni i gorąca dużo, chociażby te były źle użyte i zastosowane? nie, tego nie ma zupełnie, autor nie wymyślił żadnej sytuacyi nowej, żadnej sceny nie ogrzał ciepłem swej duszy, może bezładne i niebardzo konsekwentne, ale bystre, na genialność zakrawające spostrzeżenia robi nad stanem społecznym w jego rozmaitych objawach? i to nie, autor sam niczego bezpośrednio nie dostrzegł, powtarza on zdawkowe frazesa o ludziach i rzeczach, z tą ujemnością nawet, że z tych zdawkowych frazesów nie wyprowadził żadnych pozytywnych wniosków, któreby pozwoliły ocenić cel i tendencyę powieści. Więc nie ma nic tylko chaos? chaos w charakterystyce osób, bezwiedność celu, pomięszanie pojęć? ostatecznie na te pytania odpowiedzieć potrzeba: tak. Na cóż więc o tej powieści wspominać, kiedy ona żadnych zalet nie posiada? i poco zachęcać autora do wytrwania w zawodzie, jeżeli mu brakuje dwóch niezbędnych czynników dla pisarza: loiki i fantazyi, jeżeli cała powieść jest tylko:

Próbą pióra, kałamarza,
Atramentu i babraża.

Wspominamy o niej, bo dwie ma zalety: umiarkowanie w traktowaniu przedmiotu, które w gruncie może niem nie jest nawet, ale brakiem przekonania, i styl jasny, lekki, swobodny i szlachetny, zalety, na których wziętym nawet pisarzom zbywa lub o które się mało troszczą. Przypatrzmy się teraz powieści samej dla stwierdzenia tego, co się wyżej powiedziało.

Albin artysta kocha się w Celinie, panience młodej, pięknej, wykształconej, i jest od niej nawzajem kochany. Miłość uwieńczoną została ślubem małżeńskim, Bóg pobłogosławił temu związkowi dwojgiem ładnych dzieci: chłopczykiem i dziewczynką.

Małżeństwo w takich warunkach powinno być szczęśliwe. Gdzietam: Albin się opuszcza, dawniej grywał nietylko dla zarobku ale przez zamiłowanie sztuki, kompozycye jego własne były milutkie i znajdowały poklask w publiczności; teraz, jeżeli nawet coś skomponuje dnia jednego, drze nazajutrz, przekonawszy się, że w utworze jego nie ma ani myśli, ani harmonii; dom, dzieci, żonę zaniedbuje; nareszcie jednego dnia, korzystając z nieobecności żony, pakuje swoje rzeczy, sprzedaje fortepian na opędzenie kosztów wyjazdu, i ucieka w świat. Wypływa po niejakimś czasie w Niemczech jako kompozytor pierwszego rzędu, czczony, kochany, obsypany złotem i poklaskami; do żony jednak nie wraca, wypiera się nazwiska i narodowości; biedna Celina nie mogąc się nic dowiedzieć o mężu, gaśnie powoli i umiera na suchoty. Przed nią jeszcze umiera córeczka jej z zimna i głodu. A trzeba jeszcze wiedzieć, że Celina z miłości do Albina wyrzekła się bardzo świetnej partyi z hrabią Arturem Dzierzyńskim, milionowym panem. Pytamy, gdzie sens i morał tej opowieści? Żeby to jeszcze Celina była sekutnicą, naprzykrzającą się o coraz nowe przyjemności i wygody codziennego życia, lub nawet kobietą poczciwą, dobrą, ale umysłowo niżej męża stojącą, niepojmującą go, niemogącą wznieść się do wysokości, po których on bujał i królował — toby się jeszcze pojąć dało, chociażbyśmy musieli odmówić Albinowi wszelkiego moralnego zmysłu i poczucia. Idźmy dalej, ten sam hrabia Arthur Dzierzyński żeni się z hrabianką Maryą, przyjaciółką od serca Celiny. Marya nie kocha Dzierzyńskiego, zajęta ona jest Klemensem Rumowskim, blizkim krewnym swoim, człowiekiem żonatym. Marya ma złote serce, o oświadczeniach Artura Celinie nic nie wie, zezwala na zamęźcie z Arturem tylko dlatego, że matka jest zrujnowana, a wygody lubi; jestto więc poświęcenie egzaltowanej a dobrej kobiety; z psychologicznych względów przypuszczaćby należało, że szczęśliwą nie będzie, gdzietam, poezyi wprawdzie w tem małżeństwie niewiele, ale jest spokój i zadowolnienie!? Jakiżby sens moralny z tego drugiego małżeństwa wyciągnąć się dało: że dostatek, majątek jest podwaliną szczęścia, gdzie tego nie ma, sentymenta prędzej zawadzają niż są czynnikiem błogiego pożycia.

Gdyby historya tego małżeństwa nie wystarczała: że majątek, wolne od trosk życie, a więc próżniactwo jest jedynym warunkiem szczęśliwości małżeńskiej, poucza nas trzeci przykład. Klemens hr. Rumowski, cichy adorator zacnej i poczciwej Maryi, jest mężem Pauliny, kobiety zwykłej, ograniczonej i wymagającej; jej trywialnością zmęczony, szuka rozwodu i otrzymuje go. Musimy tutaj dodać, że hr. Klemens ożenił się z Pauliną dla kawałka chleba, sam nie miał nic, i nie prędzej o rozwodzie pomyślał, aż kiedy na niego spadł znaczny majątek po dalekim krewnym. Prawda, co to za wielka dusza, co za moc cha-

rakteru?! Jeszce kiedy Paulina żyła z mężem. któremu, w nawiasie powiedziawszy, dosyć jest życzliwą; on ją, córkę dorobkowicza, wprowadził w wyższe towarzystwa, tam poznała barona Tłustowskiego, trywialnego jak ona, przytem człowieka bez czci i wiary. Klemens przestrzega żonę, aby unikała towarzystwa z tym człowiekiem, bo jeszcze jej imie na tem szwankować może. Po otrzymanym rozwodzie Paulina oddaje swoją rękę baronowi. Tuby już z pewnością przypuszczać należało, że małżeństwo nie tylko będzie nieszczęśliwem, ale skandalicznem nawet; nieprawda, żyją jak najzgodniej, jedno z drugiego jest zupełnie zadowolone.

Zobaczmy jeszcze, jak korzysta Klemens z rozwodu. Prawie jednocześnie z rozłączeniem się jego z Pauliną, umiera hrabia Artur mąż Maryi. Zapewne dwie te osoby, Klemens i Marya, pobiorą się teraz i pożyciem swojem moralne zadowolnienie sprawią czytelnikowi. Tak prostem rozwiązaniem autor pogardza; Marya na oświadczenie Klemensa odpowiada, że drugi raz ręki swojej nikomu nie odda; rozżalony i rozstrojony tem Klemens szuka zwady przy kartach, zostaje wyzwany i raniony w pojedynku. Rana jest lekka; Marya uwiadomiona o wypadku, spieszy do Klemensa, ten oświadczenie swoje ponawia, i ni z tego ni z owego zaręcza jej, że jeżeliby mu kościół robił trudności w ożenieniu się z nią, przejdzie na protestantyzm; zapewne tym dodatkiem rozczulona Marya już mu ręki nie odmawia, dodaje nawet, że ponieważ jej przodkowie należeli kiedyś do wyznania reformanego, i ona także kościół katolicki porzuci. Na co ten epizod autorowi był potrzebny, to pozostanie już jego tajemnicą. Kościół z trudnościami nie występował, bo nawet o zamiarze ich pobrania się nie był uwiadomiony; zkąd przypuszczenie, że będzie je robił, ostatecznie nie robił ich nigdy naszej czułej parze, bo Klemensowi w kilka dni potem każe autor umierać... dlaczego? po co? autor nie powiada, dlatego chyba tylko, że rana była lekka. Z takiego szeregu loicznych wywodów, jak dwa ostatnie, składa się cała powieść. Autor w szczupłych ramach chciał zużytkować wszystkie motywa i efekta, o jakich tylko czytał lub słyszał, i stworzył chaos, który nazwał: „Czarna Nić“. Na zakończenie w „Czarnej Nici“ musi być jeszcze jedna czarna rzecz: Hrabina Rumowska odziedziczywszy po synu Klemensie znaczny majątek, zapisuje go... zgadnijcie komu? Ojcom Jezuitom!! Autor powiada, że człowiek wykształcony musi być demokratą: piorunować przeciw jezuitom, zmieniać wiarę jak się zmienia rękawiczki, czy to nie jest dzisiaj prawie jedyną oznaką, że się jest prawdziwym, rzetelnym, postępowym demokratą?... Prądowi obecnemu trzeba było złożyć hołd i uznanie, młody autor to zrobił — przecież on także chciał zamanifestować, że jest wykształconym! że jest dzieckiem swego czasu. My mu tylko przypomnimy, co powiedział wielki poeta niemiecki:

Aus den alten Büchernkrusten,
Logen sie mir was sie wussten,
Was sie wussten selbst nicht glaubten,
Sich und mir das Leben raubten.

Wierzymy mocno, że jak autor pozna z własnego doświadczenia świat i życie, zmieni nie jedno co dotąd uważa za extrakt rozumu ludzkiego, wtedy dopiero radzimy mu wziąść się do pióra i wówczas znajdzie zapewnie i więcej loiki w swojej głowie, i więce ciepła w swej duszy w przeprowadzeniu tego, co sobie przeprowadzić zamierzy. Dotąd spostrzegliśmy tylko jedno: o czem autor samodzielnie nie myślał, tego i logicznie przeprowadzić nie umie, i to jest pomijając tendencyę największym niedostatkiem jego pracy.

L. Powidaj.

— Ciekawą zaprawdę jest rzeczą, jak najważniejsze często wydawnictwa niepostrzeżone dostają się na półki nielicznych bibliotek. Wydarzyło się to między innemi X i XI tomowi *Wydawnictwa dzieł Długosza*, które noszą na sobie datę 1873 roku. Jest to dalszy ciąg wydawnictwa *A. Przezdzieckiego*, jednego z najpiękniejszych przedsięwzięć obfitego w prace życia uczonego i zacnego nieboszczyka.

Obecne dwa tomy mieszczą siedm ksiąg Historyi *Długosza* w tekscie oryginalnym łacińskim a więc czasy do 1299 r. krótkiej przemowy pióra ś. p. *Przezdzieckiego* dowiadujemy się, że liczba kodeksów rękopiśmiennych, które wydawca wciągnął w zakras nowego wydania z 40 dawniej znanych urosła do 64, że podstawą tekstu po rok 1446 jest autograf Długosza, do którego bezpośrednio zbliża się kodeks łysogórki. Krytyki tekstu podjął się zaszczytnie znany na tem polu Żegota Pauli.

Tekst podający odmianki wydań Dobromilskiego i Lipskiego, oraz niektóre odmianki rękopismów, poprzedza spis owych 64 kodeksów, Przeździeckiemu znanych. Indeksy zapewne przy ostatnim tomie Historyi znajdą umieszczenie.

— Z radością witamy pismo nowe w Krakowie pod tyt. *Przegląd Krytyczny* pod redakcyą Dra. Winc. Zakrzewskiego. Głównem zadaniem jego ma być krytyka naukowych książek polskich i obcych o ile się Polski tyczą. *Literarisches Centralblatt, Revue critique*, mają tu być wzorem. Redakcya, jak o tem z pewnego źródła wiemy, pozyskała znaczne siły fachowe, mające dawać krótkie a treściwe ocenienia nowości naukowych mogące kierować wyborem publicznaści, naukami się zaimującej. Wobec niedającego się zaprzeczyć faktu, że nasza krytyka bywa zwykle uprzedzoną, często koteryjną lub z politycznych przedewszystkiem teoryi wychodzącą, pismo mające służyć przedmiotowej ocenie naukowej, może i powinno oddać prawdziwe usługi sprawie nauki w kraju naszym.

Kronika teatralna.

Lipiec.

Rozbójnik salonowy, dramat w pięciu aktach przez Dominika Magnuszewskiego.

Nie rzadko zdarza się słyszeć narzekania, że Dyrekcya teatru nie przedstawia sztuk oryginalnych. Dla czego tyle dramatów i komedyj tłomaczonych? Dla czego te niedorzeczne farsy lub niemoralne dramata francuzkie? dla czego niemieckie *possy*? dla czego nam nie dają sztuk polskich, narodowych, naszych?

— „Bo ich jest mało," odpowiada na to Dyrekcya z cicha i nieśmiało, — „a te, które są, zbyt są znane i zbyt się opatrzyły, iżby je często można powtarzać."

— „Ale gdzież tam?" — odpowiada niecierpliwy głos opinii — „są, są śliczne, zajmujące, pełne talentu, tylko wy się na nich poznać nie umiecie, wy przez niechęć, uprzedzenie, niewiadomość, jeżeli nie z jakich jeszcze gorszych powodów, nie chcecie ich wydobyć z zapomnienia."

— Naprzykład? Gdzież one są i jakie?

— No! jest naprzykład Korzeniowski — odpowiada z gęstą miną przeciwnik.

— Ależ te jego sztuki, które jakkolwiek na scenie wydać się mogły, grane już były tyle razy, że je każdy umie na pamięć, a trudno od nas żądać, żebyśmy przedstawiali *Izabellę d'Ayamonte* albo *Umarłych i Żywych.*

Ciągnie się dyalog dalej; Dyrekcya broni się temi samemi argumenty, opinija powtarza swoje, domaga się sztuk polskich, cytuje imiona znakomitych naszych dramaturgów, wreszcie z uczu-

ciem tryumfu rzuca jak piorun na głowę skonfundowanego dyrektora pytanie: „A czemu nie gracie Magnuszewskiego?“

— „Magnuszewskiego??... a co to?

— „Magnuszewski to poeta wielkiej zdolności i oryginalności, energiczny, ponury, głęboki, przedwcześnie zgasły niestety! Kto nie wierzy, niech zajrzy do tej lub owej Historyi Literatury a przekona się.“

I targ w targ Dyrekcya ustępuje pod presyą opinii, rozdają się role, robią się próby, a my publiczność, dzięki temu wołaniu o sztuki polskie, mieliśmy uroczystość teatralną jedną z komiczniejszych jakie nam danem było widzieć, przedstawienie *Rozbójnika salonowego.*

Dobrze jest miłować co swoje, dobrze grywać w teatrze sztuki polskie, ale i w cnocie zachować trzeba pewne umiarkowanie. Grać zaś każdą lichotę pod pretekstem, że ona jest oryginalną i polską, galwanizować umarłe reputacye, wmawiać w siebie i w drugich, że to lub owo ma wartość dla tego jedynie, że nazwisko autora kończyło się na *ski*, to ani patryotyzm ani zamiłowanie sztuki, to tylko skrzywienie, sfałszowanie jednego i drugiego, grzech przeciw obojgu.

Jeżeli co mogło dać nam pod tym względem zbawienną naukę i otworzyć oczy, to właśnie przedstawienie owego *Rozbójnika*, które w jasnem i doprawdy bardzo komicznem świetle dało widzieć i poetyczne pretensye owego nieszczęsnego autora i naiwność owych domagających się o jego sztuki wielbicieli.

Niech nam wolno będzie przy tej sposobności, zdając sprawę z dzieła, przypomnieć czytelnikom naszym i autora, którego fizyognomia i talent może nie są im dokładnie znane.

Po roku 1831 podupadła bardzo romantyczność, nie tylko u nas, ale w całej Europie. Walka była skończona, zwycięztwo zupełne: Wielcy mistrze, którzy walkę o zasady estetyczne uważali za środek do wyzwolenia poezyi z pod panowania estetyki fałszywej i ciasnej, ale którzy, choć swoją poezyę nazywali romantyczną, pojmowali ją tylko jako prawdziwą poezyę, i nie sądzili bynajmniej, że dramat naprzykład będzie już dobrym przez to samo, że nie będzie miał jedności czasu i miejsca, albo że poemat będzie pięknym dla tego, że będą w nim duchy i widma, przestali myśleć o klasyczności i romantyczności, używali romantycznych licencyi kiedy im były potrzebne, ale na nich nie zasadzali nigdy, a teraz tem mniej, istoty, wartości, piękności swojej poezyi. I wtedy na te licencye rzucili się naśladowcy; nie mając dość wyobraźni i talentu, żeby coś z siebie wydobyć, zaczęli chwytać i przesadzać te różne romantyczne formy pozostałe po Byronie albo po Mickiewiczu, nadużywać świata fantastycznego (bez fantazyi) — Szekspira też wtedy u nas więcej czytać i znać zaczęto, więc jeden lub drugi zaczął naśladować jego niektóre zwyczaje, naprzykład przeplatać sceny tragiczne

komicznemi: w okropnościach, w sytuacyach gwałtownych, i nienaturalnych coraz bardziej upatrywać piękność i patetyczność. Zaczął się ten romantyzm przesadny, chaotyczny. a jak rozczochrane włosy i nieporządnie utrzymane brody młodych poetów były widomym znakiem ich gieniuszu, tak i poezya musiała być bezładną, rozczochraną, jeżeli miała być romantyczną i genialną.

Pierwszy inaugurował u nas to pojęcie poezyi Goszczyński; musiał mu hołdować i Garczyński, kiedy swojemu Wacławowi kazał nie wiedzieć dla czego kochać się w własnej siostrze. Mniej zdolni od nich przesadzali oczywiście jeszcze więcej. Do tego jeszcze przyszły im wzory i pomoce bardzo dogodne w romantyzmie francuzkim, najpłytszym pod względem psychologicznym ze wszystkich, polegającym już tylko na zewnętrznych effektach. Wiktor Hugo ze swojemi zarysami strasznych sytuacyj, których żadna treść, żadne ludzkie myśli i uczucia nie wypełniały i dla wyobraźni tych słabych poetów miał wielki powab, i dla ich talentów był do naśladowania już łatwy i wygodny. A cóż dopiero jak ten romantyzm francuzki zniżył się, spowszedniał, spopularyzował w formach prozaicznych, jak Dumas przetłomaczył dramata Wiktora Hugo na prozę, a Soulié zastósował je do współczesnych przedmiotów domowych i prywatnych stosunków. wtedy to była rozkosz! Wtedy jeżeli wiersz szedł oporem, można było chwycić się posłuszniejszej prozy i przecie napisać dramat, zostać poetą, a wzory czy to budowy, czy traktowania różnych strasznych sytuacyi były gotowe.

Otóż formy odziedziczone po romantyzmie z roku 1820, a przesadzone i nadużyte, cokolwiek reminiscencyi i naśladowania zewnętrznych cech Szekspira, a pod tą powierzchownością, pomysły w rodzaju Wiktora Hugo, Dumasa albo Souliego, jakieś straszne komplikacye i kolizye bez najmniejszego powodu, jakieś czarne zbrodnie i okropności bez najmniejszej logiki, o pięknośći już nie mówiąc, to także grasować już zaczęło między naszymi mniejszymi poetami od roku 1831 do 1840 lub nieco dłużej. Romantyczność obniżona, spowszedniała, nie zrywająca się już do wysokich lotów, a rozczochrana i bezładna, ta także ma swoich u nas wyznawców i kapłanów.

Pomiędzy tymi świeci i Dominik Magnuszewski. Wielki poeta, gieniusz, głęboki jak Szekspir, czuły jak Petrarka, typ poety w smutnych zapasach z życiem i światem. Jeżeli co może dać miarę fałszywego ówczesnego pojmowania poezyi i poetów, to recenzye dzieł i nekrologi Magnuszewskiego. Jeden z jego przyjaciół, powieściopisarz Dzierzkowski (który także bywał czytany przed laty trzydziestu), bierze go za typ poetycznego usposobienia i życia, i pisze o nim powieść *Życie poety*, w której przedstawia wybraną istotę w nieustannej walce z losem i ludźmi, prześladowaną, niezrozumianą, nieszczęśliwą! W powieści może jest nieco fikcyi, ale w życiorysie zapewne jej nie ma, a i tam

Magnuszewski przedstawiony jest jako typ takiego poety-ofiary. Jakże był nieszczęśliwy! jak przez całe życie nieszczęśliwy!.. Kiedy po roku 1831 przybył do Galicyi, spotkał jakąś kobietę, dojrzałą, starszą, która go pokochała jak syna i za takiego uważała, zajęła się jego losem — dzieliła z nim swój majątek... „co za nieszczęście! on poeta, on gieniusz, chciałby był marzyć, tworzyć, a przybrana matka wchodziła do jego pokoju z zapytaniem o jego zdrowie, albo z jakim interesem... a on był cnotliwy, wdzięczny, wybrany! i odpowiadał jej, ale co cierpiał, co za męczarnie! co za tortury! a później było gorzej! Ta sama przybrana matka ożeniła poetę! Żenić poetę — co za zgroza! on potrzebuje swobody, powietrza, by mógł marzyć, latać, biegać.... I gdyby jeszcze był dostał żonę złą, byłoby pół biedy! W walce ze złą żoną byłby może odzyskał energią duszy, skruszył swoje pęta, odleciał i śpiewał! Ale nieszczęśliwy dostał żonę młodą, ładną, bardzo w nim rozkochaną, bardzo dobrą, bogatą... musiał się strawić, skrzydła musiały opaść, kiedy nieszczęśliwemu kazano pamiętać o tem, żeby majątku tej żony nie stracił. Stracił go swoją drogą, a wtedy przybrana matka wyrzucała mu, choć łagodnie, że o przyszłość żony i dziecka dość nie dbał!"

Czy może być coś bardziej chorobliwego i potwornego jak to pojęcie poety, jako istoty innej jak wszyscy ludzie, podlegającej innym prawom i obowiązkom, jako coś oderwanego od świata i życia i nie mającego z tem nic wspólnego? Los prześladuje poetę kiedy mu daje dom i przybraną matkę, prześladuje go kiedy mu daje żonę dobrą, ładną i majętną; ludzie go prześladują kiedy żądają od niego, żeby nie tracił majątku. Cóż to? czy poeta nie jest człowiekiem? Jakże się dziwić, że ich poezya była chorobliwa, fałszywa i niedorzeczna, jeżeli drudzy ich i oni sami siebie pojmowali w sposób tak chorobliwy, fałszywy i niedorzeczny.

Dominik Magnuszewski ma jednę właściwą sobie cechę: stara się o głębokość filozoficzną lub historyczną poglądów moralnych, lub odkryć psychologicznych. Swoje figury wprowadza a swoje słowa wymawia w sposób uroczysty z powagą i zamyśleniem człowieka, który ma wielkie idee w głowie. Jak sobie co zamierzy, to zawsze coś wielkiego, naprzykład; w trzech różnych typach i obrazach przedstawić trzy epoki cywilizacyi w Polsce, trzy różne stany moralne i umysłowe jeżeli nie całego narodu, to jego połowy przynajmniej, kobiet. Albo znowu w jednym ze swoich dramatów odmalować stan spółeczny obyczajowy i towarzyski w Polsce politycznego choć z lekka dotykając — albo w allegoryi, pod figurami różnych roślin i zwierząt pokazać różne rodzaje natur ludzkich — plany zakreślają się szeroko, myśl nadaje sobie wszystkie pozory głębokości, widocznie

on chciał i mniemał robić coś wielkiego, potężnego; zobaczmy co zrobił poeta Magnuszewski.

Niewiasta Polska w trzech wiekach, to jest całość złożona z dwóch powieści i jednego dramatu: każda z tych części jest dla siebie osobną całością. Pierwszym więc typem polskiej niewiasty jest mężna Lukrecya, Małgorzata z Żębocina (cnota, wierność, odwaga, prostota)) powieść napisana dziwacznie archaicznym stylem. Najświeższy znowu typ Polski, to pani Grabowska, zalotność, lekkość, zepsucie — (dla czego właśnie panią Grabowską wybrał sobie za reprezentantkę tego wszystkiego, kiedy w ówczesnej Warszawie było tyle kobiet daleko bardziej zepsutych?) powieść opowiada śmierć prymasa Poniatowskiego, który się otruł niby z porady brata. Pani Grabowska, pomimo swego dwuznacznego stanowiska na dworze, ma uczucie polskie. Pomiędzy jedną a drugą zaś jako niewiasta polska już nie tak cnotliwa jak heroina Żębocińska, jeszcze nie tak zepsuta jak te, które bywały kochankami królów, stoi biedna Barbara Radziwiłłówna — *Barbara jeszcze Gasztołdowa żona* Dramat prawdziwie straszny jako mnóstwo nagromadzonych nieprawdopodobieństw, jako effekta ciągnione za włosy, jako stek intryg bez powodu i bez rozwiązania, wreszcie jako fałszywe pojęcie wieku i jego właściwych cech.

Zaczyna się on balem na dworze. Chytra królowa Bona (Bona z melodramatu, rodzona siostra Katarzyny Medycejskiej z dramatów Dumasa tylko w karykaturze jeżeli być może) wysila się na sposoby, jakby syna pod swoim wpływem na zawsze utrzymać. Dwie piękne Włoszki, kochanki młodego króla (bo podług dramatu zdaje się, że dwór matki był jego haremem), pomagają jej w tem jak mogą: rywalizują między sobą, trzymają Augusta w ciągłem upojeniu i w ciągłej gorączce zmysłów. Ale krew królewska i Jagiellońska, ale uczucie obowiązku i honoru odzywa się czasem w młodym królu, chciałby zerwać te rozkoszne pęta: Stańczyk, prawie tak mądry i tak przywiązany jak błazen króla Leara, chłoszcze go co chwila biczem swoich sarkazmów: dość że Bona zaczyna się niepokoić, czy syn nie wymknie się z jej opieki.

Ale od czegóż rozum, od czego włoska przebiegłość. Królowa sobie mówi, że utrzyma go przy sobie zmianą. Po łatwych i lubieżnych Włoszkach jaka Polka surowa, prosta, zakonna, ta odmianą podniesie żądzę królewicza, tak że on o niczem prócz rozkoszy myśleć nie będzie. Jakoż, układa się plan głęboko obmyślany a szatański. Monti pójdzie do chorego wojewody Trockiego zapytać się o jego zdrowie w imieniu królowej i ofiarować swoje lakarskie usługi. Za taką grzeczność żona będzie musiała przyjść na zamek podziękować; wtedy ujrzy ją August, zapragnie... i rzecz skończona. Wszystko się stało jak Bona wyrachowała. Barbara przyszła z podziękowaniem, August ją zo-

baczył. Tylko w jednem pomyliła się królowa: nie zapragnął, ale pokochał. Jak zobaczył Barbarę, tak godną, skromną, tak przywiązaną do starego męża, świętą i tak piękną, August oddał jej całą swoją duszę. I odtąd już sam odwiedza dom wojewody i dowiaduje się o jego zdrowie, przy łóżku chorego rozmawia po cichu z Barbarą, ona mu opowiada o swojem życiu sierocem, o samotności serca przy mężu, który kocha tylko Rzpltą i litewskie knieje. Aż raz, u drzwi od pokoju chorego, August wyznaje jej swoją miłość. Barbara słucha, wyznaje swoją, wyrzuca sobie wprawdzie, że tak mówi i tego słucha wobec umierającego męża — w tem wchodzi ten mąż i przeklina oboje. Na ten krzyk z drugich drzwi wychodzi Bona z całym swoim dworem: Włoszki, doktor, Firley i wszyscy, a królowa, która już zna miłość syna do Barbary, znieważa ją przy wszystkich. Ale zwycięztwo tym razem nie przy niej zostanie. Jeszcze nie skończyła mówić, kiedy jej dają znać, że na zamku skonał Zygmunt stary. A więc syn zrobi co zechce, ożeni się z Barbarą! W rozpaczy i wściekłości oświadcza wszystkim, co on zrobić zamyśla; senatorowie się oburzają, Barbara mdleje.... Monti trzeźwi ją szklanką wody, w którą wlał kilka jakichiś kropel szepcąc do Bony „za rok i sześć miesięcy.“

Tę Barbarę, która przy konającym mężu romansuje z Augustem, trudno mu darować. On chciał ją zrobić trochę lekkomyślną, próżną, zalotną, ale w gruncie szlachetną; tutaj zaś ona jest oburzająca, zaczepna, wyzywająca... ale cóż mówić o tych intrygach i effektach. O tem, że Bona wyrachowała, iż August w Barbarze zakochać się musi, że czekała za drzwiami na śmierć Gasztolda, żeby w tej samej chwili wpaść na Barbarę — że stary król znowu w tej samej chwili umiera, że Monti na poczekaniu truje tę nieszczęśliwą Barbarę. Gdyby Magnuszewski był miał wyobrażenie o budowie sztuki i cokolwiek znajomości scenicznych warunków i effektów, jego Barbara, tak pojęta, nie byłaby nigdy dobrą, ale jako effektowa niedzielna sztuka mogłaby mieć tyle wartości, co naprzykład Królowa Małgorzata Dumasa. Ale te intrygi są tak niezgrabnie powiązane, a te effekta tak widocznie, tak śmiesznie naciągane, że całość wygląda jak satyra na ten rodzaj dramatów.

A dopieroż epilog! Upłynął ów rok i sześć miesięcy. Bona pewna swego, a więc pokrywająca już nienawiść do Barbary, wiedząc dzień i godzinę, o której ta umrzeć musi, przez wyrafinowane okrucieństwo, zaprasza syna z żoną na jakieś do siebie teatrum na ten wieczór właśnie, kiedy Barbara ma skończyć. Sztuka się gra, jak w Hamlecie, podwójna. Na scenie jakaś szlachta sejmikowa krzyczy na małżeństwo królewskie i nie szczędzi przytyków. Jako spektator patrzy na to król i Barbara sama, której słabo, mdło, zawrót w głowie; chciałaby odejść, ale ją mąż reflektuje, że najlepsza zemsta za te przymówki jest znieść

je spokojnie. Zostaje więc królowa już konająca, patrzy dalej, wtem scena się zmienia: Aniołowie prowadzą do nieba duszę— postać niewieścią w koronie. August się wpatruje. Zrazu mniema poznawać w niej swoją pierwszą żonę — ale nie, to Barbara, o niej to mówią aniołowie, że w tej chwili skonała. Takiego wrażenia ona oczywiście wytrzymać nie może, dodane do trucizny, zabija ją na miejscu.

(Zmiana w dialogu za drugim znakiem Montiego; światłość niebieska, w górze jak przez mgłę lekką widać chóry aniołów — ciszę melodya arfy czasem przerywa. Wchodzi kobieta w bieli, w ręku koronę trzyma, klęka i koronę podnosi oburącz ku niebu).

CHÓR ANIOŁÓW.

Ten wyraz boleści, to godło wielkości
Z rąk twoich zżebrała śmierć dzika,
Co było nicością, to wróci nicości,
Niewiasto! Niewiasto! Ta ziemia próżności,
Pod której kolanem twa ziemskość utyka,
Zapomni imienia i twego znaczenia!
Tu do nas, tu do nas zapragnij schronienia!

Z. AUGUST.

(wpatrując się mocno w postać klęczącą na scenie, krzyknął)

Co to?

CHÓR ANIOŁÓW.

(dalej)

Królewskie wygody, królewskie powicia
Nie mogły Cię schronić, nie mogły dać życia
Na dłużej niewiasto, jak na chwilę zgonu!
Bo komu dwie cyfry spisano na czole
Rodzenia i życia, to temu w półkole
Splątano i trzecią, grobowy głos dzwonu!
A ziemia imienia zapomni, znaczenia!
Ty do nas, ty do nas zapragnij schronienia!

Z. AUGUST.

(ciągle tą sceną zajęty)

To czary! Jej głos i postać!

CHÓR ANIOŁÓW.

Dobrze ci było na ziemi zostać,
Głos berła, złota, strojów i blasku
Miał dla cię język miłego wrzasku

Jakim się dziecię pieluszne bawi;
Ale za skąpa klepsydra stała,
Ledwie ci stroje przymierzyć dała,
Już wyszła i pierś twą krwawi;
A ziemia imienia zapomni, znaczenia!
Ty do nas, ty do nas zapragnij schronienia!

SMOLIK.

(na stronie do błazna)

Jakiż to koniec wszczętej osnowy?
Tam figle djabła, tu śpiew anioły.

STAŃCZYK.

Czekaj!

Z. AUGUST.

(do siebie)

To Anna moja z książęcą koroną!

(do Bony)

Matko, jakże podobna z przeszłą moją żoną!

BONA.

(do syna — patrząc szyderczo na Barbarę, która coraz więcej drży)

Z którą?

Z. AUGUST.

Z tą, co umarła tak nagle.

BARBARA.

(przestraszona)

Auguście!

Coś i do mnie podobna!

Z. AUGUST.

Dziecko, jam w rozpuście
Był wtedy i nie pilen skarbu, co go skradli!
Ale dziś, Basiu, oniby pobladli
Za każdy włos twój; a ty nie drżyj luba!
Jam teraz król, a w tobie znalazła się zguba.

BARBARA.

Ja drżę z lubości. — Głos tych aniołów
Wywołał we mnie jakieś uśpienia,
Miłe, spokojne, chętne zachcenia;
Spać, spać Auguście, głowę ci złożę!
A przed tą chwilą, to nie daj Boże,

By kto tak cierpiał, jak ja cierpiała!
Ciało się rwało, taraz jakby dusza rwała,
I gdzieś, gdzieś leciała!

(kładnie mu głowę na ramię).

Z. AUGUST.

O — trzeba Basiu, abyś dosłuchała.

(Ta sama scena..., niewiasta ciągle klęczy, a z boku prowadzi archanioł djabła już w właściwej jego postaci)

DJABEŁ.

(wypraszając się archaniołowi)

Ino dokończę z panią Marcinową!
Chwila, pół chwilki... a potem z mą głową
Książę anielski zrobisz, co kazały nieba.

ARCHANIOŁ.

Potem skończysz zabawę, dziś cię niebu trzeba,
Czas nadszedł!

(wskazując)

Ta dusza niewieścia w tej chwili
Zżegnała ziemię; anieli zmówili
Prośbę do tronu, ty podaj skargi.
Klęczy przed sądem. — Wyszczerzaj wargi
I krzycz jej błędy... bo któż nie błądzi?
Skarż! W niebie wielki sędzia słucha i sądzi!

DJABEŁ.

(wpatrując)

Skarg na nią, na co? — ot je w ręku trzyma.
Ta korona me skargi; ona wzrok Kaima
Zatrzymała w koronę i nie wzniosła więcej
Oczu, jak na koronę! niby najgoręcej
Kochała: co? — Koronę! Dla niej dała usta,
Od grobu czyjegoś zbiegła jak rozpusta
I tuli żal w koronie.

BARBARA.

(krzyknęła i rzuciła się sobą)

Ach!

Z. AUGUST.

(zrywa się z wściekłością)

Stójcie oszczerce!

(do Bony)

Matko! Patrz dalej; masz ku temu serce,
Masz i naukę, umiesz słówka włożyć,
Któremi sztucznie można cnotę spożyć!

(woła na Barbarę)

Pójdź moja Basiu!

(Barbara niewzruszona, głową skłoniona na poręcz krzesła, nie daje znaku życia. Dwór skoczył ratować ją).

Z. AUGUST.

(nie postrzegając jeszcze jej omdlenia)

Wstań królowo moja!
Wstań Basiu luba! — Wstań Augusta żono!

(leci ku niej)

Cóż to?...

(widząc nieżywą krzyczy)

Hej Monti! Monti!

MONTIO.

(dając znak do zapuszczenia kortyny)

... Już skończono!

STAŃCZYK.

(do Smolika)

Widzisz, Włoch skończył.

(rzucają się dworacy na czele Radziwiłłów ku ratunkowi).

BONA.

(z całą dumą wstaje z królewskiego siedzenia do osłupiałego Augusta, wskazując na Barbarę)

Cóż to, że ktoś zasłabnie.

(wskazując na scenę dyalogu)

albo ktoś pomówi,
To się wolno dla matki zapomnieć synowi?
O nie! Syn chociaż królem, niech zna matki władzę!
Tyś dziecko u mnie; dziecko od siebie odsadzę,
Kiedy się w złości zżyma, szaleje i bredzi.

(do swoich dworaków)

W podróż! w podróż! Za długo goszczę śród niedźwiedzi!

(odchodzi ze swoją przyboczną)

(Król August z załamanemi rękoma stoi przy krześle Barbary)

(Dworacy ratujący Barbarę szemrzą cicho)

Skonała!

Ta śmierć Barbary. grana na scenie przed Barbarą żywą, ta piekielna intryga Bony, która nie przestając na truciznie jeszcze ją w ten sposób zabić chciała, to jest dopiero dramatyczne. Żeby biedny poeta, kiedy już brał marne effekta za piękność, był przynajmniej umiał wynaleźć trochę mniej śmieszne, trochę więcej do prawdy podobne! Wykonanie, naprzykład sceny miłosne Augusta z Barbarą albo scena śmierci Gasztolda: pretensye do naśladowania Szekspira (w Stańczyku, w Epilogu — słodkie złudzenia poety!) zabawne, a co jeszcze godne wzmianki, to że kiedy Zygmunt August bierze owo widmo królowej na scenie za swoją pierwszą żonę, woła „to moja Anna!" Zdziwiony czytelnik pyta co za Anna? jaka Anna? czy Zajączkowska? — potem dopiero pokazuje się, że tu mowa o królowej Elżbiecie. Magnuszewskiemu wolno było nie wiedzieć jak ona się nazywała, choć doprawdy potrzeba było na to pewnego stopnia ignorancyi i wielkiej niedbałości żeby o niej pisząc nie zajrzeć do pierwszej lepszej książki i nie przekonać się. Ale Zygmunt August, który nie wie jak jego żonie było na imię, wygląda już zupełnie komicznie.

Jeszcze lepszy od tego jest nasz świeżo odegrany Rozbójnik Salonowy. August, młody, człowiek wielkiej zdolności a ubogi, kocha tajemnie Anielę, pannę z najbogatszego świata, siostrzenicę jakiejś hrabiny, krewną jakiegoś ministra. Naturalnie nie pozwala sobie marzyć o małżeństwie, ale Aniela go kocha, sama mu to wyznaje i przedstawia krewnym i przyjaciołom jako swego narzeczonego. W wielkim świecie rozpacz, zgorszenie, zgroza — Aniela żoną jakiegoś urzędnika! nigdy! Zaczyna się czarna intryga. Hrabina a raczej jej przyjaciółka baronowa, knuje straszny spisek z ministrem przeciw Augustowi. Oto ten poręczył jakieś długi za pana Brunona, modnego panicza, wzgardzonego konkurenta Anieli, a że tamten tych długów nie zapłacił, więc można wystawić na licytacyę skromne ruchomości Augusta, a Aniela tego wstydu oczywiście nie zniesie i za niego nie pójdzie. Co za wyrachowanie! co to za szatańska intryga!

Dość, że się dzieje jak ułożyli Schodzi do Augusta komornik, woźni, tandeciarze, publiczność, wołają: kto da więcej, kupują. Bohaterska Aniela wytrzymuje tę hańbę; ale stara matka Augusta umiera na miejscu. Jej ciało stało się już także ruchomością i jakiś doktór kupuje je do Prosectorium! Scena niezrównanego effektu.

Potem August, ze wszystkiego odarty, odprowadza Anielę do jej domu — noc — zaczepiają ich jacyś pijani panicze, jakaś łachmaniarka powiada Anieli, że była kiedyś tem czem ona jak była młoda i ładna. Tego Aniela już wytrzymać nie może, przekonywuje się, że po ulicy można tylko jeździć powozem, idąc piechotą jest się narażoną na zbyt wiele nieprzyjemności, a że z Augustem musiałaby chodzić piechotą więc go żegna. On wtedy poprzysięga zemstę jej salonom, pałacom, arystokratom, spotyka jeszcze ciało matki niesione do prosectorium, doktór daje mu za nie talara, z tym talarem w ręku jeszcze raz powtarza swoją przysięgę i znika.

ANIELA.

O, bywaj mi zdrowy!
To nie na moje serce, to nie dla mej głowy.
Żegnaj mi; niech ci niebiosa pomocy udzielą,
Ale twoja Aniela . . .

(milczenie — Aniela stuka mocno we drzwi; słychać chrobotanie klucza)

AUGUST.

(okropnie)

Nie twoją Anielą!
Rozumiem. (Sam wybijając mocno we drzwi).
Otwierajcie wrota pałacowe!
To wraca w wasze ściany bóstwo salonowe. . . .
Nie zstąpaj z piedestału twego, o Anielo!
Niech tam światła rozpalą, puhary rozdzielą;
Mnie nie żegnaj ni ręką do zamknięcia powiek: —
Już się nie znamy więcej.

(Aniela znika w bramie)

Wróć do złotej klatki!
A ty ulico witaj, witaj! jam twój człowiek;
Witaj i bądź mi matką, bo już nie mam matki.
Pierwsza myśl, którą ty mi prześlesz w swem objęciu,
Niechaj będzie piastunką dalszego żywota;
I co mi testamentem zapiszesz dziecięciu,
To moja zemsta w cel swój młodzieńczy zamota.
Słucham. . . . Dodaj mi czucia, bym ciebie zrozumiał,
Bym żyć umiał i mścić umiał;
Bym za każdy grosz zawodu,
Com od nich otrzymał z młodu,
Każdy grosz lichwą obrzucił
I w twarz im rzucił.

Niech cierpią, jak ja cierpię — płaczą, jak ja płaczę;
Z ziarna, co mi posieli, zrobię im kołacze
I przyjdę do nich prosić o błogosławieństwo,
Gdy w mój uścisk weselny wezmę społeczeństwo!
O — rozbili mą młodość, rozbili me chęci,
Rozbili przyjaźń, miłość i wszystko, co święci
Dusza młoda, pobożna; niech mi sarkną krzykiem,
Kiedy już z rozbitego stanę — rozbójnikiem!
Za ich pracę
Ja zapłacę.

(Wraca schöne Katarynka i gra: „Spij moje złoto“)

Darmo, darmo głos ten woła,
Coś śpiewała i uczyła,
Darmo matko ślesz z tym śpiewem anioła,
Aby się cnota syna z drogi nawróciła.
Tak zerwali
Tak zmotali
Myśl nadziei, pracy kwiat,
Że ze mnie tylko jeden chyba kat —
Kat-by był dobry; i to, gdyby z cięciem kata
Mogła zlecieć (szyderczo) głowa tego świata.
Nie! — (chce iść).

(Wtem na tragach coś białem nakrytego niosą; doktor jadący przy tragach staje zmieszany)

AUGUST.

Ha! cóż to?... (odkrywa zasłonę) W imię Boga!
(klęka przy tragach)
To ty, matko! w rękach wroga,
W rękach świata; i nieznany
Człek ci pospieszył z ostatnią przysługą,
Bo już nie ma syn kochany
Nawet cię czem wyprawić w twoją podróż długą.
O, czemuś i mnie nie wzięła!
O, czemuś się mojego jestestwa podjęła!
Czemuś uczyła tak błogo
Śnić i marzyć przy twem łonie,
Czemuż, prócz ciebie, nikogo
Nie dałaś poznać, niebogo?
Tobym zaznał wcześnie złe ku mej obronie,
I inaksze serce wrobił
I na złe się przysposobił.
Alem ja widział i ciebie i Boga: —
Z waszych serc na świat szła tak prosta droga,

Żem się nie bał rozboju, serca nie brał w karby;
A teraz ludzie, ludzie wydarli mi skarby
I rzucili odartym w to życie tułacze....
Przy zmarłej matce, syn twój, zmarłej cnoty płacze,
Bom ją wypędził matko na rozstajne drogi;
Ona mi nie potrzebna w przyszły bój złowrogi.

(wstaje i mówi do doktora.)

Pewno wiedziesz do cmentarza —
Do cmentarza, dobry panie;
Lecz zwykle przy pogrzebie ubogich obdarza
Prawdziwa żałość, lub też żalu udawanie,
Jaką jałmużnę; daj mi ją. panie!
Jam żebrak... dzisiaj żebrzę na matki pogrzebie.

DOKTOR.

Prędzej żebyś się odczepił,
Masz pan talara.

AUGUST.

Hojnyś mi dla siebie.
Przez Boga, hojnyś! Więc ci przysięgam, mój bracie:
W ostatniej już, w skończonej mej zemsty zapłacie
Oddam ten grosz, zżebrany przy matki pogrzebie,
Oddam im za nią — za siebie!

DOKTOR.

Czyś warjat?

AUGUST.

Jam nie warjat. Czegoś oczy wlepił?
Ja jeszcze mogę śmiało spojrzeć tobie w oczy.
O! za jutro nie ręczę: — co się toczy — stoczy;
Co się raz wyrzekło,
Było ślubem; a czy go niebo — czy tam piekło
Wysłuchało, mniejsza z tem!
Ty idź drogą jak możesz, a masz z czem,

(pokazując na tragi).

Bo to świętość; lekko kryj
Lekką ziemią zwłoki jej!
Ja nie pójdę, bo jeszcze — jeszczebym się zwrócił
I mą zemstę może rzucił;
Nie, nie pójdę; tyś poczciwszy
Od tej chwili, niż ja sam!...
Jabym poszedł kalając, grobu nie uczciwszy,

Zaniósłbym za nią serce pełne czarnych plam! —
Ja nie pójdę; ty z ostatka
Porzuć grudkę na jej oczy,
Niech za mną wzrokiem nie toczy,
Bo ona poczciwego człeka była matką!!
A jam teraz świata syn
Przez zemstę, przez przyszły czyn!...

Przeszło lat kilka. Aniela się stała światową damą taką i gorszą niż inne. Śmieje się ze swojej miłości do Augusta: ma iść za mąż za ministra, tego samego, swego wuja. Oboje robią ogromny majątek w Paryżu przez pośrednictwo Augusta właśnie, który jakimś bliżej nieoznaczonym sposobem doszedł do takiego znaczenia i wpływu. Ale zemsta spada na nich straszliwa. Minister odbiera rozkaz od króla, żeby swoją tekę oddał w ręce Augusta, a równocześnie oświadcza mu August, że cały majątek jego i Anieli stracony w finansowej katastrofie Lawa.... A więc to się dzieje za Rejencyi — ta przysięga Augusta, te jego wykrzykniki do ulicy to jest z początków XVIII wieku — ten nieznajomy, który mu oddaje tekę ministeryalną, to prawdziwy król polski. Rozbójnik salonowy jest dramatem historycznym — coraz zabawniej!

Ale na tem nie koniec zemsty. Aniela, widząc Augusta możnym i bogatym, próbuje rozdmuchać dawne ognie w jego sercu; — on udaje czułego, daje jej klucz od swego stolika mówiąc, że tam znajdzie dowody jego dla niej uczuć. Ledwo otworzyła, wpada służba i łapie ją jako złodziejkę na gorącym uczynku z rozkazu Augusta. Co za szlachetna zemsta!

Po tem wszystkiem, zubożałej, zniesławionej, daje przytułek w swoim pałacu na poddaszu, ażeby ją do reszty upokorzyć, rozkazuje swojemu służącemu, żeby się oświadczył o jej rękę.

Oprócz tego wszystkiego jest August trochę i zdrajcą kraju, choć nie widać w jaki sposób go zdradza: końca brakuje, ale na szczęście uratował się jego plan, choć to przynajmniej na osłodę żalu, że wykonanego nie mamy.

(Podczas gdy wesoło bankietują u Augusta, tragarze wynosili z czwartego piątra trupa Anieli, w białej trumnie z pozbijanych desek z czarnym tylko krzyżem na wierzchu, przez schody, a idąc obok drzwi do salonu, gdzie August bankietował z swymi stronnikami, utykają i upuszczają trumnę, która przez drzwi tylko przymknięte wpada do salonu obok siedzącego przy stole Augusta. Wszyscy tam przytomni w osłupieniu i przerażeni zrywają się z swych miejsc).

AUGUST.

(wołając na służbę).

Preczmi trupa z domu! Słyszysz? Zawołać kogo — stróża, jeśli nie ma komu, tragarza wołać; niech wynoszą trupa!

(W tem przypominając sobie, dobywa talara z kieszeni i wbiegającym tragarzom go dając, mówi z mocą i głosem drżącym)

Oto talar wzięty za trupa mej matki;
Nim płaci syn — zemsty swej ostatki!...

(August, jako minister, pomścił się na wszystkich, którzy mu wydarli matkę, kochankę, zabiwszy temsamem najszlachetniejsze w nim uczucia. Gdy dokonał zemsty, odkryto zdradę jego, zdradę kraju! Gdy siepacze wpadają do jego mieszkania, porywa za pistolet i z pogardą życia strzela sobie w serce).

Dramat w naturze. Jest to allegorya bardzo allegoryczna, której znaczenia i zamiaru zrozumieć nie można. Rozmawiają tam chmury, stawy, gwiazdy, księżyc, słońce, noc, zorza, drzewa, kwiaty, trawy, motyle, ptaki, błędne ogniki i t. d. Każde z nich ma oznaczać jak się zdaje jakiś rodzaj psychologicznej natury człowieka albo jakiś stan, jakąś warstwę społeczną, a wszystko razem chce może powiedzieć, że w świecie społecznym i historycznym, jak w świecie fizycznym wszystko, pomimo pozornych sprzeczności, jest doskonałą harmonią.

I oto są rzeczy, które dają prawo do imienia poety! do sławy! o które się publiczność dopomina! które Dyrekcya teatru grać pozwala! Czegóż dowodzi ta czuła sympatya publiczności dla zmarłego mniemanego poety i ta powolność Dyrekcyi? czy złego smaku i upodobania w dziełach niedorzecznych i brzydkich? Nie — dowodzi ona: nieznajomości i łatwowierności. Dowodzi, że nikt z tych, co się o przedstawienie dramatów Magnuszewskiego domagali, dramatów tych nie czytał, że nie czytała ich Dyrekcya także, bo znając je, nie byłaby pozwoliła na taki wstyd zrobiony swojej scenie, a wszyscy coś kiedyś o Magnuszewskim słyszeli, wszyscy w szkołach jeszczcze w tej lub owej Historyi Literatury czytali, że taki poeta był, że miał *talent potężny i oryginalny, myśli głębokie, natchnienia ponure, energią nieokrzesaną ale wielką,* i podobnie. Czytali, uwierzyli łatwowiernie i zapamiętali, i do dnia, w którym *Rozbójnik* ukazał się na scenie, przekonani byli święcie, że Polska była istotnie bogatszą o jeden talent poetyczny, *„przedwcześnie zgasły ale niepospolity.“* Tym razem złudzenie może się rozwiało i fałszywa bezprawna reputacya pękła, dla niektórych przynajmniej. Jeżeli tak to przedstawienie *Rozbójnika* byłoby szczęśliwym wypadkiem, obróciłoby się na korzyść, jeżeli nie Dyrekcyi, to pu-

bliczności. Ale wiele to jeszcze zostaje reputacyi podobnych, niezasłużonych, opartych na nieznajomości i na powtarzaniu jak za panią matką zdań utartych nigdy nie dowiedzionych i nie sprawdzonych! Przykład Magnuszewskiego i jego *Rozbójnika* może nam wskazać dobitnie, do czego, do jakich złudzeń, do jakich fałszów, do jakich śmieszności prowadzi manija chwalenia, literacka lub koteryjna reklama, brak krytyki lub wreszcie źle zrozumiany patryotyzm, który każe wielbić lub udawać, że się wielbi wszystko co swoje. Z tych pierwiastków wyrosła reputacya Magnuszewskiego, zrobiona w swoim czasie przez panów: Majorkiewicza, Wójcickiego, Dzierżkowskiego i t. d. nigdy przez nikogo nie sprawdzona, a przez wszystkich pobożnie i tradycyjnie szanowana.

Na podstawach podobnych opiera się jeszcze wiele podobnych chwał naszej poezyi! Nie byłoby nic złego, owszem byłoby dla naszej literatury szczęściem i pożytkiem, gdyby każdą z nich traf jaki sprowadził do właściwego znaczenia i wartości, każdą zrzucił z ołtarza, na którym stoi nieprawnie wystawiona na admiracyę pobożnych, jak sławę Magnuszewskiego rozwiało od jednego razu światło dzienne, wydobycie *Rozbójnika salonowego*, na widok publiczny z zapomnienia, w którem się dotąd na swoje szczęście ukrywał.

St. Tarnowski.

Wrzesień.

Występy pani Rakiewiczowej. — Pani Ekerowa. — Artyści teatru krakowskiego. — Nowy sezon.

W pośród artystek dramatycznych polskich teatrów pani Rakiewiczowa zajmuje wybitne stanowisko. Natura obdarzyła ją darami koniecznemi dla aktorki tragicznej, a sumienna praca spotęgowała przyrodzone zdolności i wyrobiła je w szerokim zakresie ról przypadających jej w podziale. Powierzchowność ujmująca, rysy twarzy sławiańskie ale wyraziste, wspaniała postawa, silny, niezwykły, o głębokiej i niskiej tonacyi organ głosu, łącząc się z szlachetnością pomysłów scenicznych, z wielką rutyną i poprawnością dykcyi, czyni z niej indywidualność teatralną, która nietylko że nikogo nie naśladuje, ale nawet sama naśladowaną być nie może. Wprawdzie znać w jej grze szkołę i manierę warszawską, lecz tylko w dobrem znaczeniu tego wyrazu, trzyma się ona bowiem ogólnego nastroju, jaki tradycya nałożyła największej naszej scenie materyalnemi środkami dramatycznej sztuki, ale pomimo to nie przestaje być sobą. W kreacyach

jej widzimy rozmysł i zastanowienie się, duchowe rozprawienie się z charakterem, który ma przedstawiać zgłębienie go i zidentyfikowanie się z takowym w przedstawieniu; chociaż ten namysł i badanie to, wyradza ją pewien chłód, pewne skracanie skrzydeł gorącemu zapałowi, pewne miarkowanie się i umiarkowanie, konieczne, prawie zawsze, w nowożytnej komedyi, ale szkodzące w tragedyi, osobliwie takiej, gdzie *uniesienie* musi stworzyć cud życia i bytu utworu, gdzie od artysty zależy przyjęcie i powodzenie sztuki. Prawidła i przepisy w dziedzinie wszelkich sztuk pięknych, nakazującą oględność, ostrożność, poprawność, są na to tylko zawsze, aby wielki talent używając ich, kruszył je i rozłamywał estetycznie ale odważnie. Na scenie przekonanie to nasze popierał zawsze każdy mistrz wykonawca. Nie tracąc z oka, rutyny, akcyi i dykcyi tradycyonalnego kierunku szkoły, tak Devrient, jak Davison, jak Żółkowski, jak Królikowski, jak Rossi; tak Got, jak Rachel; tak Ristori jak Cazzola, jak pani Arnoul-Plessy, nadawali tej ogólnej formie, której zawdzięczali swoje sceniczne wykształcenie i wyrobienie się, swoją indywidualność, swoje odkrycia, swoje oryginalne ukoronowanie dzieła. I w tem leży głównie i dziś jeszcze ich znaczenie w sztuce, ich podniosłość stanowiska. Oryginalność zaś musi zawsze czerpać siły i moc swoją w świętym zapale, w cieple w gorączce krwi.

W ciągu paru tygodni na scenie krakowskiej, znalazła pani Rakiewiczowa szerokie pole popisu, w więcej lub mniej udatnych utworach. Wydobywszy z bladej i dziś nie na czasie będącej „Debory“ Mosenthala zasób judaicznych, gardłowych wykrzykników, które z powodu swej dzisiejszej niewłaściwości głucho przebrzmiały w sali teatralnej, umiała gładki i potoczysty wiersz Felińskiego w nieszczęśliwej „Barbarze“ wypowiedzieć z klasycznym spokojem i z kobiecem cichem uczuciem. Artystka zawahała się tylko chwilowo w ostatniej scenie, gdzie bez usprawiedliwień i przygotowań scenicznych, historycznie ale nie dramatycznie konieczna śmierć kochanki i żony Augusta wypada zbyt gwałtownie i niespodzianie, w sytuacyi niezrozumiałej prawie dla widzów przyzwyczajonych do konsekwentności Szekspirowskiej i zręczności francuzkich pisarzy. W „Drahomirze“ Weilena, prześlicznie i nader scenicznie przerobionej przez Wł. Anczyca, (przekład ten bowiem nie możemy uważać za proste tłumaczenie, tyle w utwór niemiecki wlał polskiej dumy autor Tyrteusza), wzniosła się pani Rakiewiczowa do potęgi i siły, do zapału i ognia, do skończoności szczegółów, do najwyższej artystyczności, przymiotów, jakie były tylko udziałem Halpertowej na scenie polskiej. Nie mamy nic do zganienia w tej kreacyi i zarazem nie rozporządzamy zbyt licznym wyrazów pochwalnych wyborem, aby dostatecznie i sprawiedliwie ocenić i wynieść grę aktorki, stojącej w tej roli na szczycie, którego pozazdrościć jej mogą najznakomitsze talenta nasze i obce. Poruszyliśmy tu myśl

wypowiedzianą już dawniej przez Roberta Schumanna utrzymującego, że: *Das Alphabet des Tadels hat milionen Buchstaben mehr als das des Lobes.* Rzeczywiście nigdy pochwała najsprawiedliwsza, najsłuszniejsza, uczuta w głębi serca i umysłu, nie popłynie tak szerokim strumieniem z pod sprawozdawczego pióra, jak nagana i krytyka. Smutne to ale właściwe ludzkiej naturze, dla tego też nie wyłamując się z pod ogólnego zwyczaju i uprzedzenia, szybko przechodzimy od „Drahomiry“ do „Maryi Tudor.“ W kulejącym tym utworze rozczochranej, namiętnej, chociaż potężnej duszy Victora Hugo, pani Rakiewiczowa zanadto *chciała* być królową za mało kobietą. Tu zapał, ciepło, ogień, były niezbędnemi, a *przyzwoita* maniera krępowała utalentowaną arty-tkę do tego stopnia, że ani na chwilę nie zawładnęła przedmiotem, że nie zapanowało nad słuchaczami, nie obudziło w nich tych niezdrowych ale głębokich wraż ń, jakie w sercu i umyśle podnosi niby uragan lub wicher nadmorski. niesforny i dziki geniusz autora „Ruy-Blasa.“ Co prawda przyznać należy, że wiele rzeczy składało się na to, aby „Marya Tudor“ nie mogła być porównywaną z „Drahomirą,“ za to zręczna i udatna komedya Scribe'a „Walka kobiet:“ jakkolwiek z powodu tego, że jest komedyą nie nadaje się do tragicznych warunków pani Rakiewiczowej, obmyślana sumiennie, poprawnie i starannie opracowane, przekroczyła zakres konwencyonalnej gry i bez zaprzeczenia pozostanie w jej repertoarze jako kreacya inteligentnej i utalentowanej artystki. „Marya Stuart“ pani Rakiewiczowej aczkolwiek nie jest, w ścisłem tego wyrazu znaczeniu, „Maryą“ Schillera, należy jednak do szczęśliwych kompozycyj, w której umie ona nader artystycznie połączyć siłę dykcyi gładkością takowej, gdzie wybuchy gwałtowności kobiecej i królewskiej idą w parze z godnością i powagą pięknej monarchini, gdzie miłość ziemska estetycznie przeobraża się w idealną miłość chrześciańską, w pokorę, poświęcenie i wiarę męczennicy. W „Szermierzu z Raweuny“ Halm'a, *niemiecka* (tak chce autor i tłomacz za nim) „Tusnelda“ pomimo swego bohaterstwa tyle traci na koligacyi narodowej z panem Bismarkiem, że nawet bardzo piękna gra pani Rakiewiczowej nie znalazła drogi do serc słuchaczy, którzy woleli przywoływać i oklaskiwać cenicznie niewolniczego „Tumelika,“ podobnego jak dwie krople wody do całej olbrzymiej, nanarodowo-liberalnej partyi pruskiej, zezwierzęconej i spodlonej jak gladiator Kaligalli, aniżeli rozpaczać razem z jego matką wzniosłą, tragiczną i wspaniałą. Punktem kulminacyjnym występów pani Rakiewiczowej było niewątpliwie przedstawienie „Drahomiry.“

Śmierć ta pani ponura, rządząca światem, wydarła teatrowi krakowskiemu jedną z najsympatyczniejszych i najużyteczniejszych artystek, robiąc wyłom w personalu. Na początku bieżącego miesięca umarła pani Ekerowa. Była to nieoceniona pracownica na niwie dramatycznej. W rolach charakte-

rystyczno-komicznych nie miała równej sobie. Talent jej był przedewszystkiem intuicyjny. i jako taki posiadał całą nerwową werwę żywotności i prawdopodobieństwa, chóciażby nawet w karykaturze. Należała do zastępu szukającego prawdy i umiała ją znaleść zawsze, popadając rzadko w przesadę; takowa nawet w grze jej miała tę względną zaletę, że czerpała ją ona w szerokiej i gorącej werwie komicznej. Dla teatru krakowskiego będzie ona służyć za tradycyę w przyszłym jego rozwoju, a ci, co ją widzieli na scenie, długo pamiętać będą doskonałe jej kreacye ludowe w polskiej krotochwili i w Szekspirowskim dramacie, oraz niektóre z wyższej sfery postacie w oryginalnych nowych komedyach.

Nie wątpimy, że pozostała gromadka dzielnych artystów nie zejdzie z pola i że dalej torować sobie będzie pracą i staraniem odrębną i ubitą drogę w dziejach polskiej sceny. Wśród niej kilka na wisk zdobyło już sobie obywatelstwo wyższości uznanej. Do takich należy p. Benda i p. Ładnowski Bolesław, którzy uprawiają wszelkie rodzaje, łącząc w swoich osobach role amantów z rolami charakterystycznemi. Czyni ich to nieocenionemi i stawia na stanowisku tak zwanego *premier sujet*, będącego marzenieniem każdego dyrektora. Aktor, dopóki młodość krzepi siły, wyrabia się różnolicowością potężnie, ale raz przeszedłszy pewne granice wiekiem i zdrowiem zakreślone, musi obniżać się w estetycznej swej wartości i (że właściwego użyjemy wyrażenia) *marnieć* dla sztuki. Skarbem prawdziwym w kierunku powyżej wspomnianym, jest pełen zalet artysta pan Szymański, łączący z poprawnością i pracą niezmierną sumienność w szczegółach oraz dystynkcyę postawy i ruchów. Niemałą zaletą w aktorze, grywać zmuszonym często w nowożytnych komedyach i dramatach, jest swobodny i elegancki sposób noszenia nowoczesnego odzienia na scenie a szczególniej fraka, otóż tę zaletę p. Szymański posiada w najsalonowszym sposobie. Ale na tem nie koniec, aktor ten jest panem roli, umiejąc ją wybornie, i starając się w najbledsze i najmniej znaczące postacie wlać prawdę, życie, charakter. Po tych trzech rutynowanych i wyrobionych od kilkunastu lat artystach, pierwsze i oryginalne stanowisko zajmuje p. Wardzyński. Dusza poetyczna; zapał nieco gorączkowy, praca i siła, o jaką trudno na scenie polskiej, są główne cechy tego talentu, który dopiero w Krakowie na seryo rozwijać się zaczął. P. Wardzyński walczyć jednak powinien jeszcze bardzo z pewnemi ujemnemi stronami swoich przyrodzonych środków, pracując nad wymawianiem, będącem dotąd trochę syczącem z powodu nerwowego ściskania zębów i nad ruchami, którym zapatrywanie się na posągi i obrazy mistrzów powinno nadać więcej *pozowej*, skulpturalnej okrągłości i piękności. W personalu kobiecym zaś, talent czystej wody, pani Hoffman, zręczne i dowcipne zdolności panny Urbanowicz w zakresie wesołej i żwawej

naiwności, poprawny talent pani Parsznickiej, wytrawna użyteczność przywoitej panny May, równie jak pani Wolskiej, stanowią kadry mogące się rozszerzyć dla armii nowozaciężnej, poczyuającej debiutować pod dobrą wróżbą dla losów teatru. W tym legionie wyróżnił się dość szczęśliwie p. Podwyszyński w rolach charakterystycznych niższego znaczenia, gdzie dramatyczność nie jest obowiązującą. i p. Waliszewski, zdający się być obiecującym. Pomiędzy młodszymi p. Hierowski i p. Wojdałowicz mogą się stać użytecznymi.

Innych nowozaciężnych, a jest ich dużo podobno, uie widzieliśmy dotąd na scenie.

X—i.

Październik.

Książę Niezłomny. Dramat Don Pedra Calderona de la Barca. Przekład Juliusza Słowackiego.

W ciągu upłynionego miesiąca pojawił się na scenie naszej ten najwyższy dramat chrześciański, najcenniejsza perła poezyi, jaką wydała rycerska, duchem gorącej wiary ożywiona Hiszpania. — Arcydzieło hiszpańskiego poety przyswojone zostało naszemu językowi w tak mistrzowski sposób, że polskie społeczeństwo miało prawo uważać je w połowie za swoją własność i przyklasnąć podwójnie utworowi, w którym genialność tłomacza szła w zawody z genialnością twórcy.

Dramat Calderonowski wyróżnia się od wszystkich innych tem, że bohater jego nie nosi na sobie żadnej winy tragicznej i że smutne jego losy nie są wynikiem żadnej słabości, żadnego przekroczenia, nie podlegając również prawom zewnętrznego fatalizmu, ale są aktem woli wzniosłego ducha, który obowiązkom względem Boga, swego kraju i ludzi poświęca życie swoje i podnosi się coraz to wyżej w nędzy i cierpieniu. Śmierć sama nie jest tu zdolną powstrzymać jego zwycięzkiego pochodu i ów umarły bohater jaśnieje, góruje nad biegiem wypadków i jeszcze po swym zgonie rozstrzyga losy innych osób dramatu.

To co boskie, co nieśmiertelne, odnosi tu zupełny tryumf nad powszedniem i znikomem — i rozwiązanie tragedyi staje na wyżynach, skąd chrześciańskie duchy nieskończoność ogarniać mogą. Tak szczytnem rozwiązaniem żadne inne arcydzieło dramatyczne pochlubić się nie może, jak również cała literatura dramatyczna nie jest zdolną wykazać drugiej, tak potężnej a zarazem tak skończenie dodatniej postaci, jaką jest książę niezłomny. Zwykle bowiem wszystkie dodatnie postacie wychodzą blade

i nic nieznaczące, lub też dostają w udziale przymieszkę ziemskiego błota, która im dopiero tragiczne znaczenie nadaje. Tutaj rzecz się ma przeciwnie i bohater dramatu wychodzi w całym przebiegu akcyi, jako najczystsza, najidealniejsza i najbardziej dodatnia postać, nie tracąc przy tem nic na wewnętrznej prawdzie życia, na zewnętrznej plastyce i sile, ani też na porywającej widzów tragice. — Dramat swój oparł Calderon na historycznej podstawie i najważniejsze jego momenta, jako też główne osoby ściśle na'eżą do historyi.

Po wstąpieniu bowiem na tron portugalski krótko a nieszczęśliwie panującego Edwarda I (1433—1438), następcy i syna Jana I, co na Maurach zdobył Ceutę, bracia Edwarda, Don Henryk i Don Fernand Infanci, zostali wysłani na ponowną przeciw Maurom wyprawę.

Ci kusząc się o zdobycie Tangeru, wpadli z rycerstwem swojem w zasadzkę, i otoczeni przeważającemi siłami maurytańskiemi, po rozpaczliwej walce, na drodze układów uzyskali wolny odwrót do Portugalii, z warunkiem, że oderwana Ceuta zostanie zwróconą. Na zastawni kazatrzymali Maurowie Infanta Don Fernanda, którego okupem mogły być jedynie klucze Ceuty. Don Fernand wytrwał w dożywotniej niewoli odradzając sam ziomkom swoim oddanie Ceuty i zasłużył sobie u wdzięcznej pamięci współczesnych ua zaszczytne miano El principe constante. Król Edward zmarł niezbyt długo po nieszczęśliwej wyprawie na grasującą w swem królestwie morową zarazę, i dopiero synowi jego Alfonsowi V udało się po zgonie niezłomnego księcia pomścić się śmierci jego i klęsk poniesionych zdobyciem Tangeru w r. 1471 — Życie niezłomnego księcia opisał w kronice swojej Joam Alvares i w niej to bohaterska i chrześciańska stałość Fernanda silniej uwydatniona, mogła poddać Calderonowi bliższe szczegóły do utworzenia tej tak wzniosłej i potężnej postaci *Niezłomnego Księcia.*

Dramat Calderona poczyna się przepyszną sceną w ogrodzie nad brzegiem morza, gdzie służebnice Feniksany, córki władcy Maurytanii, oczekują na wyjście z kąpieli swojej pani i polecają niewolnikom nucić pieśni dla jej rozrywki. Zjawia się wkrótce i Feniksana, ów fenix piękności; urocze zjawisko, które w toku całego dramatu trzymane jest umiejętnie w roskosznym półcieniu między snem a rzeczywistością.

Jestto prawdziwa dziewica wschodu, owiana czarem piękności, miękka, marząca i rozkochana, bez woli, bez istotnej siły, niezdolna zajrzeć cierpieniu w oczy, odwracająca się z wstrętem i bojaźnią od widoku ludzkiej niedoli, słowem biedna czarodziejka będąca niewolnicą zarazem

Przy pierwszem wystąpieniu kołysze już nią smutek, niepewność i trwoga i próżno służebnice starają się ją rozerwać wysławiając jej nieporównaną piękność zostającą w tak dziwnej

harmonii z pięknością otaczającego świata, z spływającemi w jedną całość falami świateł, kwiatów i morza. Wkrótce smutne przeczucia Feniksany zamieniają się w pewność, przybywa ojciec i doręcza jej przysłaną dla niej miniaturę Tarudanta, maurytańskiego księcia, z którym ją poślubić pragnie w nadziei, że przy jego pomocy odzyska utraconą Ceutę. Feniksana, dla której ten związek na przekor staje uczuciu, co już przed tem szlachetny Mulej, ,synowiec królewski, pozyskał, zdobywa się na lękliwą prośbę, lecz nie śmiejąc stawiać oporu, bierze z rąk ojca dar mający orzec o jej losie. — Rozmowa ojca z córką kończy się nadejściem samego Muleja, który, jako wódz floty, oznajmia królowi w malowniczym swym opisie, że dojrzał na morzu zbliżające się chrześciańskie okręta

Król wydawszy rozporządzenia jak przyjąć nieprzyjaciela, odchodzi, a Mulej, pozostawszy sam na sam z Feniksaną, pyta się o znaczenie miniatury, która już zdaleka zazdrość jego wzbudza i dowiedziawszy się o wszystkiem, stara się ją pobudzić do oporu, który jej się niemożliwym wydaje. Na tej scenie zamyka się pierwsza część pierwszego aktu.

W drugiej części na samym wstępie spotykamy się z rycerską postacią Niezłomnego Księcia don Fernanda, który wraz z bratem swoim Henrykiem, pryjacielem don Żuanem i resztą rycerstwa ląduje na wybrzeżu Afryki. Od pierwszych słów jego zaczyna się zaraz rysować coraz to dokładniej wojenny zapał, męstwo, niezachwiana wiara w Opatrzność, z jaką krzepi przerażonego niepomyślnemi wróżbami brata i prawdziwa chrześciańska miłość, z jaką na cały świat spogląda.

Po przygotowaniach wojennych rozpoczyna się walka z Maurami i zpoczątku szczęście sprzyja chrześciańskiemu orężowi. Konnica fezka zostaje rozbitą a Fernand bierze do niewoli dowódcę, mężnego Muleja. Uderzony smutkiem jeńca, pyta się go o powody tak głębokiej boleści, a gdy Mulej, rozbrojony jego życzliwemi pytaniami, spowiada mu się z swojej miłości i oskarża los okrutny, który go robi niewolnikiem w chwili, gdy Tarudant zamierza mu wydrzeć jego Feniksanę, Fernand uniesiony wspaniałomyślnością i współczuciem dla prawdziwej miłości i żywej rozpaczy walecznego Maura, powraca mu wolność bezzwłocznie. W czynie tym a jeszcze bardziej w ujmującym sposobie, z jakim go spełnia, tak się maluje dokładnie romantyczny charakter ówczesnego rycerstwa, tak się odsłania bohaterska a razem łagodna dusza Fernanda, który sam poświęcony jedynie służbie wyższej idei, ma przecież wyrozumiałość dla zwykłych ludzkich uczuć i umie przemawiać ich językiem, że uważamy za konieczność przytoczyć tu słowa Fernanda będące tak mistrzowskiem odźwierciedleniem ducha epoki.

Don Fernand:

Szlachetny Maurytańczyku
Dobrze mi smutki wykładasz,
Tak cierpisz? — jak w serca krzyku
Jeśli tak kochasz jak gadasz?
Słychać gdy boleść malujesz,
Jeśli tak z ognia usychasz?
Ach i tak tęsknisz, jak wzdychasz?
Ach i tak wzdychasz, jak czujesz?
Widzę, że wiernie miłujesz;
Więc honorowi nie skłamię,
Wodzu maurytańskich galer
Idź i powiedz twojej damie,
Że portugalski kawaler
Przysłał cię za niewolnika,
A ją ci daje za Pana.
A jeśli obligowana —
Bo to dziewic serca łechce —
Skarby swoje poodmyka
I płacić za ciebie mi zechce,
Ten okup weż Maurze młody
Bo będzie wielki, jak sądzę;
Zmień na miłości pieniądze
I miej z niego wieczyste dochody!

Po oddaleniu się Muleja walka na nowo się rozpoczyna. Maurom przybywają znaczne posiłki i książęta zostaią otoczeni. Sam król Maurów z przyboczną swoją strażą naciera na Fernanda i wzywa go do poddania się. Ten, jako nieznany rycerz, chce walczyć do końca i ginąć z chwałą. Lecz gdy pozostaje sam już bezsilny w tłumie nieprzyjaciół pod wzniesioną bronią króla i gdy don Żuan zasłania go swojem ciałem zdradzając jego znaczenie i imię, chrześciańskie uczucie każe mu uważać śmierć taką za akt pychy i rozpaczy równający się samobójstwu i oddaje swój oręż królowi. Ten ucieszony tak wielką zdobyczą nie pragnie już na teraz innego łupu i pozwala Henrykowi z resztą wojska powrócić do Portugalii z wyraźnem zastrzeżeniem, żeby Ceuta zwróconą była w zamian za wolność Fernanda. Henryk w nadziei, że jakimbądź sposobem zdoła uwolnić wkrótce brata, odpływa z rycerstwem swojem, a Fernand pozostaje w niewoli w towarzystwie Don Żuana, który sam dobrowolnie pragnie przy nim pozostać i podzielać wszystkie jego losy.

Akt drugi poczyna się znowu w ogrodzie króla pojawieniem się Feniksany na ganku, wołającej swoich służebnic.

Zara! Estrella! Roza! — Cóż?
Nikogo nie ma oprócz róż.

Na co Mulej wchodzący odpowiada:

Piękna! w wołaniach imię zmień —
Ja ci odpowiem lutni słodka
I oko twoje mnie napotka
Boś ty jest słońce — ja twój cień!

Tu Feniksana opowiada Mulejowi o swojem spotkaniu z straszną wiedźmą, która jej straszniejszą jeszcze rzuciła przepowiednię.

„Nieszczęśliwa niewiasto!“ tak wrzasła —
„Nieszczęśliwa, śmierci będziesz łupem,
Proś, by piękność ta twoja zagasła
Wprzód nim zmarłych zostanie okupem;
Tak, ta piękność twoja będzie ceną —
A kupiony towar będzie trupem!“

Ta wróżba napełniająca trwogą i zgrozą Feniksanę łączy się ściśle z całą osnową dramatu, przeciwstawiając swój tajemniczy złowrogi żywioł mahometańskiego fatalizmu, nieskrępowanemu niczem polotowi chrześcijańskiego ducha, panującego nad samym sobą i nad wypadkami.

Po odejściu Feniksany i Muleja, widzimy Fernanda w książęcym jeszcze stroju, przechadzającego się wśród pracujących niewolników i pocieszającego ów smętny tłum, który go ze czcią otacza. Rozlewa on dokoła swoją serdeczną dobroć, swoje gorące współczucie, łzy żalu i litości, słowa uspokojenia i nadziei i przedstawia się oczom naszym w nowej postaci, nie jak książe, rycerz lub bohater, lecz jako istota ludzka przedewszystkiem, gorąco czująca niedolę swoich bliźnich, kochająca i kochana przez nich nawzajem.

Tu akcya dochodzi w krótce do swego najwyższego wzniesienia. Król maurytański, który w nadziei odzyskania Ceuty obchodzi się dotąd z swym więźniem jak z książęciem krwi będącym u niego w gościnie, urządza dla jego rozrywki łowy na tygrysy. W tem przychodzi przyniesiona przez Don Żuana wieść, że pojawiło się najpiękniejsze i najmilsze dla księcia zwierzę, to jest portugalska galera, która właśnie co przybiła do przystani. Jakoż przybywa Don Henryk sprawujący poselstwo i zawiadomiwszy o zgonie króla Edwarda, wspólnego książąt brata, zmarłego pod brzemieniem boleści, chce doręczyć władcy Maurów pergamin sporządzony na mocy ostatniej woli zgasłego króla, a oddający zwierzchnictwo nad Ceutą w ręce niewiernych, jako wykup za Ferdynanda.

Ceuta ma być oddana Maurom, tak chce zmarły król chrześcijański, zgadza aię jego następca, zgadza się cały naród, byle tym sposobem odzyskać stracony klejnot portugalskiego rycerstwa Infanta Don Fernanda. Wszyscy się na to godzą, tylko je-

den. Fernand zgodzić się na to nie może. On nie może przystać, żeby na pamięci zmarłego brata pozostała wieczna plama sprzeniewierzenia się interesom kraju, żeby ojczyzna utracić miała krwawo zdobyty posterunek, żeby miasto, które wyznawać już zaczęło prawdziwego Boga, miało być znów wydane na pastwę błędów fałszywego proroka. Jako brat, rycerz portugalski, książe i chrześcijanin nie może zezwolić żeby go wykupywano takim kosztem. Czyż jest więcej niż człowiekiem, aby miano kłaść na niego tak olbrzymią cenę? czyż nie może wypłacać się maurytańskiemu królowi tak jak inni jeńcy niewolą, ciałem, krwią i życiem? Cieszył się on wprawdzie nadzieją wolności, ale teraz precz z wszelką słabością! Jako chrześcijański bohater wyrywa z rąk brata złowrogi układ, drze go na kawały, na najdrobniejsze szczęty, żeby nawet śladu po nim nie zostało i z rezygnacyą i pokorą oddaje się na łup wściekłości zawiedzionego w swoich nadziejach króla.

Jest to drugi Regulus, którego prócz miłości ojczyzny zagrzewa duch żywej, niezłomnej wiary i odtąd staje przed oczami widzów jako wielki niezłomny książe.

Król oburzony tą, wedle jego sądu, czarną niewdzięcznością niewolnika, którego łaską swą obdarzał, chce mu dać uczuć teraz ciężkie jarzmo niewoli, i odprawiwszy z niczem zasmuconego Henryka, każe Fernanda z całym jego orszakiem porównać z innymi więźniami, okuć w kajdany i do najniższych używać posług, ażeby boleścią, upokorzeniem, głodem i męczarnią złamać tę nieugiętą duszę.

Na tem kończy się pierwsza część drugiego aktu.

W drugiej części widzimy już Fernanda w łachmanach niewolniczych i w kajdanach pędzonego do robót wraz z innemi więźniami, którzy w jego znędzniałej osobie nie mogą rozpoznać dawnego infanta. Odtąd zaczyna się dla niego ogniowa próba codziennej męczarni, z której tylko tak wielkie jak on duchy wychodzą zwycięzko, jaśniejąc coraz to więcej w swej nędzy i poniżeniu. Ale ma on do zwalczenia jeszcze jednę pokusę. Mulej szlachetny Maur, który ma do spłacenia Fernandowi swój dług wdzięczności, oznajmia mu w rozmowie, że go postanowił jakim bądź kosztem ocalić. Daje mu nóż i wianek sznurów, na morzu czekać będzie łódź gotowa, niech tylko Fernand przygotuje innych więźniów, Mulej powodzenie ucieczki bierze na siebie. W czasie tej poufnej rozmowy nadchodzi król, przed którym dla uniknięcia podejrzeń Mulej skłania Fernanda do ukrycia się w poblizkiej altanie. Król jednakże zaniepokojony już współczuciem, jakie wszyscy okazują Fernandowi, mając nawet pewną wątpliwość co do Muleja, chcąc się zabezpieczyć chytrze spowiada się temuż z swoich obaw, i nareszcie oddaje mu pod straż osobę księcia, czyniąc go odpowiedzialnym swoim honorem.

Usłyszawszy to Mulej, po oddaleniu się króla oddaje się rozpaczy, słyszał to i Fernand i przychodzi pocieszać przyjaciela. Pożegnał on się już na zawsze z myślą wolności i teraz choćby mu sposobność ucieczki sama się nastręczyła, odepchnie ją z pogardą, bo na nim polega teraz honor przyjaciela.

Olśniony taką wspaniałomyślnością Mulej błaga księcia, aby na niego nie zważał i przyjął jego ofiarę, lecz Fernand, żeby koniec położyć tej przyjacielskiej sprzeczce odpowiada uroczyście:

Więc je tu słowo położę
Niewzruszone, głaz ogromny!
Wiedz! że mnie tu sądy Boże
Skazały, bym wybrał miarę
Litości i tu za wiarę
Skonał jak książę niezłomny!

Te wspaniałe słowa pieczętują koniec aktu drugiego.

W trzecim akcie widzimy Muleja rzucającego się do stóp króla z prośbą o litość dla powierzonego jego straży więźnia. Maluje on w wymownych wyrazach ten przerażający obraz książęcego szkieletu, gnijącego w lochach podziemnych, trawionego głodem i pragnieniem, od którego wszyscy z odrazą uciekają, z wyjątkiem dwóch wiernych sług, co go wynoszą na słońce i karmią żebranym chlebem, którego on już prawie przełknąć nie może.

Również Feniksana wiedziona grozą i tajemnym przestrachem przychodzi błagać ojca o łaskę dla Fernanda.

Ale król pozostaje niewzruszony, sądząc że taką srogością potrafi jeszcze zdobyć Ceutę.

Nadchodzą przebrani za posłów Tarudant przybywający zabrać zaręczoną mu Feniksanę i Alfons portugalski ofiarujący królowi Maurów wszelki inny wykup za Fernanda oprócz Ceuty. Alfons odchodzi z niczem, przysięgając wydobyć orężem Fernanda, a Feniksanę oddaje ojciec Tarudantowi, nakazując przytem Mulejowi odprowadzić ją dla bezpieczeństwa z zbrojnemi do dzierżaw przyszłego małżonka.

W drugiej odsłonie widzimy dogasającego już księcia niesionego na rękach niewolników na słoneczne miejsce pod murem.

Nędzny jak Hiob, jak Hiob zbolały, ale cierpliwszy od niego, błogosławi jeszcze dziennemu światłu i składa dziękczynienia Panu za Jego łaskę,

FERNAND.

Wielkie Twoje zlitowanie
Boże! wielkie łaski Twoje!
Gdy mi ciało w lochu skrzepło,
Ty mi dajesz światła zdroje,

Ptaszkom Twoim każesz śpiewać,
Słońcu Twojemu ogrzewać, —
Dobry jesteś i łaskawy!

Najwznioślejszy to obraz niebiańskiej jasności ludzkiego ducha, który w najwyższej niedoli zdolnym jest dopatrzeć się wszędzie widomych znaków Bożego miłosierdzia i patrzeć z błogosławieństwem na wszystko co go otacza.

Don Żuan ukrywający łzy swoje opuszcza na chwilę księcia, aby się wystarać dla niego o kawałek chleba, a natomiast nadchodzą Tarudant i Feniksana wraz z królem, który ich żegnając odprowadza. Następuje cudna, pełna chrześcijańskiej pokory odezwa Fernanda do królewskiego serca, w której wychodzą na jaw wszyskie wzniosłe uczucia tej nieugiętej duszy. Król dziwi się tylko tej niezłomności ginącego człowieka i nie wiedząc czy to duma, czy to pokora, przechodzi obojętnie dodając szyderczo, że kiedy sam się pocieszać potrafi, to nie potrzebuje niczyjej litości. Tarudant potrąca go z wzgardą, a nawet u Feniksany wstręt i przerażenie zabija głos serca i gdy ją Fernand zatrzymać pragnie, miotana trwogą i mdlejąca już prawie wyrywa mu się gwałtownie.

Powraca okrwawiony przez Maurów Don Żuan, niosąc takim kosztem zdobyty kawałek chleba, ale księciu już teraz chleb ziemski jest zbytecznym — on już znajduje się u celu. Don Żuan pada przy jego nogach i łez rosą skrapia książęce ciało, a Fernand ściskając tę dłoń szlachetną przyjaciela, która go żywiła — umiera, wydawszy rozporządzenia, żeby zwłoki jego owinięto w płaszcz mistrza zakonu i przeniesiono gdy przyjdzie wykup do ojczyzny.

Teraz następuje epilog. Pierwszą jego sceną, w której duch Fernanda przyjmuje lądujących Henryka i Alfonsa i prowadzi ich na Maurów, słusznie poświęciła dyrekcya wymaganiom scenicznym i dzisiejszemu poglądowi na piękno, tem więcej, że surowe zakończenie nic na tem nie traci, ale owszem zyskuje przedstawiając się jako niezbędne zwycięztwo ludzkiego ducha, niezależne od pośrednictwa nadprzyrodzonych potęg.

W ostatnich scenach rozwięzujących cały dramat, widzimy naprzód trumnę zamykającą ciało niezłomnego księcia, niesioną przez chrześcijan niewolników i Don Żuana postępującego za nią. Król Maurów tryumfuje, że zgniótł dumę chrześcijańskich książąt i że może okuć tę trumnę w łańcuchy i wystawić ją na igrzysko wichrów i burzy na podziw ludowi, jako świadectwo swej potęgi.

Ale wrzekomy tryumf pychy przedziela często od ostatecznego upadku jedno tylko okamgnienie. Alfons z Henrykiem zwyciężywszy Maurów w walnym boju i wziąwszy w niewolę Tarudanta i Feniksanę, podchodzą niespodzianie pod mury miasta, żądając w zamian za Feniksanę wydania księcia Fernanda i gro-

żąc, że jeżeli król się nie zgodzi, to zadadzą śmierć tej ostatniej. Upokorzony król, zrozpaczony ojciec, milczy nie śmiejąc wyznać, że książe już nie żyje. Feniksana w śmiertelnej trwodze myśląc, że ją tenże chce poświęcić dla swojej dumy, głośno wyrzeka, oskarżając go o nieczułość i okrucieństwo! Złamany boleścią ojciec powiada całą prawdę i łzy leje nad losem córki, której niechybną śmierć, sądząc według swych pojęć, przewiduje, nie ośmielając się nawet wzywać litości. Ale w chrześcijańskich sercach Alfonsa i Henryka przeważa nie uczucie zemsty, tylko uczucie poszanowania dla drogocennych prochów Niezłomnego Księcia. Ofiarują się oddać Feniksanę za te święte relikwie, różę — za dyamenty, śniegi — za popioły. Król z radością każe spuszczać z murów trumnę i schodzi sam na dół, aby się uniżyć do dziękczynienia. Tak więc przepowiednia została spełnioną i piękność Feniksany była ceną, a kupiony za nią towar trupem. Książęta ze czcią witają drogie szczątki bohatera i oddają królowi Tarudunta i Feniksanę z prośbą, aby przez pamięć na Fernanda, któremu za życia Mulej tak był miły, jemu przeznaczył w nagrodę cnoty ten złoty kwiat piękności.

Król przyrzeka święcie spełnić to życzenie Niezłomnego Księcia, i oto umarły bohater rozstrzyga jeszcze losy dwojga kochanków. Książęta zabierają drogie prochy, aby je odwieść do ojczyzny i cały ten wspaniały dramat kończy się słowami Alfonsa do murzynów:

Teraz wy coście w niewoli
Nosili z księciem łańcuchy
Z niańczynemi teraz ruchy
Nieście to ciało powoli,
Niech spocznie — a my za trumną,
Co jest jako arka święta,
Rycerską idźmy kolumną
Żałobni, aż na okręta,
Gdzie w srebrną złożymy skrzynię
Zewłok ten niezłomnej duszy —
I z prochem flota wyruszy —
I do ojczyzny popłynie.

Oto jest nagi szkielet dramatu, który wypełniony ciałem idealnych postaci i przybrany w wzorzyste tkaniny połyskującego wszystkiemi barwami języka, jaśnieje nieśmiertelną młodością i krasą. Prostota pomysłów łączy się tam z ogniem fantazyi, żywość dykcyi z podniosłością nastroju, a wielka tragiczność sytuacyi z szlachetnie przeprowadzoną charakterystyką działających osób. Nic tam brudnego, nic pospolitego, wszystkie nawet tak ujemne jak król Maurów lub Tarudant postacie, zawsze mają coś heroicznego w sobie i jednają względną sympatyę widza nie bu-

dząc wstrętu ni odrazy. A z tylu stanowczo dodatnich postaci, jak Fernand, Mulej, Don Żuan, Alfons, każda żyje swojem indywidualnem życiem, nie zapożyczając się jedna od drugiej.

W tem leży prawdziwe mistrzowstwo Calderona, gdyż utworzenie szlachetnych charakterów, któreby nie były tylko cieniami ludzi, należy do najtrudniejszych zadań w dziedzinie sztuki dramatycznej i jest bez zaprzeczenia aktem najwyższej twórczości. Calderon celuje w wydobywaniu wewnętrznego światła z człowieka i zestawianiu tych rożnych świateł obok siebie tak, że ani jedno drugie nie gasi, ani też z niem się nie spływa, ale owszem wszystkie one podnoszą się i uwydatniają nawzajem, przez co cały dramat wypełnia się jakąś niebiańską jasnością i pogodą. Ztąd nawet groza tragiczna sytuacyi pokryta jest pewnem rozjaśnieniem i spokojem, jakby obraz krwawego męczeństwa, nad którem widnieje ulatujący anioł i promieniste niebo się otwiera.

Nad główną myślą dramatu nie potrzebujemy się rozwodzić, jest ona aż nazbyt dobitną i zrozumiałą dla wszystkich. Każdy człowiek, choćby w najskromniejszym zakresie ma powierzoną swojej straży taką twierdzę jak Ceuta, której nie powinien wydać. Ideał wyrażony w Księciu Niezłomnym stosuje się do całego człowieczeństwa. Na gruzach wielkości i szczęścia potrzeba ratować jeszcze najwyższy skarb — cnotę i godność.

Takie wzniosłe wrażenie musieli wynieść widzowie z przedstawienia *Księcia Niezłomnego*, którego wpływ podnoszący i uszlachetniający zarazem, dał się odczuć tem silniej po niezdrowej atmosferze współczesnych utworów. Przedstawienie dowiodło, że arcydzieło to i dziś w scenicznej oprawie wychodzi pełne życia i świeżości, i że zawarte w niem idealne piękno góruje nad namiętnościami i kierunkami chwili. Teatr nie może być wyłącznie szkołą moralności, ale gdy ma przed sobą utwór, który wkraczając w sferę najwyższych moralnych idei, porywa widzów i olśniewa ich swemi pięknościami, to słusznie się niem chlubić powinien.

Uważamy też wystawienie Księcia Niezłomnego za jedną z największych zasług dzisiejszej dyrekcyi i za prawdziwą uroczystość sceniczną, której mu inne miasta słusznie pozazdrościć mogą.

Teraz przystępując do zdania sprawy z samego przedstawienia, z góry należy przyznać, że wypadło ono nader pomyślnie i przewyższyło wszystkie oczekiwania.

Przedstawienie bowiem takiego utworu na scenie, wymaga pokonania tylu trudności i połączenia tylu warunków, że względna jego dobroć i harmonia całości, musi świadczyć o niezwykłem staraniu i umiejętności reżysseryi.

Drażliwość czcicieli Słowackiego i Calderona mogła być zaspokojoną, bo podniosły nastrój utworu nie został nigdzie obniżony lub skrzywiony, akcya trzymaną była ogółem biorąc

w tonie poważnym i szlachetnym a cudny kwiecisty język Słowackiego nietylko nie doznał nigdzie szkody, ale nawet po większej części odsłaniał wszystkie swoje piękności, które dopiero na scenie w żywem słowie w całej pełni uwydatnić się mogą. — Główny ciężar sztuki przypadł panu Ładnowskiemu, który odegrał tytułową rolę Niezłomnego Księcia. Rola ta nader trudna — bo tak samo dla artysty jak dla dramaturga tworzenie zupełnie czystych, jasnych charakterów, na ogromne trudności natrafia. Nielada to zadanie dla artysty wydobyć z siebie ten blask wewnętrzny, który powinien opromieniać całą postać i na tem jasnem tle powiązać wszystkie delikatne odcienia, nie posiłkując się nigdzie nazbyt grubemi rysami, lecz zachowując wszędzie miarę szlachetności i dostojeństwa.

Z pomiędzy polskich artystów nie ma żadnego, którzyby się mógł równać z panem Ładnowskim w odtwarzaniu jasnych, heroicznych postaci, pan Ładnowski bowiem posiada wysoki dar pojmowania i oddawania swych kreacyi szlachetnie w całem znaczeniu tego słowa; ztąd więc i ogólne zarysy przedstawionego przez niego Niezłomnego Księcia wypaść musiały wzorowo. Połączył on w sobie w całym przebiegu akcyi dostojeństwo bohatera z cierpliwością męczennika, wielkość z słodyczą, dumę z pokorą, piękność zewnętrzną postaci cechującą się w każdym ruchu, z pięknością wysłowienia i wewnętrznego poczucia. Najwięcej nas uderzyły wykończeniem scena z Mulejem, w której mu wolność powraca i scena po przybyciu Henryka, w której wyrywa i rozdziera przyniesiony układ.

W scenie z Mulejem pan Ładnowski odczuł i oddał znakomicie ten wytworny charakter rycerskiej średniowiecznej galanteryi, który tu w Don Fernandzie obok dobroci serca tak ważną odgrywa rolę; kto inny byłby niezawodnie zagubił cały ten wdzięk, całą ujmującą grzeczność, z jaką Fernand odsyła zakochanego jeńca za niewolnika własnej jego damie, ale pan Ł. nie zaniedbał żadnego odcienia tej wyższej, prawdziwie subtelnej gry. W scenie zaś z królem i Henrykiem artysta umiał doskonale przebiedz w krótkiej chwili taką gammę różnorodnych uczuć, jak nadzieję odzyskania wolności, złowrogie przeczucia które ją krępują, radość z widzenia brata, boleść na wiadomość o zgonie drugiego, święte oburzenie na ofiarowany za siebie wykup, niezłomne postanowienie zniweczenia takiego układu, a nareszcie heroiczny, szlachetny wybuch, który po dokonaniu zamierzonego czynu przechodzi znowu w uległość i pokorę. To wszystko zlał on w doskonałą całość, nie zacierając pojedynczych stopni uczuć i znalazł prawdziwą siłę w stósownej chwili naprężenia i prawdziwy krzyk w sercu, który zewładnął sercami słuchaczów.

Za to w pierwszej scenia wylądowania zdaje nam się, że pan Ł. nie dość silnie uwydatnił zapał i fantazyę rycerską Fernanda; chcieliśmy widzieć więcej krwi południowej, więcej ży-

wości. — Wielką scenę trzeciego aktu, gdy dogasający Fernand wzywa litości królewskiej, pojął i oddał artysta w sposób, któremu nic zarzucić nie można ze względu na psychiczną jak i fizyologiczną prawdę. Przez wzgląd jednak na długość przemówienia Niezłomnego księcia, wolelibyśmy aby artysta przyjąbył hypotezę, że książę przed śmiercią gorączkowo się ożywia i że mu słowa z piersi jakby wyrwane z piersi nadziemską siłą. Szczególniej bowiem przy pierwszem przedstawieniu zbyt wolna i używana dykcya obciążała ten długi a piękny ustęp, przy drugiem zaś przyśpieszenie tempa wyszło na widoczną korzyść całości.

Pan Wardzyński w roli Muleja stworzył nam bardzo sympatyczną postać i umiał ją utrzymać w równowadze w ciągu całej gry.

Zdolny ten artysta odznacza się zawsze dobrem pojęciem roli i starannem jej rozwinięciem, ma tylko do walczenia jeszcze głównie z wymową, która częstokroć jest ostrą i syczącą.

Posiada za to pan W. energię, żywość, prawdziwy zapał i siłę które go zawsze sympatycznym czynią, a chociaż ruchy jego są jeszcze nieco szorstkie, a w gwałtowniejszych przejściach siła u niego nie kojarzy się ściśle z wdziękiem, widoczną jest rzeczą, że wszystkie te usterki z każdym dniem się zmniejszają i że panowanie nad swojemi środkami technicznemi jest dla pana W. tylko kwestyą czasu.

Rola Muleja jest stanowczym tego dowodem.

Króla odegrał pan Szymański umiejętnie w całem znaczeniu tego słowa. Jest to bowiem postać, którahy mogła skusić mniej doświadczonego artystę do wystawienia jej w jaskrawem świetle. Pan S. uniknął tej pokusy i zachował prawdziwie artystyczną miarę. Nacechowawszy z talentem wszystkie momenta tej gwałtownej, srogiej i despotycznej natury, pozostawił go na stopniu tego umiarkowania, jakiego duch utworu wymaga.

Feniksana pani Ładnowskiej była uroczem zjawiskiem i usprawiedliwiała zupełnie opis tej czarującej piękności. Co do odtworzenia samej roli nie możemy czynić żadnego zarzutu pani Ł., gdyż ta postać w samym dramacie jest tak nieuchwycona, tak przesłonięta czarodziejską zasłoną i kwiatami wschodniej fantazyi, że ją trzeba śledzić tylko wśród kwiatów, domyślać się jej i zgadywać.

Dla największej artystki byłoby niepokonaną trudnością rozanalizować tę mieniącą się ciągle postać i złożyć ruchliwą mozajkę tych wszystkich drobnych uczuć, smutków, przeczuć i niepokojów.

Pan Waliszewski w roli króla Alfonsa zachował właściwą godność i powagę. Deklamacya jego była piękną i wyraźną, — słowem rola ta wypadła dla niego bardzo pomyślnie.

Tego nie możemy powiedzieć o panu Skirmuncie, którego przedtem w Marynie Mniszchównie w roli Szujskiego Skopina witaliśmy z prawdziwem zadowoleniem. Tam był na swojem miejscu i opowiadanie jego o klęsce było wygłoszone z prawdziwem uczuciem dramatycznem. W roli przecież księcia Henryka zbywa mu na potrzebnej dystynkcyi i staje się postacią zbyt pospolitą i nic nieznaczącą.

Mała rolka Tarudanta oddana została zupełnie dobrze przez pana Hierowskiego.

Całość przedstawienia wypadła bardzo poprawnie; nie dostrzegliśmy żadnych błędów i pomyłek, coby jakąkolwiek ujmę przynieść mu mogły.

Adam Asnyk.

Listy ze Lwowa o Sejmie.

Lwów 30 września.

Nie widziałem sejmu od czasu, jak jego znaczenie okrojone jest przez pośrednie wybory; widok tem przykrzejszy jest dziś, niż był kiedykolwiek. Nie ma burzy w szklance wody, nie ma programów szumnie głoszonych, a pękających jak bańki z mydła, nie ma tych mniemanych stronnictw, które na prawdę były tylko wzajemnemi podejrzeniami i niechęciami, i nie ma zaniedbywania spraw wewnętrznych dla kwestyj politycznych, zatem na pozór zdaje się, że powinnoby być lepiej jak bywało. Ale ten ubytek złego nie stał się przybytkiem dobrego, tylko nagrodzony jest złem nowem, bodaj czy nie gorszem. Najprzód zniechęcenie powszechne, nieufność w siebie, w ten sejm, w możność jakiegokolwiek pożytku, złamanie, zwątpienie, bezwładność. Ten stan umysłów jest naturalnym, i dziwić mu się nie można. — Każdy widzi i czuje, że po trzynastu latach próby system reprezentacyjny u nas nietylko się nie wzmógł, nie stał koniecznym wewnątrz a silnym na zewnątrz, w stosunku do Państwa, ale owszem cofnął się, podupadł, zmniejszył w zakresie, osłabł w znaczeniu i powadze u swoich i obcych, a trzynaście lat to dużo czasu, to wystarczy, żeby coś zrobić, albo jeżeli się zrobiło za mało, przejść do smutnego upokarzającego wniosku jakiejś niedołężności, jakiejś bezpłodności, jakiejś niezdolności działania i życia, która, daj Boże, żeby nie była stałą, ale nawet gdyby miała być tylko przemijającą, byłaby jeszcze bardzo bolesną. Nie wiem, czy to uczucie instynktowe nie przyznane, ale bardzo rozpowszechnione, nie jest pierwszym i głównym powodem tego

ociężałego bezwładnego zniechęcenia, które jest najwyraźniejszą cechą dzisiejszego sejmu.

Do tego przychodzi porównanie i pamięć lepszych czasów, tych naprzód, kiedy po upadku ministeryum Schmerlinga, system konstytucyjny w Austryi zdawał się wchodzić na dobrą drogę, zgadzać się z naturą rzeczy i Państwa, i zapowiadać coś istotnie silnego, żywotnego, może nawet wielkiego, bo opartego na prawdzie i na naturze rzeczy; kiedy sejm kilkomiesięczny (1865—66) ufny sam w siebie i w swoją przyszłość, wziął się do wszystkich ważnych spraw krajowych, i wierzył, że je wszystkie w niedługim czasie a w dobrym duchu rozwiąże; potem te czasy gorsze, ten wiek miedziany naszego sejmu, kiedy dążność centralistyczna, dążność Metternicha i Bacha wróciła pod nową formę demokratyczną, z nową Radą Państwa, ale była o tyle przecież osłabiona, że dało się z nią walczyć i położyć jej jakieś tamy, powiedzieć jak morzu „nie pójdziesz dalej.“ Dziś wiek żelazny, a próżno w siebie wmawiać, że nie własnemi błędami, własną niezręcznością, własnym brakiem politycznego rozumu sprowadzony. A musiałby chyba być ślepym jak kret, kto w księdze rodzaju dzisiejszego wypadku sejmów, a zwłaszcza naszego sejmu, nie wyczytałby jasno jak na dłoni, że uchwała 2 marca zrodziła Radę Państwa, która zrodziła konstytucyę grudniową, która zrodziła konieczność oporu i protestacyi, która zrodziła (nieszczęściem) rezolucyę, która zrodziła konieczność opuszczenia Rady Państwa, które zrodziło „Nothwahlgesetz“, który zrodził „Bezpośrednie wybory“, które zrodziły to, co jest dzisiaj. A całe to logiczne, konieczne, fatalne skrzywienie systemu parlamentarnego w Austryi, zboczenie polityki austryackiej i naszej z prawdziwej drogi na mylną, rozstrzygnęło się i wzięło popęd w dwóch chwilach stanowczych, za naszą przyczyną, z naszej winy, raz kiedyśmy w roku 1867 do nowej Rady państwa (wówczas nawet nieprawnej) weszli i tym sposobem dali jej możność życia, drugi raz, kiedyśmy z niej wyszli. Wszystkie te wspomnienia, te żale poniewczasie, ludziom choć trochę rozumnym i zdolnym zastanowić się nad historyą naszego sejmu muszą ciężyć na myśli i na sumieniu jak ołów. A do tego przychodzi jeszcze inna myśl i obawa o przyszłość. Ten zwrot nowy a nieszczęściem tak silny, ten powrót Austryi do wewnętrznej polityki Metternicha i Bacha w innej formie tylko, na czem on się kończy? dokąd Państwo i nas zaprowadzi? jakie wydać może zgubne stosunki i straszne dla polityki polskiej konieczności? Stoi więc sejm poprostu w obec bankructwa; nie dziw, że smutny, zniechęcony i upadły na duchu.

Ale nie w samej przeszłości powód wszystkiego złego. Co się stało, odstać się nie może, ale z tego co zostało mogłoby się coś stać jeszcze. Wszak nie jeden porządny i wytrwały człowiek kiedy stracił wiele, pracuje na małem i z małego się do-

rabia. Podobnie powinnoby być i u nas; nie wiem czy można powiedzieć, że mogłoby być podobnie, bo gdyby mogło, toby już było, a nie jest. Dla czego? Dla czego samo okrojenie sejmu nie pobudziło go do większej energii? dla czego, kiedy kwestye polityczne, adresy, programy, rezolucye i t. p. zeszły z pola, a przez to nastał większy spokój i uciszenie naszych namiętności czy drażliwości, dla czego nie rozwięzujemy spraw od dawna wiszących a koniecznych? dla czego zmiana ustawy gminnej nie pewno czy dojdzie do skutku? dla czego zmianie ustawy drogowej źle wróżą? dla czego opłakana propinacya bodaj nie pójdzie w odwłokę? Nie śmiem źle tuszyć, nie śmiem, ale boję się, czy i tym razem nie znajdzie się jakieś: „poleca się Wydziałowi krajowemu, żeby sprawę lepiej rozpatrzył i przygotował," jakieś: „wzywa się rząd, żeby zrobił to i owo," które nam pozwoli udawać dalej, że coś radzimy i robimy, a na prawdę zostawi wszystko „beim Alten." A jaki ztąd wstyd, jaki upadek powagi sejmu, jaka szkoda materyalna, jaka klęska moralna dla kraju, który do reszty przywyknie lekceważyć powagi nawet wybieralne? który straci do reszty ufność w siebie, kiedy zobaczy, że posyła do sejmu ludzi, których ma za najlepszych i najzdolniejszych, a ci przez tyle lat nic zrobić, nic skończyć nie mogą?

Szukając powodu znajduje się go, jeżeli się nie mylę, głównie w tym smutnym fakcie, że większość sejmowa, niezaprzeczenie patryotyczna i polska, nie może się między sobą zrozumieć, że każda kwestya wewnętrzna, gminy czy drogi, propinacya czy szkoła, zatrzymuje się na odmiennem pojęciu rzeczy, nieraz na odmiennym interesie okolicy lub powiatu. Pomiędzy zachodnią a wschodnią połową kraju jest różnica pojęć ogromna, jest może i różnica potrzeb, ale w każdym razie jest różne tych potrzeb zrozumienie. I tak jedni chcieliby mieć sprawę gminną doprowadzoną do gmin zbiorowych; drudzy zapewne ze względu na duchowieństwo ruskie i jego wpływ nad ludem wiejskim, boją się nawet *„okręgów gminnych"* projektowanych przez Wydział krajowy i woleliby zostać przy tem co jest; jedni znieśliby propinacyę coprędzej, choćby z małem wynagrodzeniem byle znieść, drudzy uważają ją za rzecz wygodną i nie śpieszą się wcale; jedni uznają ustawę drogową za niesłuszną i gotowiby koszta konkurencyjne rozłożyć inaczej, drudzy... słyszałem nie dawno jednego mówiącego naiwnie „po co tę ustawę drogową tykać, ona bardzo dobra, ja przez to wszystkie lata prawie nic na drogi nie dałem." Ta różnica pojęć jest bodaj czy nie kardynalną przyczyną niepłodności sejmów. Naprzód działa ona zgubnie na wybory do komisyi. Każdy wybiera oczywiście takich, którzy myślą podobnie jak on sam; z tego wynika, że listy polskie najczęściej są między sobą niezgodne, a z niezgody dwóch korzysta trzeci, i z głosowania wychodzi kandydat świętojurski, przeprowadzony głosami włościan nie wiedzących co czynią. Mo-

żna uważać, że w znacznej liczbie komisyi element świętojurski jest w tym roku mocniejszy niż bywał. Powtóre odbija się to samo niezrozumienie się i w komisyach samych; komisya się schodzi, radzi, dyskutuje, ale członkowie jej zapatrują się na sprawę zbyt odmiennie, żeby mogli dojść do wspólnej i zgodnej konkluzyi i najczęściej kończą na jakiejś konkluzyi połowicznej lub pozornej, *„wzywa się Rząd“* lub *„poleca się Wydziałowi krajowemu“* na odwłoce do przyszłego roku, a na przyszły rok *„ce sera à recommencer.“*

Jaka na to rada? Dziś sejm nie jest spojonym organizmem, ale jak mówiono o dawnych sejmach polskich, zbiorowiskiem osobistych, rozumniejszych lub mniej rozumnych przekonań, zapatrywań lub urojeń, które się rozlatują jak kupa piasku. Coby mogło nadać nam tę spokojność, której nie ma, i z naszego piasku zrobić urodzajną ziemię? Że nie „koło poselskie“ to pewna, ten środek wypróbowany jest dostatecznie i nie pozostawia już najmniejszej iluzyi. Mówią nam: stronnictwa, kluby? Być może, ale stronnictwa nie powstają na komendę, a kluby? konserwatywne usunęłyby prędko, inne równie prędko byłyby jak przedęte pęcherze, wszak mieliśmy już przykłady; wreszcie jedno i drugie to środki działające zwolna i stopniowo, a tu trzeba rady szybkiej i doraźnej. Jest jeden środek, podniesienie intelegiencyi, nie klasy czy kasty ochrzczonej tak w roku 1848, ale siły umysłowej, trafnego zrozumienia rzeczy, słowem więcej rozumów i rozumy większe, zdolniejsze, ale to nie zależy od nas, i choćby zależało najdłużej zawsze każe na siebie czekać. Co więc? a więc nie wiem; widzę tylko, że jesteśmy w politycznem bankructwie, w spółecznem rozbiciu, w umysłowej nieudolności, w ekonomicznej niemożności, a bodaj czy nie i w moralnej anarchii.

Symptomem tego ostatniego złego, niewątpliwie gorszego nad wszystko, wydaje nam się naprzykład to, że sejm wybrał do jednej komisyi (i to jeszcze do szkolnej!) księdza suspendowanego. Być może, że nie słusznie, być może, że wyższa instancya uzna go niewinnym i zniesie wyrok biskupi, ale dopóki to się nie stało on jest księdzem suspendowanym, księdzem, któremu nie wolno odprawiać mszy. Gdyby nie było u nas w kraju i w sejmie, moralnej anarchii, to naprzód obwiniony sam wiedziałby, że do chwili uniewinnienia (jeżeli ono przyjść ma) i obowiązek i uszanowanie dla kościoła i sama przyzwoitość wreszcie, nakazywały mu zostać na ustroniu i w milczeniu; powtóre, wybór jego do sejmu byłby niepodobieństwem (nawet wyboru włościańskiego inne czynniki nie byłyby dopuściły), potrzecie, sejm byłby wyboru takiego, nawet najlegalniej dokonanego nie przyjął. Bo jeżeli się pokaże, że wyrok był słuszny, co wtedy powie sejm o sposobie, w jaki powagi i godności swojej strzeże? Prawo jej strzeże kiedy stanowi, że człowiek oskarżony, czło-

wiek pod śledztwem karnem w skład sejmu wejść nie może; a jeżeli prawo nie mówi nic o duchownych będących pod oskarżeniem i śledztwem kościelnem, to opinia powinna dopełnić, czego prawu nie dostaje, i pilnować żeby co zmazanego do sejmu nie weszło. Tymczasem nietylko uznano wybór, ale dano suspendowanemu dowód zaufania i szacunku, jakim jest wybór do komisyi. A jeżeli, jeszcze raz pytam, jeżeli z Rzymu przyjdzie potwierdzenie wyroku, czy wtedy nie będziemy musieli spuszczać oczów i płonić się ze wstydu? Gdybyśmy mieli więcej zasad, więcej poszanowania dla moralnego porządku świata i siebie samych, wybór taki byłby niepodobieństwem. Dziś przyszedł wprawdzie jednym głosem tylko, więc odpowiedzialność w zupełności na większość polską nie spada, ale spada w części. Honor i zasługa należy tu przedewszystkiem, wstyd powiedzieć, księżom ruskim, którzy i swoje głosy dali i włościańskie dla wyboru tego pozyskali; należy dalej tym agitatorom, jacy w każdem ciele zbiorowem znaleźć się nieszczęściem muszą, a którzy zawzięci na to, żeby burzyć wszystko co jest, pracują z zapałem nad udaniem się każdego zgorszenia i każdego wstydu. W części przypada i tym, co ze świadomością rzeczy wybierali suspendowanego księdza za to właśnie, że jest suspendowany. Mamyż dodać jeszcze i to, że znaleźli się księża łacińscy, którzy za tym wyborem głosowali! I czy po takim fakcie można nie pytać, nie wątpić, czy my jeszcze co na świecie szanujemy? Osobistość, a nawet niewinność oskarżonego nie zmienia rzeczy wcale, nie zmienia faktu suspendowania, ani tego, że zawieszenie w kapłańskich funkcyach, zawiesza księdza koniecznie także i w ludzkim szacunku, i że ten nie pierwej może mu być wróconym, aż póki wróconem nie będzie prawo odprawiania mszy.

A gdyby więcej w naszej większości zastanowienia, gdyby więcej wzajemnego rozumienia się, a przez to większa możność uprzedzenia i odwrócenia niespodzianych złych przypadków, byłoby przecie zapewne do tego smutnego wyboru nie przyszło. Komisya szkolna, a przedewszystkiem ks. biskup Przemyski obrz. greck., który w niej zasiada, znaleźli się w położeniu bardzo przykrem. Była mowa wprost o złożeniu mandatów do komisyi przez wszystkich jej członków. Gdyby ks. biskup Przemyski był to zrobił, inni byliby poszli za jego przykładem. Ks. biskup atoli chciał poprzednio zasięgnąć zdania ks. arcybiskupa Wierzchleyskiego, ten zaś uznał, że ks. Stupnicki może bez ubliżenia sobie w komisyi pozostać, a że takie zbiorowe złożenie mandatów byłoby dla sejmu nauką może zasłużoną, ale bardzo upokarzającą. Skoro zaś biskup w komisyi pozostał, nie wypadało świeckim wyrywać się na własną rękę i okazywać draźliwszymi od niego.

Wspomnieliśmy o tem zajściu naprzód dlatego, że choć drobne, jest bardzo znaczące, a tak przykre i upakarzające że

mogłoby dać nam do myślenia i daj Boże do opamiętania się. Jak w takim stanie rzeczy spodziewać się pomyślnego ukończenia spraw oddawna wiszących? Gminną, drogową, propinacyjną i szkolną; oto ile wiedzieć mogę jak one dziś w sejmie stoją i co im na tę sesyę wróżyć można.

Wydział krajowy wniósł projekt okręgów gminnych: nie ze wszystkiem praktyczny jak słychać, (mianowicie podług jednych pomnażający kosztów, podług drugich zostawiający wójtowi taki zakres władzy, któremu wójt włościanin rzadko dałby radę, a którego inny nie łatwoby się podjął, bo musiałby mu cały swój czas poświęcić), ale projekt, który w każdym razie dawał się wedle potrzeby odmienić i przyjąć. W komisyi napotkał on na oppozycyę bardzo silną. Pan Grocholski mianowicie wniósł, ażeby komisya zdając sprawę projektu wydziału krajowego, wystąpiła z wnioskiem przejścia do porządku dziennego. Naprzeciw temu stanął wniosek inny, pana Dunajewskiego, który żądał, żeby komisya powiedziała naprzód czy chce zmiany ustawy gminnej, a dopiero gdyby się pokazało że tak, iżby uchwaliła zasady takiej zmiany. Przy głosowaniu większość komisyi oświadczyła się za zdaniem p. Grocholskiego, mniejszość zapowiedziała swoje votum osobne. Jeżeli więc sprawa gmin przyjdzie na porządek dzienny, to pod formą dwóch wniosków, z których jeden (większości) będzie żądał przejścia do porządku dziennego i zostawienia rzeczy jak są, a drugi polecający komisyi, iżby proponowała zasady, podług których organizacya gmin i powiatów miałaby być zmienioną, a po przyjęciu tych zasad przez sejm wezwałoby się Rząd, żeby podług nich plan przyszłej organizacyi ułożył i sejmowi podał.

Jeżeli nawet komisya stanie przed Izbą ze sprawozdaniem, to łatwo się domyślać, jaki będzie los wniosku mniejszości jak nasz żywioł iżby konserwatywny połączy się ze świętojurcami, których cała sztuka w tem, żeby dezorganizować i z włościanami, którzy do złego głosowania łatwo pchnąć się dadzą.

W komisyi drogowej nie weselej. Tu leżą dwie sprawy ważne. Jedną jest budowa kolei drugorzędnych, przedewszystkiem w tych okolicach, gdzie dla braku materyału budowa gościńców jest zbyt kosztowna i trudna, a więc przedewszystkiem w Bełskiem. Wydział krajowy proponował budowę dwudziestu mil kolei, licząc koszta po trzykroć sto tysięcy na milę, i spodziewając się, że rząd przyczyniłby się do takiego dzieła subwencyą. Zarazem kraj miałby się zobowiązać do gwarancyi pięciu procentów od rzeczonych kolei. O ten szkopuł rozbił się cały projekt. Istotnie przyjąć gwarancyę piętnastu tysięcy złotych reńskich od mili, i to na lat zapewne 90, (bo na tyle zawierają się kontrakta kolejowe), i to w okolicach, gdzie wielkiego ruchu na kolei spodziewać się nie można, to ryzyko wielkie,

przed którem nie dziw, że się komisya zawahała i projekt odrzuciła.

Drugą sprawą, wazniejszą, jest zmiana ustawy drogowej; mianowicie co do ponoszenia kosztów budowy i utrzymania dróg powiatowych i gminnych. Wiadomo wszystkim, że dzisiejsza praktyka, (gminy dają robotę a dwory materyał), jest w niektórych nader rzadkich przypadkach uciążliwa dla dworów, ale w regule jest niezmiernie uciążliwa dla gmin. Drażliwość posłów włościańskich na tym punkcie jest wielka, a że w komisyi jest kilku posłów, którzy chcą innego, słuszniejszego rozłożenia kosztów więc tu zdawałoby się do jakiegoś końca, do jakiejś konkluzyi dojść można. Tymczasem reprezentanci interesu gmin w komisyi, włościanie, zwykłem sobie zrozumieniem rzeczy nie połączyli się z tymi, którzy ustawę na ich korzyść chcą zmienić, ale bądź stawiają wnioski i żądania przesadne, zwalające cały ciężar na dwory, bądź łączą się nie wiedząc co robią z tymi, którzy ustawy zmienić nie chcą. A że przez nieporadność naszą weszło ich do komisyi drogowej kilku, przeto większość jest znowu w ręku tych, którzy zmiany nie chcą, lub jeżeli chcą to zmian takich, których nikt nie będzie mógł przyjąć Odrzuciła więc ta większość bez ceremonii cały projekt Wydziału krajowego, a wzięła się sama do pisania nowej ustawy drogowej, której to czynności duszą i głową ma być podobno pan Erazm Wolański.

I ta znowu mniejszość, złożona z indywiduów tak „nieznaczących i rzeczy nie świadomych, jak pan Gross naprzykład, pan Apolinary Jaworski, p. Męciński. i inni.“ zmuszona jest wchodzić ze swojem zdaniem do sejmu przez boczną furtkę *Votum Separatum*, które dla dróg powiatowych, (co do gminnych jeszcze dotąd decyzyi niema) znosi dotychczasowe prestacye w robocie czy w naturze. a koszta drogowe rozkłada w równej i słusznej mierze na większe i mniejsze posiadłości pod formą podatku. Oby choć ten wniosek mniejszości zdołał utrzymać się w sejmie.

W komisyi szkolnej, najważniejszym z dotąd złożonych jest wniosek p. Czerkawskiego o uzupełnienie Uniwersytetu Lwowskiego wydziałem lekarskim. Na pozór sprawa bardzo łatwa, nic słuszniejszego, nie prostszego, uchwalić i koniec. W praktyce natrafia się na wielkie i nieprzebyte trudności.

Nasuwa się bowiem pytanie zkąd się weźmie profesorów do tego wydziału? Brak kandydatów Polaków, przynajmniej takich, którymby nauczanie sumiennie można powierzyć, jest wielki. Wszak katedra opróżniona przez śmierć pana Gilewskiego w Krakowie, przez trzy lata obchodzić się musiała improwizowanym zastępcą. Cóż będzie jeżeli naraz przyjdzie obsadzić katedr medycznych kilkanaście? i co za położenie jeżeli rząd na założenie fakultetu pozwoli, jeżeli wtedy zarząda żeby mu podać profesorów do mianowania, a my nie podamy żadnych

lub prosić będziemy żeby nam przysłano Niemców? Wzgląd to bardzo ważny; tak ważny, że komisya szkolna, (a prawdopodobnie i sejm) wniosku tego nie przyjmie. Powiedzą że zdradza swoje powołanie i nie pozwala szerzyć nauki i kształcić młodzieży: pozór może będzie złudny, ale bardzo fałszywy, bo większą usługę odda się młodzieży, krajowi, i nam, nie zakładając wydziału lekarskiego, aniżeli założywszy obsadzić go profesorami niezdolnymi lub narazić się na ten wstyd, że się go swoimi wcale obsadzić nie zdołało.

Kilka petycyj (zaledwo kilka) o większe lub mniejsze zmiany w organizacyi niedawno zaprowadzonych okręgów szkolnych, uzupełnia tegoroczny zasób materyałów oddanych komisyi szkolnej do opracowania. Petycye te zasługują na wzgląd, na pamięć, wytknięte w nich niedostatki warto zapamiętać, ale żeby na ich podstawie zaraz przewracać prawo, które ledwie że weszło w życie i dostatecznie jeszcze wypróbowanem nie jest iżby dokładnie wiedzieć można co i jak zmienić w niem należy, — to byłoby znowu może zbyt nagle i pospiesznie.

„*Nie uroku*“ ale kto wie, kto wie czy sprawa propinacyjna w tym roku nie dojdzie do końca. Pan minister Ziemiałkowski lada dzień stanąć ma we Lwowie z rządowym projektem wykupna, ułożonym podobno zupełnie podług zasad uchwalonych na ostatniem posiedzeniu przeszłej sesyi sejmowej. — Projekt ten poufnie udzielony już jest komisyi propinacyjnej, która jak słychać nie myśli go zmieniać. Być więc może że po officyalnem złożeniu wniosku rządowego niebawem ukaże się i sprawozdanie komisyi. Co daj Boże! Byłaby przecie choć jedna rzecz zrobiona, choć jeden dowód przeciw tej naszej rozpaczliwej niezdolności zrobienia czegokolwiek!

Jak na tę nieudolność radzić? Mówią niektórzy: „zawiązać stronnictwo, a za organ dać mu klub“. Nie wiem, czy środek nie jest utopijnym. Do zawiązania stronnictwa nie dość przekonań i zasad; potrzeba uczuć, potrzeba namiętności politycznej i faktu, któryby ją obudził: wykupno propinacyi, gmina zbiorowa, drogi, tego nie dokażą. Jednak znoszenie się między sobą, przygotowywanie się do sejmu, może choć w części na tę bezradność i bezładność poradzić, może zdoła choć w części zapobiedz rozbiciu. Bez wielkiej miłości do klubów w ogóle, bez wielkiej ufności w trwałość i żywotność klubu konserwatywnego, której wygodne lenistwo naszych konserwatystów nie małą zapewne stawi przeszkodę, możnaby chwycić się i tego środka, choćby dla spokojności sumienia, że się nie zaniedbało żadnego z tych które były pod ręką“.

Lwów 31 października

„Sejm się skończył: a z końcem jego pokazało się raz jeszcze, że w tym przeciągu czasu, jaki mu zostawiają, on się ze wszystkiem obrobić nie może: że choćby miał choćby dwa tygodnie więcej, nie byłoby powodu narzekać na niego, że robi za mało. W ostatnich dniach sejmu wszystkie komisye były gotowe ze wszystkiemi poruczonemi sobie sprawami, wszystkie prosiły się z wnioskami swojemi na porządek dzienny, a dla braku czasu wnioski te docisnąć się już nie mogły; marszałek musiał w tej ostateczności porozumieć się z przewodniczącymi wszystkich komisyj. i wybrać z każdej to, co było najnaglejszem i koniecznem. Nie można zaś słusznie twierdzić, jakoby te komisye nie pracowały, lub nie dość pośpiesznie; przeciwnie, nie żałują one trudu, nie oszczędzają się, ale niepodobna jest, żeby w kilku dniach, w pierwszym lub drugim tygodniu obrad, były gotowe z wnioskami takich rozmiarów i wagi, jak ustawa drogowa na przykład, lub propinacyjna, kiedy do tej ostatniej wniosek rządowy przyszedł gdzieś w połowie sesyi dopiero. Dwa tygodnie czasu, i byłoby mogło przejść przez sejm wszystko, co w tym roku było konieczne; bez nich, wiele rzeczy musiało spaść z porządku dziennego, żeby na przyszły rok na mocy nowych wniosków w nowych komisyach znowu przebywać te wszystkie stadya, które projekt przejść musi, zanim stanie się prawem.

Nie komisye więc winny, jeżeli nie zrobiło się wszystko, co było potrzebnem. Czy poczęści nie winna Izba sama, to inne pytanie. Zawsze, a zwłaszcza kiedy czasu tak mało, powinniby panowie posłowie trzymać się jednej zbawiennej zasady: nie mówić, tylko wtedy kiedy mają coś do powiedzenia, i tylko ci, którzy coś powiedzieć mogą, a i ci i wtedy jeszcze, nie rozwodzić się zbytecznie, powiedzieć tylko to, co koniecznie potrzebne, powiedzieć krótko, nie zabierać czasu. Bo pytam, na co mam mówić, jeżeli ktoś drugi myślący o sprawie, to samo co ja, już mówił i powiedział to, co bym ja chciał i mógł powiedzieć? Przekonanych nawracać nie potrzebuję, nieprzekonanych dotąd nie przekonam tem, że drugi raz powtórzę argumenta, które przed chwilą były im wyłożone. Wstrzemięźliwość w mowie jest jednym z wielkich przymiotów posła, zawsze, a dopieroż kiedy sejm ma spraw dużo a czasu mało. Gdyby ci panowie obliczyć chcieli, ile czasu u nas schodzi na mowach, w których się jedno i to samo powtarza, które w dyskusyi nie przydają się na nic, bo kwestyi nie rozświecają ani jedną myślą nową, ani jednem spostrzeżeniem własnem, ani jednym dowodem *pro* lub *contra*, któryby już znanym nie był, możeby w najbliższym swoim rachunku sumienia ze skruchą umieścili grzechy swojej

wymowy, te słowa próżne, z których (aż strach pomyśleć!) będzie musiał zdawać rachunek; a cóż dopiero poseł, który próżnemi słowemi spycha z porządku dziennego niejednę rzecz ważniejszą niż jego słowa. Nasze rozprawy ogólne mogą pod tym względem doprowadzić nieraz do rozpaczy. Sprawa jest znana, wisi w sejmie od lat kilku, każdy już wie, co o niej myśli i jak będzie głosował; jeżeli kto jeszcze przekonanie ma zmienić, to je zmieni przy krótkiem starciu zdań przeciwnych, jeden lub dwóch oponentów i sprawozdawca wystarczą. U nas tymczasem zapisuje się z góry kilku: jeden z nich powie jakie słowo, które się drugiemu nie podoba, zaraz prośba o głos i wojna z tem jednem często nieznaczącem słowem lub szczegółem; za pierwszym wyrywa się drugi, trzeci, dziesiąty, robi się istna lawina wołań o głos i mów, z kilku robi się kilkanaście, przybywa coraz więcej, Izba w strachu, że sama ta ogólna dyskusya gotowa się ciągnąć przez kilka posiedzeń, żąda jej zamknięcia; cóż z tego! nowi mowcy już nie przybywają wprawdzie, ale zamiast użyć wybornego na krótkość czasu środka, jakim są mowcy generalni, Izba woła: „niech mówią wszyscy!“ Mówi więc każdy, kto się dotąd do głosu zapisał, i zamiast iść dalej, słucha się jeszcze mów pięciu, sześciu, siedmiu, które na głosowanie i uchwałę nie wpływają bynajmniej — co więcej, najczęściej nie słucha się ich wcale, wiedząc z góry, co przez kogo powiedzianem być może, jaki taki wynosi się z sali, na ławach zostają dla przyzwoitości *rari nautes in gurgite vaste*, a z wyjątkiem tych nielicznych, którzy zawsze słuchać się każą, mowcy wołają jak na puszczy. Dopiero kiedy wszyscy skończyli i sprawozdawca ma reasumować dyskusyę, dopiero kto żyje wraca do sali. Czy nie tak się dzieje? I czy nie lepiejby było, kiedy czasu nie staje, nie rwać się tak gorliwie do głosu, porachować się z sobą, czy się ma co ważnego i potrzebnego do powiedzenia, wreszcie zdać dyskusyę na mowców generalnych, zamiast kazać mówić wszystkim, a nie słuchać prawie żadnego?

Gdyby dodać jeszcze do tego poprawki stawiane lekko, które potem cofać trzeba, lub inne podobniuteńkie do poprawki poprzednika, które się potem z tamtą zlewają, a każda z nich daje powód do osobnej mowy, nieraz do całej dyskusyi, pokazałoby się, że strata czasu w Izbie jest znaczna i że możnaby więcej zrobić, gdyby się mniej mówić raczyło.

Ale odkładając na bok te *pia desideria*, które nigdy zapewne skutku nie odniosą, przejdźmy do tego, co się na tegorocznej sesyi sejmowéj zrobiło.

Z czterech spraw, wskazanych w waszych ostatnich zeszytach jako najnaglejsze, *Gminna* skończyła się bardzo świetnem sprawozdaniem komisyi, odrzuceniem projektu organizacyi gmin, wniesionego przez Wydział krajowy, i uchwaleniem trzech zmian w ustawie obowiązującej.

Powody, dla których komisya nie oświadczyła się za projektem Wydziału, wyłuszczone są w sprawozdaniu jak następuje: 1. Proponowane w tym projekcie okręgi gminne i ich rady, składałyby się z tych samych żywiołów i tej samej proporcyi, co dzisiejsze rady gminne, miałyby większość radnych nierozumiejących dostatecznie swoich praw i obowiązków. 2. Dzisiejszy naczelnik Gminy ma zamało władzy i powagi, żeby mógł obowiązki swoje wykonywać w jednej gminie; tem trudniej podołałby im w większym od gminy okręgu. 3. Rada okręgowa złożona w tej samej proporcyi co dawniejsza rada gminna, z żywiołów mniej i więcej wykształconych, miałaby zawsze większość tych mniej wykształconych, a przeto okazałaby się tak mało przydatną jak dzisiejsza rada gminna.

Z tych powodów sprawozdanie zaleca sejmowi odstąpić od myśli okręgów, a natomiast stawia zasady, na których oprzećby się miała cała przyszła organizacya kraju. Zasady te, znane waszemu pismu, bo ono po ostatniej sesyi sejmowej podała ich całkowity zarys, wyłożona w sprawozdaniu z tą jasną i energiczną precyzyą, która cechuje styl i słowo p. Dunajewskiego, obejmują: 1. Gminy zbiorowe z zapewnieniem należytego w nich wpływu obu stronom składać je mającym i z obszerniejszym niż dotąd zakresem władzy dla Naczelnika. 2. Zniesienie dualizmu w sprawach i organach urzędów autonomicznych i rządowych, zmniejszenie liczby a powiększenie rozległości powiatów i powierzenie wszystkich spraw w powiecie Wydziałowi powiatowemu, pod przewodnictwem mianowanego przez cesarza starosty.

Są to naturalnie życzenia na przyszłość dopiero, ale fakt, że one mogły ukazać się w sprawozdaniu komisyi, w akcie urzędowym niejako, jest bardzo pocieszający, bo daje nadzieję, że skoro weszły w sprawozdanie, to niezadługo wejdą może i w sam wniosek, że opinia sejmowa zrobiła przecież jakoś pod tym względem postęp, a w takim razie tuszyć wolno, że te życzenia staną się kiedyś prawem, byle się o to starać usilnie i nie dać o nich zapomnieć.

Na dziś poprzestała komisya na wniesieniu, a sejm na uchwaleniu (łatwem) trzech zmian w ustawie obowiązującej. Jedna z nich dąży do nadania wydziałom powiatowym władzy wykonawczej, druga reguluje prawo zawieszania uchwał rady powiatowej przez starostę; trzecia zaostrza dozór wydziałów powiatowych, a pośrednio wydziału krajowego nad zakładowym majątkiem gmin. Sankcya wszystkich tych zmian bardzo pożądana: oby była równie pewną.

Spraw szkolnych większej wagi, jak wiadomo, nie było w tym roku. Gruntowne zbadanie stanu gimnazyów i jego poprawa byłyby z pewnością nader pożądane. Niestety, sejm własną inicyatywą i mocą rozwiązać tej sprawy nie może. Rada szkolna nie jemu podlega, ale ministerstwu oświaty; reforma

gimnazyów mogłaby pociągnąć za sobą i częściowe zmiany w radzie szkolnej. A czy byłoby roztropnie narażać dziś cały ten stosunek na działanie wpływów pozakrajowych, któreby ominąć się nie dały? Lepiej podobno zaczekać i tej sprawy nie poruszać, jak poruszywszy, zepsuć ją gorzej zamiast naprawić. Z tego powodu w sprawach szkolnych zrobiła się jedna tylko rzecz znaczniejsza i dobra, to jest, podwyższenie płac nauczycieli wiejskich, które było koniecznem, (bo źle płatni wychodzili tak licznie na Szląk, do Morawy i Bukowiny, iż można było obawiać się zupełnego ich braku), a na które sejm uchwalił 80 tysięcy złr. w przyszłorocznym budżecie.

Z dwóch spraw drogowych większa, tj. nowa ustawa drogowa wcale do Izby nie weszła. Komisya wprawdzie, podzielona na większość i mniejszość, gotowa była z wnioskami — ale przeż ten podział naprzód sprawa zalegała w komisyi długo, powtóre z tym szczęśliwym przywilejem spraw drogowych, które wszystkich a zwłaszcza włościan pobudzają do bardzo energicznej dyskusyi, nie można było w ostatnich dniach sejmu rozpoczynać długich rozpraw, zwłaszcza że zostawał jeszcze budżet, który oczywiście uchwalonym być musiał. Rzecz wątpliwa zresztą, czy w dzisiejszym stanie rzeczy ustawa drogowa byłaby przeszła pomyślnie; projekt mniejszości miał wielkie wzięcie u posłów włościańskich, z dodatkiem niektórych ze strony polskiej i świętojurców, którzy prawdopodobnie byliby głosowali za gorszem, rozsądny projekt większości byłby przeszedł z trudnością, a może i upadł. Mniejszość zaś wynalazła środek najlepszy na to, żeby wcale dróg nie było, oprócz krajowych, które łaskawie zostawiać raczyła. Ale powiatowe kasowała zupełnie. Gminne zaś zachowywała wprawdzie, ale że ich budowa i utrzymanie zależałoby oczywiście od gmin tylko, więc wniosek łatwy, że mało gdzie byłyby budowane i utrzymywane. Cel byłby osiągnięty, nie wydawałoby się na drogi nic, prócz tego, co już w sejmie na drogi krajowe koniecznie uchwalić trzeba.

Te zaś drogi (druga ważna sprawa komisyi drogowej), zostały dość hojnie na rok przyszły opatrzone. W budżecie przeznaczono 500 tysięcy na budowę dróg nowych, rekonstrukcyę dawnych i dokończenie zaczętych. Zrazu wprawdzie hojność ta zdawała się o wiele jeszcze większą. Pomieniona kwota w całości uchwaloną była na budowę dróg nowych, objętych ogólnym planem dróg, który sejm w swoim czasie był zatwierdził. Oprócz tego stała w preliminarzu budżetu cyfra 135 tysięcy na rekonstrukcye dróg dawnych i kończenie w budowie będących. Ale Izba przerażona znacznym wydatkiem, pozycyi tej w budżecie nie uchwaliła, i dla ratowania dróg narażonych przez to na niszczenie lub na przerwę w budowie, wypadło już pomieścić je wraz z temi, które dopiero budować się mają, w ogólnej pozycyi 500 tysięcy.

Sprawa propinacyjna, jak wiadomo, po raz nie wiedzieć już który odesłana do specyalnej komisyi z poleceniem, żeby na najbliższą sesyę sejmową... i tam dalej!

Że projekt wykupna wniesiony przez rząd był złym, nie ma wątpliwości. Naprzód znosił propinacyę za wynagrodzeniem, a wynagrodzenie to każdy właściciel propinacyi musiał sobie z pozostawionego na lat jeszcze dwadzieścia sześć dochodu uciułać, i z tego jeszcze płacić 2, a względnie 7%, jeżeli chciał dostać kapitał wykupny. Powtóre, od chwili jak komisya wprowadziła paragraf stanowiący, że dawny właściciel propinacyi zachowa prawo jednego szynku w miejscu, gdzie miał propinacyę, to mogła zmazać paragraf 1, który mówi, że „wyłączne prawo wyszynku się znosi,“ bo w bardzo wielu miejscach ten szynk jeden byłby jedynym, i wyłączne prawo propinacyi na papierze zniesione w praktyce zostałoby na zawsze. Było może rzeczą naturalną, ale przykrą do widzenia, jak niektórzy nasi posłowie upierali się przy tym jednym szynku; przypominało to tę dawną opinię, która poznawszy przecie, że *liberum veto* jest złe, rezygnowała się na jego zniesienie, ale tak je kochała, że chciała je i znieść i zatrzymać siliła się na najdziwniejsze pomysły, czyby to przez jakie skuteczne ograniczenie zrobić się nie dało. My w zmienionych warunkach bardzośmy do naszych panów ojców podobni: godzimy się z konieczności na zniesienie propinacyi, bo się jej trochę wstydzimy; ale chcielibyśmy przecie coś z niej uratować. choćby jeden szynk, tylko jeden, na pamiątkę... czy na rozpłodek?

Z rozpoczęciem dyskusyi (w wilią zamknięcia sejmu wieczorem) można już było wiedzieć, że prawo, nawet z jednym szynkiem nie przyjdzie. Zawsze to samo: kilku lub kilkunastu niechętnych, chłopi i rusini, to gotowa większość. O nielogiczności projektu i wszystkich jego wadach mówić było łatwo: same biją w oczy, ale potrzeby ukończenia raz tej sprawy nikt argumentami swemi nie obalił, i nikt nie pokazał czy i jak możnaby ją skończyć lepiej. Jedyny głos który podniósł zarzut mowy i ważny. był głos p. Fruchtmana posła z miasta Stryja, który zwrócił uwagę Izby na to, że większość miast i miasteczek nie ma żadnej własności i żadnych dochodów prócz propinacyi: co poczną jeżeli im się tę odbierze? Ostatniego dnia, przed samem zamknięciem sejmu, sprawa odroczoną została kilkoma głosami większości, w imiennem głosowaniu, które wykazało, że gdyby nie nieobecność i wczesny odjazd szesnastu posłów, sprawa byłaby dziś może i ubitą. Byłaby nią w każdym razie, gdyby sejm był o parę dni dłużej potrwał. Zdawałoby się, że nie ma czego żałować, skoro projekt był zły: być może, ale bodaj czy ta sprawa propinacyjna nie jest jak księgi Sybilli, im dłużej, im później, tem większy koszt i strata. A w każdym razie samo jej chroniczne powracanie za każdym sejmem i chro-

niczne odraczanie, rzuca jakiś zły pozór nieudolności, niemożności do prowadzenia rzeczy zaczętych do końca.

Ustawa wodna, bardzo jak powszechnie mówią potrzebna nie może służyć za dowód przeciwny, bo ogólne ustawy Państwa tak z góry przepisywały jej granice i warunki, że na własne pomysły i zmiany mało było miejsca; musiała być taką jak jest, lub nie być wcale. Dziwna rzecz, że ta materya sucha, która do wyobraźni nie przemawia, ani namiętności nie rozpala, dała powód do jedynej prawdziwie świetnej w tym sejmie dyskusyi. Pan Smarzewski był sprawozdawcą komisyi. Że należy do najlepszych w Izbie mowców, a zdaniem wielu jest bezwzględnie najlepszym, to wiadomo. Być tak spokojnym w tonie, tak grzecznym w wyrazach, a tak żywym wewnątrz, tak nieubłaganym w argumentach, tak przytem starannym i wykwintnym w formie, to sztuka jaką posiadają tylko najrzadsi mowcy europejskich parlamentów. Jak najpierwszy szermierz paruje i naciera, a na pozór ani się ruszy, tak pan Smarzewski powali przeciwnika, zabije go, choć niby go nawet nie dotknął: a jego obrona ustawy wodnej, rzeczy w gruncie dość obojętnej, była taka, że sam parlament angielski mógłby jej pozazdrościć skromnemu sejmowi Galicyjskiemu.

Jedna uchwała odznaczała się między innemi pożytkiem tak oczywistym, że powstał za nią cały sejm bez wyjątku. Wiemy jakie zniszczenie robi u nas lichwa, jak przerażające są postępy wywłaszczenia ludu wiejskiego z ziemi. Z pośród niego też wyszedł wniosek żądający, żeby sejm zrobił „*coś*“ dla ograniczenia lichwy. Niestety, to *coś* jest bardzo małe, a jest wszystkiem co sejm mógł zrobić. Sprawa bowiem wchodzi w zakres atrybucyi Rady państwa. Sprawozdawca (p. Rydzowski), przytoczył przykłady wszystkich prawodawców, które ograniczają lichwę pokazał, że wbrew przeciwnym twierdzeniom teoryi ona ograniczoną być może: ale cóż z tego, kiedy za jedyną konkluzyę mógł postawić wniosek: „wzywa się Rząd, aby poczynił potrzebne kroki do zmiany ustawy takiej, iżby nadal procenta wyższe nad 12%, ani sądownie ubezpieczanemi i przyznawanemi, ani przez exekucyę ściąganemi być nie mogły.“ Sejm uchwalił to jednomyślnie, ale, jeżeli nawet Rząd wezwaniu zadość uczyni, czy wiedeńskie doktryny pozwolą na naruszenie teoryi? wolno wątpić.

Z przykładu tego skorzystał zręcznie i szczęśliwie nader (przy innej dyskusyi) pan Zyblikiewicz: wytłumaczył na nim dotykalnie posłom włościańskim co to jest autonomia, na którą wyrzekają, i większe atrybucye sejmu przeciw którym uwiedzeni podejrzanemi radami nieraz się oświadczali: „oto patrzcie: gdy„byśmy mieli więcej praw, gdybyśmy o swoich sprawach stano„wić mogli, jużby dziś lichwy nie było, bylibyście spokojni o swoją „starość i o przyszłość waszych dzieci. Przekonajcie się kto wam

„chce dobrze: ci co pragną rozstrzygać wasze sprawy w domu, „czyli ci co wam obiecują lepszą opiekę tam, gdzie ten rak co „was toczy, z pewnością wyciętym nie będzie.“

Z potrzeb najnaglejszych ludności wiejskiej wyniknął także inny wniosek tamtemu pokrewny, żądający praw przeciw pijaństwu. Komisya administracyjna miała trudne zadanie. Cóż zrobić z pijakami? jak radzić na pijaństwo środkami prawnymi? Przepisy policyjne, i środki moralne, to podobno wszystko co wymyśleć i w praktykę wprowadzić można. Wymyślono coś trzeciego jeszcze, i bardzo praktycznego Sprawozdanie komisyi (p. Paszkowski) w bardzo wyczerpującym i trafnym wywodzie, wskazywało kary na szynkarzy, jako środek najprostszy i najskuteczniejszy. Za pijaków odpowiada szynkarz: sztrofem za pierwszym lub drugim razem, utratą wreszcie prawa szynkowania, jeżeli dalej ludzie się u niego upajali. Szkoda, że rzecz ta drobna na pozór a ważna, na porządek dzienny już się dostać nie mogła.

Spadło ich wiele tak samo, i z tego samego powodu, braku czasu. Żeby sesya tegoroczna była zupełnie jałową, tego powiedzieć nie można: coś się przecie zrobiło. Ale mogło się zrobić więcej, pomimo krótkiego czasu. Że się nie zrobiło, winna wielomowność i długomowność po części, ale więcej winno to nieprzygotowanie do kwestyi, to rozbicie na mnóstwo zdań, ten brak porozumienia i kierunku, który grozi coraz bardziej upadkiem z niedołężnieniem sejmu. Jaka na to rada? Jedna tylko: przygotowywać się do sejmu przez cały czas limity, obrabiać wszystkie kwestye które na stół przyjść mają: dojść w kilkunastu chociażby do jednego w tych kwestyach zdania, i przychodzić na sejm z wyrobionemi gotowemi nietylko zdaniami, ale wnioskami. Upadną raz, wznawiać je na przyszłej sesyi, a w końcu przyjdzie taka że będą przyjęte. Gdybyśmy byli tak postępowali oddawna, może dziś sprawa gminna lub propinacyjna byłaby dalej posuniętą niż jest. Im więcej też zastanawiać się nad sejmem i losami spraw krajowych w nim, tem bardziej przychodzi się do przekonania, że klub o który od jakiegoś czasu wołamy, mógłby może być pożytecznym. Spróbować zawsze warto.“

St. Tarnowski.